- Przyjdzie Kuroń i wyrówna — str. 5
- Moda na czarownice — str. 15
- Jak zreformować radio i telewizję — str. 6
- Kto naprawdę przegrał I wojnę światową? — str. 4

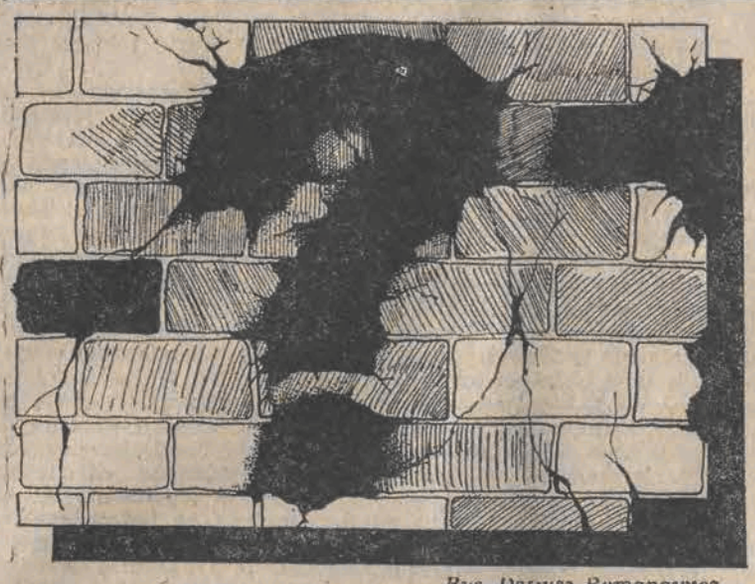

Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 48 (1652) ROK XXXII 26 LISTOPADA 1989 ROKU CENA 300 ZŁ

Czy Lwów jest rzeczywiście miastem bardzo tolerancyjnym?

Wszędzie znajdą się ekstremiści

Rozmowa z WŁODZIMIERZEM WOSKOWSKIM, kierownikiem Polskiej Agencji Konsularnej we Lwowie.

— Od naszej poprzedniej rozmowy, która odbyła się w pierwszych dniach stycznia, wiele zmieniło się we Lwowie. To już nie to samo miasto — wrzące, rozpolitykowane. Odbywają się wiece, demonstracje, na głównej ulicy pod błękitno-żółtym narodowym sztandarem powstało coś w rodzaju klubu dyskusyjnego, ludzie zbierają się, wymieniają poglądy, czytają wycinki z prasy o dość śmiałej politycznie treści.

— Dzieją się rzeczy ciekawe, takie zmiany musiały nastąpić. Są to oczywiście wewnętrzne sprawy Ukrainy, które my możemy tylko z boku obserwować. Co ludzie krytykują? Na pierwszym planie jest na pewno kwestia narodowościowa. Przez lata stalinowskie wiele spraw wypaczono, popełniono mnóstwo błędów, które teraz ostro wychodzą na jaw. Leonid Breżniew wprost głosił, że nie ma poszczególnych narodów, jest tylko jeden naród radziecki.

— Skutecznie zadbano o to, żeby dokładnie przemieszać ludność Związku Radzieckiego, żeby na jednym terenie żadna narodowość nie stanowiła zbyt dużej siły. Teraz wykorzystuje się, a nawet prowokuje właśnie narodowościowe w imię tzw. wyższych celów.

— Myślę, że to wkrótce jakoś się ureguluje. Wszystkie narodowości chcą określić swoją tożsamość. Mają do tego niezbywalne prawo, przy czym odbywa się to w sposób niezwykle burzliwy. Na Ukrainie silnie eksponuje się sprawy języka, kultury, flagi, symboliki narodowej. Podobnie jest we wszystkich republikach. Ludzie występują przeciw biurokratycznym formom zarządzania — jest to jedno z haseł. Z zastoju przeszli do działań bardzo dynamicznych. Podnoszone są zagadnienia gospodarki, technologii, wydajności i organizacji pracy, dzierżawy ziemi. Chyba można zaryzykować stwierdzenie, że w większości wypadków to, o czym krzyczy ulica, znajdzie się w programie partii, ale to musi odbywać się zgodnie z prawem. Ulica jest niecierpliwa, chce wymusić wszystko od razu. Trzeba będzie ponieść koszty, już się ponosi, ale wierzę, że to musi się udać. W tym kraju już nikt nie zgodzi się na powrót do starych metod. Społeczeństwo za bardzo posmakowało w klimacie i możliwościach, jakie stworzył Michaił Gorbaczow. W procesie tym uzewnętrzniają się również pewne negatywne zjawiska. Daje o sobie znać nacjonalizm, a nawet szowinizm. Są próby rehabilitacji ruchu banderowskiego.

— Na Ukrainie na szczęście nie przybiera to tak drastycznych form jak w republikach nadbałtyckich.

— Rzeczywiście. Tam odmawia się wielu praw na przykład Polakom. Twierdzi się, że nie ma ludzi polskiej narodowości, są tylko spolonizowani Litwini. Tu nie rozpala się takich waśni. Gdzieniegdzie pojawi się hasło „precz z okupantem moskiewskim", ale podnoszą je ekstremiści, którzy znajdą się wszędzie. Obserwuję to i na linii Polacy — Ukraińcy. Lwów jest wyjątkowym miastem, zawsze żyło tu wiele narodowości, które egzystowały zgodnie. Świadczą o tym pozostałe pamiątki, jak choćby architektura. Lwów był i jest miastem tolerancyjnym.

— Czy napływały do konsulatu jakieś wiadomości o szykanowaniu Polaków przez Ukraińców, o zadrażnieniach spowodowanych sprawami narodowościowymi czy historycznymi zaszłościami?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Do końca września 1989 roku granicę w Mościskach w obie stro-

Granica bezpieczeństwa Polski przebiegała dotąd wzdłuż Łaby i Werry; a co będzie, gdy przesunie się na linię Odry i Nysy Łużyckiej?

Orły i mrówki

czytaj na stronie 3

EDMUND LEWANDOWSKI

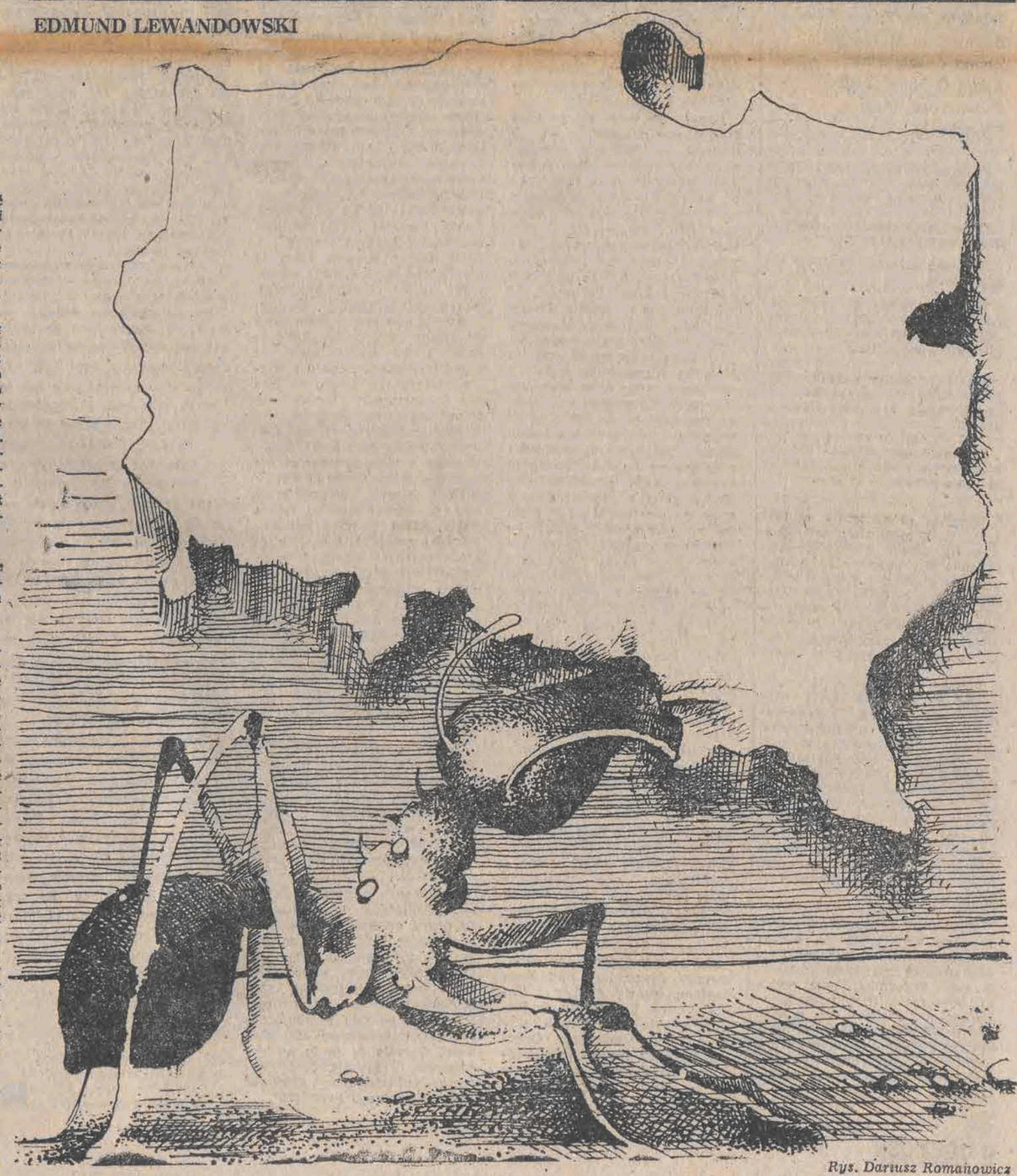

Rys. Dariusz Romanowicz

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janvst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul Sienkiewicza 3/5 tel 32 59-11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz**, tel 36-89-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora; odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa: w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

D-10

Przegląd prasy

W co wierzę? Co mnie denerwuje? W konkursie na ten temat pierwsze wypowiedzi młodzieży szkolnej drukuje miesięcznik społeczno-kulturalny „NURT" (nr 10). Oto list Justyny (nazwisko i adres znane redakcji):

„Nie mam żadnego godła i nie będę go wymyślać, bo to nie ma sensu. Jeżeli z tego powodu nie przeczytacie mojej pracy, to trudno. Nie piszę dla nagrody, tylko dlatego, że mam ochotę napisać. I coś jeszcze. Waszą gazetę kupiłam ten jeden raz, bo zachęciła mnie okładka.

Wierzę, że jeżeli pojadę na koncert, to nie wleją mi skini (ani nikt inny), wierzę, że PUNK'S NOT DEAD, chociaż, gdy widzę jaworskich punków to powątpiewam w to. Wierzę, że w końcu w Polsce coś się zmieni i że prezydentem nie zostanie gen. Jaruzelski. Najlepiej, żeby nim był major Frydrych. Wierzę, że na wakacje pojadę do Brodnicy. Wierzę, że gdy skończę 18 lat, to już nie będę musiała chodzić do Kościoła (bo teraz muszę) i będę mogła żyć, tak jak chcę tego ja, a nie moi rodzice. Tzn. będę mogła chodzić w za krótkich spódnicach, zostanę prawdziwą wegetarianką itd. Wierzę też, że poznam jeszcze buddystów, którzy wyjaśnią mi dokładnie, co to jest buddyzm. Wierzę, że zobaczę kiedyś Meksyk, Peru, Egipt, Tybet. Wierzę, że odnajdę Atlantydę... Wierzę, że poznam odpowiedź na te wszystkie pytania, które teraz mnie męczą. Wierzę, że istnieje reinkarnacja, i że ja kiedyś (ok. 1519 r.) byłam u Inków, ale nie byłam Inką i w tym okresie nie było tam jeszcze hiszpańskich konkwistadorów. Wierzę, że Bóg to tylko wymysł ludzi i że kiedyś wszyscy o tym się przekonają. Wierzę, że kiedyś na świecie nie będzie granic i nie będzie wojen. Wierzę, że żołnierze nie będą musieli zabijać studentów. Wierzę, że kiedyś ludzie wyzbędą się rasizmu, nietolerancji i nienawiści. Wierzę, że Elka jest naprawdę moją przyjaciółką. Wierzę w ludzi.

Denerwuje mnie to, że biali (nie wszyscy) uważają się za lepszych od czarnych, czerwonych czy żółtych. Denerwuje mnie to, że skini są tacy denni. Denerwuje mnie profesorka od biologii. Denerwuje mnie rząd PRL. Denerwuje mnie komunistyczna propaganda. Denerwuje mnie mit stworzony wokół obecnych przywódców Rumunii i Korei Północnej, że nie wspomnę o Leninie, Erneście Che... (coś tam dalej, chyba Gewara). Denerwuje mnie to, że rodzice każą mi chodzić do Kościoła i zmuszają mnie do wierzenia w to, w co sami nie wierzą, a dla pozoru udają, że wierzą. Denerwuje mnie to, że mama boi się o to, co ludzie myślą gdy wyjdę w spodniach z dziurą na kolanie (dziura ta pewnego dnia powstała na skutek zużycia spodni), denerwuje mnie w ogóle to, że można się przejmować tym, co inni sobie pomyślą. Denerwuje mnie to, że radio, telewizja i prasa w Jarocinie widzi tylko to, co najgorsze, a nie umiejącą śpiewać Sabriną zachwycają się. Denerwuje mnie to, że ludziom zależy na pieniądzach, stanowisku, że muszą być kimś, że boją się krzyczeć, gdy jest im źle, że potrafią tylko narzekać, ale sami nie robią nic, żeby było lepiej. W tej chwili denerwuje mnie wszystko, nawet to, co piszę.

Dzieciom chciałabym przekazać: czyste środowisko; wolność; wszystko to, co zrobiłoby z tych dzieci ludzi myślących, którzy nie boją się krzyczeć, chciałabym żeby moje dzieci wybrały wiarę same i chciałabym, żeby myślały o mnie inaczej niż ja o swoich rodzicach. A zresztą to nieważne. Justyna Jawor, 15-06-1989 r."

Od siebie dodam, że miasteczko Jawor leży nad Nysą Szaloną (prawy dopływ Kaczawy), na Przedgórzu Sudeckim, w południowej części województwa legnickiego. Obecnie liczy 23 tysiące mieszkańców. Prawa miejskie otrzymało już w XIII wieku. W latach 1278—1346 było stolicą piastowskiego księstwa jaworskiego. Od 1392 r. należało do Czech, od 1740 r. do Prus. Po drugiej wojnie światowej powróciło do Polski i było siedzibą władz powiatowych.

FAMILIA, ŚWITA I DWÓR

Nie tylko ludzie młodzi poszukują obecnie układu odniesienia. Skomplikował się bowiem krajobraz ideowo-polityczny. Nawet w ruchu solidarnościowym pojawiły się różne orientacje i sprzeczności.

Kto dziś rządzi w Solidarności? Na to pytanie próbuje odpowiedzieć Piotr Wierzbicki. W ciekawym artykule na łamach tygodnika „SOLIDARNOŚĆ" (nr 23) wyróżnia trzy centra polityczne: 1) Prezydium Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, 2) rząd Tadeusza Mazowieckiego, 3) grupę Lecha Wałęsy i Krajowej Komisji Wykonawczej. Osoby zorientowane posługują się nazwami literackimi. Mówią szeptem: Familia, Świta i Dwór.

Najłatwiej wyodrębnić Familię, w której dominują Bronisław Geremek, Jacek Kuroń i Adam Michnik. Jej historia sięga działalności KOR oraz konspiracji w stanie wojennym. Organem prasowym tej grupy jest „Gazeta Wyborcza". Piotr Wierzbicki pisze:

„Trzon Familii wywodzi się z tzw. lewicy laickiej, ale należy do niej także wpływowa frakcja socjalistów chrześcijańskich. Familia jest nastrojona socjaldemokratycznie. Nie cieszyła się specjalnym zaufaniem prymasa Wyszyńskiego, prowadzi od lat otwartą wojnę z prymasem Glempem. Umie działać solidarnie, trzymać się razem, jest ideowo zwarta, w naturalny sposób zdyscyplinowana, doskonale zorganizowana. Posiada zdeterminowanych, odważnych, ofiarnych bojowników".

W notatce redakcyjnej na łamach „Gazety Wyborczej" z 26 września napisano, że zespół czuje się związany z Lechem Wałęsą, Solidarnością, OKP, premierem i jego ministrami, ale zachowuje sobie prawo krytyki. W demokratycznym społeczeństwie na tym polega rola prasy niezależnej. Piotr Wierzbicki komentuje:

„Proszę, cóż za wszechogarniająca formuła: związani są i z tym, i z tym, i z tym, ze wszystkimi na razie po równo. Dobrze, że nie dodali, iż z Ojcem Świętym, rządem londyńskim, ONZ. Związani, ale zarazem niezależni. Proszę, cóż za oaza politycznej bezstronności w zwaśnionym świecie. Drodzy Redaktorzy, więcej otwartości, nie bójcie się samych siebie. Przecież gdybyście byli związani z Lechem Wałęsą tak silnie jak z samymi sobą, to nie byłoby u was owej niedawnej serii nieobiektywnych (nie uwzględniających punktu widzenia obu stron) informacji na temat „Tygodnika Solidarność" i nie czekalibyście z przedstawieniem punktu widzenia Wałęsy tak długo, aż Wasza jednostronna wersja utrwali się w świadomości czytelników. Daliście pokaz nieprawdopodobnej wprost stronniczości i to stronniczości nie w komentarzu (którego natura zakłada wręcz stronniczość), lecz w dziennikarskiej informacji, która w poważnej niezależnej prasie jest zawsze od tendencyjności wolna. I macie do stronniczości (w komentowaniu wydarzeń) prawo, tak jak ma do niej każdy, kto wkracza na arenę politycznej i ideowej walki. Tylko dlaczego robicie z siebie zarazem emanację całej Solidarności? Jesteście emanacją zaledwie jej jednej części. Poważnej, wartościowej, ale jednak tylko części".

Drugie centrum polityczne Solidarności skupione jest wokół rządu Tadeusza Mazowieckiego. Jego organem jest dziennik „Rzeczpospolita". Świta nie stanowi jednorodnego tworu. Jest doraźną koalicją ludzi wywodzących się z różnych szkół.

„Wybitną postacią Świty jest przywódca umiarkowanego nurtu orientacji narodowej, Aleksander Hall. Świta współpracuje z Kościołem. Mimo że w znacznej części wywodząca się z katolickiej lewicy, jest nastrojona raczej liberalnie. Świta nie posiada przebojowości ani wewnętrznej siły Familii. Określa ją za to umiarkowanie, rozwaga i wewnętrzna, wzbudzająca zaufanie solidność samego Premiera".

Najtrudniej scharakteryzować trzecie centrum. Przewodzi mu Lech Wałęsa. Jest to człowiek pragmatyczny, antydoktrynalny, którego nie można zaliczyć do żadnych ideologicznych orientacji. Organem prasowym Dworu jest „Tygodnik Solidarność".

„Do najbardziej wpływowych polityków Dworu należą: Jarosław Kaczyński, Lech Kaczyński, Józef Merkel, Piotr Nowina-Konopka, Bogdan Lis. Dwór nie jest ani lewicowy, ani prawicowy. Utrzymuje bliskie więzi z Kościołem".

Piotr Wierzbicki uważa za naturalne, iż potężna formacja polityczna ma kilka ośrodków władzy. Nie należy jednak zatajać prawdy o podziałach, bo wtedy pojawiają się dwie choroby: uzurpacji i przebrania. Z pierwszą mamy do czynienia: gdy część formacji przedstawia się jako całość. A druga polega na tym, że ugrupowanie jednoznacznie zorientowane zaciera swą tożsamość.

ZWIERZENIA NATURYSTKI

Na koniec coś lżejszego. Przechodzę od polityki do erotyki. W tygodniku społeczno-gospodarczym „WYBRZEŻE" (nr 47) pewna naturystka skarży się, że została nadmiernie wykorzystana podczas kręcenia scen orgii do filmu „Thais" Ryszarda Bera. Zgodziła się statystować nago, ponieważ Ziemowit Janowski z Łodzi proponował 3 tysiące za całkowitą goliznę i 2 tysiące za topless. W końcu lipca 1983 roku były to znaczące pieniądze. Pojechała więc razem z mężem do wytwórni filmowej. Miała wtedy 31 lat i dwóch synów.

„Byłyśmy najpierw w takich krótkich tunikach i zaczęły się próby dobierania, ale na razie bez rozbierania. Jedna próba, druga. Ustawienie i... kamera poszła. Dwóch statystów, chyba lekko wstawionych, bo czułam od nich alkohol, położyło mnie na stole i zdarło ze mnie szatki, na co byłam przygotowana. Zaczęli ugniatać mnie jak ciasto. Też wiedziałam, że tak ma być. Ale jeden, chyba za bardzo się zapomniał, co było widać, bo włożył swoją rękę mi tam, gdzie nie powinien. Wywijałam się ile sił, krzyczałam, ale nikt nie zwracał na to uwagi, bo tak krzyczeli wszyscy, a w zasadzie wszystkie. Widziałam jak inne dziewczyny też były maltretowane. Mój mąż nawet na raz dwie niewolnice, zresztą niedaleko mnie. On w tej scenie był uczestnikiem uczty. Najgorsze, że takich ujęć zrobiono trzy czy cztery. Co prawda już nie pozwoliłam, żeby mi wkładali paluchy tam gdzie nie powinni, ale co mnie wymęczyli to ich. (...)

Całkiem niedawno widziałam pornosa, w którym idealnie wmontowano sceny z „Thais". Film powstał, ten porno, w RFN, to znaczy tam zrobiono te „mięsne" uzupełnienia, zbliżenia, szczegóły. Inni byli aktorzy, inne aktorki. Ale tak to zostało sklejone, iż wyglądało jakby ten film powstał na planie w Łodzi. Gdybym tam nie była, nie uwierzyłabym, że to nieprawda. Na przykład: scena ze mną, moja twarz — ja się rozpoznałam, ale nawet moi znajomi nie skojarzyli mnie z postacią na ekranie, a zaraz potem szczegóły. Widać tylko dół. Kto może przypuszczać, że góra to inna, dół też inna kobieta. I cała masa takich dowcipnych montażowych michałków. Niektóre tak sklejone sekwencje były z naszymi znanymi aktorkami".

Naturystka opowiada, że podczas kręcenia sceny do „Fausta" Grzegorza Królikiewicza nadzy statyści musieli tarzać się w kisielu. Pewną licealistkę z Warszawy po prostu zgwałcono. Wytoczyła później proces realizatorom. Sprawcy nie znaleziono, bo taka była kotłowanina na podłodze, ale dziewczyna wygrała i dostała odszkodowanie.

E. L.

Zdarzyło się w Łodzi...

O Nowy prezydent m. Łodzi zaczyna walczyć ze starymi, doskonale nam znanymi, efektami oglądania życia zza biurka. Za faktycznie karygodny brak pieczywa w mieście przed dwoma świątecznymi dniami — o czym i my wspominaliśmy — szef milionowej aglomeracji ukarał naganą, co jest novum, dyrektora wydziału handlu. Nie wiemy tylko czy z wpisaniem do akt...

O Zmiany, kandydatury, wizyty:

— W „Głosie Robotniczym", któremu od niedawna szefuje Andrzej Hampel sekretarzem redakcji został Ryszard Poradowski.

— Do czasu powołania dyrektora Łódzkiego Ośrodka TVP jego obowiązki pełni Henryka Rumowska.

— W Łodzi przebywał Kalle Heiska — przewodniczący Towarzystwa Przyjaźni Fińsko-Polskiej w Tampere. Odwiedził łódzkie redakcje. Redakcji „Odgłosów" zaproponował współpracę z wychodzącym w Tampere dziennikiem „Aamulehti", który wiele miejsca poświęca sprawom kultury. Problematyką tą zajmuje się w „Aamulehti" znawca spraw polskich Erkka Lehtola.

— W Łodzi przebywała Alina Grabowska — do 1968 roku dziennikarka „Głosu Robotniczego", obecnie w Radiu Wolna Europa. Podczas wizyty w Łodzi była obecna na zebraniu SDP witana oklaskami przez niektórych z obecnych.

— Wybrano zarząd SDP w Łodzi — przewodniczącą została Iwona Śledzińska-Katarasińska, wiceprezesem Gustaw Romanowski. Do Zarządu weszli: Małgorzata Golicka, Marian Papis, Zdzisław Szczepaniak i Paweł Jędras. Rzecznikami dyscyplinarnymi zostali: Karol Badziak, Józef Henryk Wiśniewski i Marek Koprowski.

O Krąży po mieście w poszukiwaniu współpracowników do nowej reklamowej gazety były redaktor naczelny miesięcznika „Kalejdoskop" — Andrzej Wojciechowski. Jeśli ich znajdzie — być może ukaże się na rynku kolejna konkurencyjna gazeta żyjąca z ogłoszeń.

O Ponad tydzień trwały przygotowania do pierwszej konferencji prasowej prezydenta Waldemara Bohdanowicza, zorganizowanej przez łódzkie Forum Dziennikarzy. O szerokim zainteresowaniu spotkaniem niech świadczy fakt, iż doskonale wszystkim znany, wieloletni korespondent prasy i telewizji francuskiej — Bernard Margueritte, z powodu konferencji odwołał spotkanie w Stowarzyszeniu Tłumaczy, by swą pierwszą w życiu wizytę w Łodzi przełożyć na wtorek.

O W „Dzienniku Łódzkim" z ubiegłego piątku ukazał się wywiad z Andrzejem Słowikiem — przewodniczącym Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność", „okraszony" zdjęciem rozmówcy. Na szczęście pan Andrzej znany jest łodzianom; zdjęcie było niewyraźne, a ponadto — nieodpowiednio skadrowane i... odwrócone. Zgadzamy się z autorem zdjęcia, iż jest to sytuacja tyleż często w łódzkich gazetach spotykana, co — zwłaszcza w przypadku portretu — niedopuszczalna.

O Na niedzielnym zebraniu Zarządu Regionalnego „Solidarności" postanowiono wystąpić z wnioskiem o przyznanie Nagrody Miasta Łodzi ojcu Stefanowi Miecznikowskiemu.

O Łódzcy dziennikarze, którzy w minioną sobotę w stolicy byli na spotkaniu kierownictwa Radiokomitetu z działaczami Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich opowiadali między innymi o szalenie oryginalnych metodach pracy niektórych zagranicznych korespondentów TVP. Oto jeden z nich pracowicie czyta przez telefon teksty... przysłane mu z Warszawy, inny, z Berlina, zapytany czemu nie przysłał korespondencji o burzeniu granicznego muru, oświadczył, że jeszcze poprzednia nie została wyemitowana. Po prostu czekał...

O Gorączkowo dyskutuje się na temat planowanych podwyżek cen benzyny (ponoć do końca roku cena ma skoczyć nawet do 1800 złotych za litr „żółtej"), energii elektrycznej (mówi się o 100-procentowej podwyżce od Nowego Roku, a także o sugestiach dotyczących podatku za... psa. Ponoć są propozycje by za czworonoga trzeba było płacić horrendalnie wysokie kwoty, sięgające 40 tysięcy...

O Niewiele ponad dwa miesiące cieszył się wolnością znany uciekinier z krajowych więzień — Zdzisław Najmrodzki. Ujęto go kilka dni temu w Krakowie. Jeszcze bardziej brawurową ucieczką popisał się łodzianin — Przemysław R., który w ekwilibrystycznym zjeździe po linie pokonał mury aresztu śledczego przy ulicy Smutnej. Jak dotąd — na wolności...

O Czasy ciężkie, ludzie gdzie mogą szukają teraz przysłowiowego grosza. Na ulicy Kilińskiego niejaki Lesław B. pół dnia obrzucał najgorszymi wyzwiskami faceta, który pluje tak, że do złudzenia przypomina „to" dwudziestozłotówkę. Schylał się ponoć kilka razy...

D. D.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— W roku 1968 nie zaliczałem się już do grona politycznych przyjaciół Mieczysława Moczara. Nasze stosunki od 1966 r. znacznie się ochłodziły. Nie mam jednak żadnych podstaw, by twierdzić, że chciał on kiedykolwiek usunąć Gomułkę i zająć jego miejsce. Ale wiem także, że nigdy nie jest się w stanie poznać tak do końca innego człowieka. Miałem w życiu wielu przyjaciół i niejednokrotnie przekonywałem się, że tak naprawdę to ich w ogóle nie znałem — mówi generał FRANCISZEK SZLACHCIC, były minister spraw wewnętrznych, obecnie emerytowany działacz polityczny, z którym rozmawiał JACEK KLUCZKOWSKI.

— Krzyki o biciu Polaków są prowokacyjne, uznajemy prawo Ukraińców do własnej flagi, języka, kościoła i chcemy być równorzędnym partnerem. W naszych szkołach chcemy uczyć dzieci prawdy i tolerancji dla innych. Kto rozumie kulturę i historię, jest mądrym człowiekiem — o sytuacji Polaków we Lwowie oraz o Cmentarzu Łyczakowskim opowiada MONICE MATUSZAK sekretarz Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej ADOLF WISŁOWSKI.

— Jak każda opozycja, tak i węgierska przygotowuje się do tego, aby w odpowiednim momencie przejąć władzę. Charakteryzuje się ona znacznie większym niż w Polsce zróżnicowaniem i jak dotąd nie posiada wykreowanego lidera, Prowadzona przez nią walka przebiega w szeroko rozumianej nadbudowie i realizowana jest metodami propagandowymi i walką polityczną z WSPR, a obecnie WPS i innymi siłami lewicowymi — mówi ambasador PRL w Budapeszcie, TADEUSZ CZECHOWICZ, z którym rozmawiają EDMUND LEWANDOWSKI I LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

— Była zazdrosna o Jaskulską i nie ukrywała tego. Miała ładną twarz, nogi bezkonkurencyjne i zachęcające usta. Kiedy szła, chłopcom zasychało w gardłach, taki miała podniecający chód: nie uznawała bielizny, ani tej górnej, ani dolnej, podobno lekarz jej to zalecił, aby skóra mogła swobodnie oddychać, co ważne jest przy skłonnościach alergicznych. Suknie nosiła z cienkiej bawełny, nieprzejrzyste. Intuicyjnie wyczuwała mężczyzn. Muszą mieć trochę żeru dla wyobraźni. A co Jaskulska? Rubens malował takie: głupawe tłuścioszki o rozmodlonych oczach — kolejny odcinek nowej powieści ALEKSANDRA MINKOWSKIEGO pt. „Sekrety prominentów".

Orły i mrówki

EDMUND LEWANDOWSKI

Polską racją stanu jest tożsamość narodowa, integralność terytorialna i rozwój społeczny na miarę potrzeb obywateli. Z tym określeniem zgodzi się chyba większość naszego społeczeństwa. Nie sposób też zaprzeczyć, że problem Niemiec zajmuje centralne miejsce w polskiej racji stanu. Od przyjęcia chrztu w 966 roku aż do dziś wszystkie pokolenia Polaków musiały odpowiadać na wyzwania niemieckie.

Niemieckie parcie na wschód zaczęło się już w X wieku, kiedy pod pretekstem chrystianizacji przystąpiono do ujarzmiania słowiańskich Obodrytów, Wieletów i Serbów żyjących między Łabą i Odrą. Podbój tych ziem zakończono w połowie XII wieku. I wtedy Polska stanęła w obliczu bezpośredniej konfrontacji z Niemcami. Niebawem utraciła Pomorze Zachodnie oraz Ziemię Lubuską i umożliwiła Krzyżakom podbój Prus. A na pozostałe tereny napłynęły tysiące kolonistów niemieckich.

Mało kto dziś uświadamia sobie, że w XIII—XV w. zarządy miast w Małopolsce (od Krakowa do Lwowa) składały się przeważnie z Niemców. Nawet stołeczny Kraków dopiero od 1537 roku stał się miastem na wskroś polskim. Wtedy przywrócono w Kościele Mariackim polskie nabożeństwa. Bardzo wcześnie więc ekspansywny żywioł niemiecki otoczył Polskę od północy, zachodu i południa. Trzeba przyznać, że spełniał tu rolę cywilizacyjną. Koloniści i rycerze niemieccy stworzyli kulturę materialną na wysokim poziomie. Ale równocześnie mniej lub bardziej zagrażali polskiej racji stanu. W pewnym sensie spychali Polskę na wschód, co skończyło się później całkowitym rozbiorem państwa.

Jakie mamy szanse wobec wyzwania niemieckiego? Problem ten intrygował wielu myślicieli w naszym kraju. Bolesław Prus pokazał w „Placówce" jak wyraźnie chłop polski ustępuje przedsiębiorczym Niemcom, którzy w każdej sytuacji zachowują systematyczność i porządek. Ślimak zaś ciągle zwleka z realizacją ważnych zadań, kończy zwykle na samych zamiarach i pociesza się, że wszystko jakoś się ułoży, że jakoś to będzie. Jest on człowiekiem o słabej woli, jak to nazywają uczeni, gdyż chłopi mówią o nieśmiałości, a szlachta o próżniactwie.

Problem wyzwania niemieckiego niepokoił również Stefana Żeromskiego. Uważał on, że „Placówka" może być wyrocznią w dyskusjach nad naszą psychologią narodową. W powieści „Popioły" właściciel folwarku Stokłosy, Krzysztof Cedro, mówi do zubożałego szlachcica polskiego:

„Nie znasz Niemców! To jest nie naród, ale wprost zakon straszliwy, zorganizowany mądrze i bezwstydnie do wytępienia takich oto jak my rolników i marzących na jawie".

Uczymy naszą młodzież i często powtarzamy, że mieliśmy skomplikowany proces dziejowy że los nas surowo doświadczał. Ale historia nie oszczędzała też Niemców. W latach 1348—1350 dżuma zabrała prawie połowę mieszkańców ich krajów. Spośród 17 mln pozostało przy życiu tylko 9 milionów. W wyniku wojny trzydziestoletniej (1618—1648) zaludnienie Niemiec spadło z 20 mln do 12 milionów, czyli aż o 40 procent. Niektóre rejony niemal kompletnie opustoszały. W pierwszej wojnie światowej poległo 2,7 mln Niemców, w drugiej — 3,7 milionów.

Po każdym załamaniu zdumiewająco szybko przełamywali apatię i otrzychodzili do siebie. Przegrana stawała się dla nich źródłem siły. Jest to bowiem naród pracowity i wytrwały, działający metodycznie — naród nieco ociężałych i niezwykle subordynowanych pedantów, który pragnie stanowić potęgę światową. W tym celu rozpętał już dwie wojny światowe.

Latem 1946 roku Edmund Osmańczyk przewidywał, że dzięki wytrwałej pracy Niemcy odbudują swoją potęgę. W głośnej książce „Sprawy Polaków" ostrzegał, że nie uda nam się zdyskontować przelanej krwi, bo banki świata nie płacą za krew. Bohaterskie ofiary możemy zaprezentować światu dopiero wtedy, gdy będziemy odpowiednio silni. Autor podkreślał:

„Dla nas Niemcy nie będą niebezpieczni tylko pod dwoma warunkami: 1) Jeśli utrzymamy granicę Odry i Nysy. 2) Jeśli będziemy jako naród równie silni wewnętrznie pracą i praworządnością, jak naród niemiecki".

Dziesięć lat później, w 1956 roku bohater powieści Mariana Turwida pt. „Noc nad Doliną" (wydanej w 1961 roku) zwiedzał ruiny Kancelarii Rzeszy i spotkał tam Niemca z Berlina Zachodniego. Wywiązała się między nimi następująca rozmowa:

— *Kiedyż nam wreszcie, Polacy, oddacie nasz Szczecin, Gdańsk i Wrocław?*

— *Nigdy.*

— *Taki pan pewny? A ja tymczasem jestem głęboko przekonany, że miasta te wrócą do nas bardzo prędko.*

— *W jaki sposób? Czyżby pan myślał o trzeciej wojnie?*

— *pytam, wskazując na gruzy pałacu Hitlera.*

— *Nie.* «Die dritte Scheisse möchten wir nicht haben» (Na trzecie g... nie mamy ochoty) — *odpowiada brutalnie. — Byłby to środek ostateczny i najkosztowniejszy. Przewidujemy tańsze.*

— *Jakie? Za jaką cenę, przy jakiejże innej pomocy moglibyście liczyć na oderwanie nam naszych Ziem Zachodnich?*

— *Przy... waszej.*

— *Naszej? Polskiej?*

— *Tak.*

— *Nie rozumiem...*

— *To bardzo proste. Przecież wy Polacy byliście i jesteście nieodpowiedzialni jak dzieci. Albo jak szaleńcy. Nie umiecie ani rozsądnie myśleć, ani porządnie gospodarować. I nie umiecie pracować pod własnym, polskim kierownictwem. Więc prędzej czy później wasza przysłowiowa «polnische Wirtschaft» zrobi swoje. Doprowadzi do krańcowego kryzysu. I wtedy wy, specjaliści od anarchii i powstań taki spowodujecie rozgardiasz, taki arcypolski bałagan, że nawet najlepszy ustrój i rząd nic nie zdołają poradzić. I wówczas...*

— *Co wówczas?*

— *Wówczas my wygramy trzecią wojnę bez wojny.*

Powtarzam jeszcze raz, aby nie było żadnych wątpliwości, że cytowaną wyżej książka Mariana Turwida ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w 1961 roku. Upłynęło więc już ponad ćwierć wieku. A kasandryczna wizja Niemca wciąż wygląda na poważną przestrogę dla Polaków.

W drugiej wojnie światowej Niemcy poniosły totalną klęskę. Utraciły jedną czwartą terytorium, a reszta została podzielona na dwa odrębne państwa o przeciwstawnych ustrojach. Tymczasem obecnie Republika Federalna Niemiec ma 15 tysięcy dolarów dochodu narodowego na jednego mieszkańca i najsilniejszą w Europie gospodarkę. Polska zaś ma dochód kilka razy mniejszy. Jest to w dodatku proporcja gorsza niż przed wojną.

W połowie lat osiemdziesiątych wydajność pracy na jednego zatrudnionego wynosiła w RFN — 13 494 dol., NRD — 9107 dol., a w Polsce zaledwie 4411 dolarów. W latach 1978—1985 wydajność w RFN wzrosła o 7 proc., w NRD o 35 proc., natomiast w Polsce spadła o 12 procent. Przy czym tygodniowy czas pracy w RFN wynosi 40,2 godz., w NRD nieco więcej, a w Polsce tylko 35,6 godzin. Polska należy do krajów o najniższej liczbie godzin faktycznie przepracowanych w ciągu tygodnia, choć jest winna zagranicy 37,8 mld dolarów i 6,4 mld rubli.

Na krótki czas pracy Polaków w porównaniu z Niemcami narzekał już w 1924 roku Piotr Drzewiecki. Polacy pracowali wówczas 46 godzin, a Niemcy 60 godzin tygodniowo. Przez to — pisał autor — gdy Polska stawia jeden krok, to Niemcy półtora. Niewiele musiało się zmienić w następnych latach, skoro 5 sierpnia 1938 roku na pierwszej stronie „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" ukazał się artykuł Piotra Drzewieckiego pod znamiennym tytułem: „W Polsce pracuje się za mało, a świętuje za dużo". Na wstępie redakcja zaznaczyła, że były prezydent miasta Warszawy porusza problem zasadniczej wagi. Autor artykułu doszedł do następującego wniosku:

„W Polsce nie ma na ogół zapału do zwiększania wysiłku, jest raczej skłonność do zaniechania wysiłku, gdy osiągnięte rezultaty zapewniają już zupełnie skromny byt".

Polski system wychowawczy, sposób myślenia i działania oparty jest na wzorach romantycznych. Pobudzanie emocji przyniosło dobre efekty, ale w innych czasach: powstań, wojen, rewolucji. Wszyscy romantycy marzyli o postępie dokonującym się w sposób gwałtowny — poprzez wstrząsy, katastrofy, cierpienia, cuda — a nie drogą mozolnej i systematycznej pracy. Starannie zaplanowany, dobrze zorganizowany i rutynowy trud w ogóle ich nie interesował. Romantycy mierzyli *„siłę na zamiary"*, byli *„rozumni szałem"*, wyznawali zasady *„wszystko albo nic"* i *„zaraz albo nigdy"*. Jest to formacja rewolucjonistów, którzy naiwną religijność łączą z konserwatyzmem politycznym.

Edmund Osmańczyk porównał Polaków do orłów, a Niemców do mrówek. My mamy zdolność do orlej pracy, a oni do pracy mrówczej. Latem 1946 roku, kiedy Polska Ludowa dopiero się zaczynała, tak pisał późniejszy senator Ziemi Opolskiej:

„Oni skrzętni, zapobiegliwi, punktualnie drepczący po wytkniętych przez swych pracodawców dróżkach, gospodarni, oszczędni, odżywiający się nawet w biedzie racjonalnie, w nieszczęściu potulni i pokorni, w dobrobycie bezczelni i bezwzględni, a zawsze trzeźwi. My zaś — rozrzutni, lekkomyślni, nie szanujący czasu ani własnego, ani cudzego, spacerujemy każdy własnymi drogami, żyjemy według swego widzimisię, skłonni do buntu zarówno przeciwko obcej przemocy, jak i przeciwko własnym przepisom prawnym, ceniący wyżej improwizację niż organizację, bowiem ta pierwsza nam indywidualnie pochlebia, jednoczy w biedzie i w dobrobycie — w zużyciu alkoholu i w rozkochaniu się w sobie, gdy druga społecznie nas nudzi".

Nasuwa się tu pytanie, czy można dumnego orła nauczyć mrówczej przyziemnej pracy? Szczepan Nekanda Trepka stanowczo twierdził, że nasza dusza słowiańska nigdy nie przeistoczy się w niemiecką, bo jesteśmy odmienni. Musimy jednak — zachowując tożsamość narodową — przyjąć nowoczesne wzory produkcji. Od tego zależy los narodu i państwa polskiego. Na tym dziś polega nasza racja stanu.

Granica bezpieczeństwa Polski przebiegała dotąd wzdłuż Łaby i Werry. A co będzie, gdy przesunie się na linię Odry i Nysy Łużyckiej? Pojawi się poważniejsze wyzwanie. Zjednoczone Niemcy miałyby 356,5 tys. km kw. i liczyłyby 75,8 mln obywateli. Byłyby (nie licząc ZSRR) zdecydowanie najsilniejszym krajem w Europie i zbliżyłyby się do swego strategicznego celu, który brytyjski tygodnik „Economist" (14 X 1989) określił następująco:

„Jest coraz bardziej pewne, że Niemcy gotowe są osiągnąć pokojowo to, czego dwukrotnie nie udało im się w drodze wojny: supremację w Europie".

Redakcja tygodnika brytyjskiego wyraża przekonanie, że Niemcy będą gospodarzem we wspólnym domu europejskim. W związku z tym pragnę przypomnieć słowa Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Powiedział on niedawno, że 25 lat żył w RFN i jest przekonany, że gdy Niemcy poczują własną potęgę, to wrócą na drogę swoich dawnych błędów. Jeśli ich polityka będzie nastawiona na dominację i czerpanie jednostronnych korzyści, to w zjednoczonej Europie nie będzie miejsca dla Polski...

Jan Nowak-Jeziorański (podobnie jak prof. Zbigniew Brzeziński) radzi nam utrzymywać dobre stosunki z Rosją. Jednocześnie ostrzega przed niebezpieczeństwem porozumienia między Rosją a Niemcami. W takim przypadku grozi nam zredukowanie Polski do rozmiarów Kongresówki, a następnie utrata niepodległości...

Nie wiem, czy może być aż tak źle. W każdym razie byłoby dziwne, gdyby Niemcy całkowicie pogodzili się z utratą ich byłych kresów wschodnich (naszych ziem zachodnich i północnych). Musimy liczyć się przynajmniej z rekonkwistą ekonomiczną.

Niezależna fińska gazeta „AAMULEHTI" wychodząca w Tampere zamieściła mapę (12.11. 1989 r.), na której przedstawia kształt Niemiec w 1937 roku, w 1943 roku, dziś — Niemcy podzielone — i jutro — Niemcy zjednoczone. Jakie to może mieć znaczenie dla przyszłości Polski i Europy prezentuje w artykule „Orły i mrówki" Edmund Lewandowski.

Z tej ziemi

Bardzo trudno jest wyjść poza schematy

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

Przyszła do mnie znajoma, której nie widziałem dłuższy czas i zaczęła narzekać na złożoną sytuację polityczną powołując się na *„głos ludu"*.

— Przepraszam — zapytałem — czy to ty jesteś tym głosem ludu?

— *No* — zawahała się — *niezupełnie. Ale po części tak, przecież rozmawiam z ludźmi i wiem, co myślą, co mówią, czego chcą. Mam więc chyba prawo do wyrażania opinii w ich imieniu.*

— A nie potrafisz mówić we własnym imieniu, nie zasłaniając się mitycznym „głosem ludu"?

Obraziła się i poszła. Mam nadzieję, że jej prędko nie zobaczę.

W „Gazecie Wyborczej" Krzysztof Leski komentując XVI plenarne posiedzenie KC PZPR i dążność do nawiązywania do tradycji przedwojennej PPS tak pisze:

— *„Jestem pewien* — pokpiwał Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa przez półtorej dekady (do 1985 r.) — *że większość towarzyszy powołujących się na PPS, nigdy nie czytała żadnego jej programu".*

Warto przypomnieć, że Henryk Jabłoński — profesor historii — był też członkiem i działaczem PPS. I nie wątpię, że ma rację. Poszedłbym nawet dalej i dodał do tego, że wielu powołujących się na tradycje PPS nie bardzo zdaje sobie sprawę, że ich wiedza na temat tej partii ogranicza się do licznych formułek, schematów, etykietek i zafałszowań powstałych w minionych epokach. Dopiero zetknięcie się z dokumentami, z publicystyką wybitnych socjalistów daje całkowicie inny obraz PPS niż usiłowano go prezentować w przeszłości.

Ludzie na ogół łatwo przywiązują się do schematów, bo to łatwe i trudno — och, jak trudno! — z nich rezygnują. Czasem schematy te, stereotypy siedzą w głębokich zakamarkach świadomości i ujawniają się w najmniej oczekiwanych momentach. Często też człowiek, stając przed zbyt ostrymi i dla niego nie do końca zrozumiałymi konfliktami, sprzecznościami, powikłaniami rzeczywistości politycznej lub społecznej, automatycznie sięga do schematów, co jest w tym przypadku gestem obronnym. Czasem i w ataku na przeciwnika też sięga się po stare nawyki. Bo to łatwe, bo są gotowe, bo...

2.

Niedawno, bo w 7 numerze „Nowe Drogi" opublikowały radomski program PPS z początku 1937 roku. O socjalistach mówiło się przez wiele lat, uczono tego w szkołach i na wyższych studiach, że są reformistami, rewizjonistami i zdrajcami klasy robotniczej. Ze zdrajców zrezygnowano, ale reformistami to niektórzy i dziś byliby skłonni nazywać socjalistów. A tymczasem radomski program PPS już we wstępie stwierdza, że *„Polska Partia Socjalistyczna dąży do utworzenia Polskiej Rzeczypospolitej Socjalistycznej"*, że *„przetworzy państwo z narzędzia ucisku klasowego w organ zbiorowej woli społeczeństwa, nie znającego już podziału na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych"*.

Pomijam ocenę ówczesnej sytuacji gospodarczej, pomijam ocenę faszyzmu, inne to były warunki historyczne, inne odniesienia, inaczej potoczyły się dzieje gospodarcze świata, choć trafnie przewidziano, że *„klasa robotnicza, osłabiona od wewnątrz przez bezgranicznie lekkomyślną taktykę komunizmu, nie zdoła w szeregu krajów przeciwstawić prądowi faszystowskiemu skutecznego, czynnego oporu"*. Program zakładał też klęskę faszyzmu i *„początek nowej epoki dziejowej, epoki twórczej Rewolucji Społecznej, wielkiej planowej przebudowy całego ustroju"*. Zakładał też, że *„cała władza przechodzi do rąk mas pracujących miast i wsi"*.

3.

Jak — według tego programu — miałoby być urządzone nowe państwo? Zakładano, że *„tylko silna władza państwowa może przełamać skutecznie opór ze strony klas dzisiaj panujących"*, a nawet przewidywano, że państwo *„w okresie przejściowym przybrać (może) charakter czasowej dyktatury"*. Program ten zakładał dalej wywłaszczenie bez odszkodowania wielkiej własności rolnej i przekazanie ziemi chłopom, wywłaszczenie wielkiej własności w mieście, położenie kresu *„rabunkowej gospodarce obcego kapitału"*.

Była to jednak wizja współistnienia różnych form własności: państwowej, spółdzielczej i prywatnej. Prywatnej również w przemyśle. Przewidywano uspołecznienie tylko wielkiego przemysłu, decydującego o stanie państwa, a więc między innymi obronnego. Przewidywano dobre warunki dla rozwoju rzemiosła i handlu, zakładając dla różnych form własności w rzemiośle i handlu odpowiednią politykę kredytową i podatkową.

Program gwarantował prawa jednostkom, wolność prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń, przedstawicielstwo ludowe, niezależny wymiar sprawiedliwości, zniesienie kary śmierci i dożywotniego więzienia, prawo *„każdego oskarżonego do obrony przed każdym właściwym sądem"*, rozbudowę sądownictwa dla nieletnich i *„demokratyczny i rozporządzający dużymi uprawnieniami samorząd terytorialny wojewódzki, powiatowy i gminny"*, a także wolność twórczości naukowej i artystycznej.

„Tylko człowiek niezależny duchowo — stwierdza się w radomskim programie PPS z 1937 roku — *nie zdany na łaskę i niełaskę niczyjej samowoli może wykrzesać z siebie moc charakteru i entuzjazm, niezbędny dla świadomego twórcy dziejów. Tylko myśl, pracująca swobodnie, otwiera przed ludzkością nowe szlaki. Tylko sztuka samodzielna, wyrosła z istotnej potrzeby wewnętrznej artysty zasługuje na miano sztuki prawdziwej. Wszystkie te czynniki razem wzięte mogą dopiero wpłynąć pozytywnie na ustalenie etyki zbiorowej w życiu społecznym"*.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że pod tymi stwierdzeniami można spokojnie i dziś się podpisać.

4.

Jak widać z tego omówienia sporo w programie tym ujęć i dziś aktualnych. Jedno jest nawet bardzo — niestety — aktualne. To problem młodego pokolenia. Twórcy programu PPS z 1937 roku pisali:

„Problem młodzieży nie stał nigdy tak ostro, jak stoi dzisiaj. Dla milionów chłopców i dziewcząt rodzin robotniczych i rodzin włościańskich, dla milionów, obdarzonych świadectwami czy dyplomami szkół zawodowych czy rzemieślniczych, szkół powszechnych i średnich ogólnokształcących, nawet uczelni — nie ma miejsca pod słońcem".

Napisałem niestety, ponieważ słowa te można dziś przytoczyć, nie ujawniając daty ich powstania, a pozostają nadal aktualne.

Nie uznaję tezy, że *„historia powtarza się"*, ale wiem, że w określonych warunkach określone przyczyny rodzą takie same lub podobne skutki. I obojętne, czy ustrój będziemy nazywali kapitalistycznym, czy socjalistycznym. Młodzi w każdych warunkach muszą mieć zapewnioną przyszłość, muszą swoje marzenia i dążenia lokować w określonych warunkach. Gdy tego nie mają, problem młodzieży staje ostro, a młodzież po prostu emigruje.

5.

Szczerze zachęcam do lektury dokumentów nie tylko historycznych. To pomaga w odrzucaniu schematów. Operacja taka jest mniej bolesna niż ta, kiedy zmusza nas do tego samo życie.

16.11.1989.

Traktat Wersalski — początek nowej wojny (2)

Kto naprawdę przegrał I wojnę światową

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

5. Nowa mapa Europy

W połowie stycznia 1919 roku zebrali się w Wersalu pod Paryżem przedstawiciele zwycięskich mocarstw: Georges Clemenceau — Francji, David Lloyd George — Wielkiej Brytanii, Vittorio Orlando — Włoch i Thomas Woodrow Wilson — Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Reprezentowali oni 27 państw, które były w stanie wojny z państwami centralnymi. Jak to obliczył Jerzy Krasuski w „Historii Rzeszy Niemieckiej 1871—1945" Niemcy wypowiedziały wojnę w 1914 roku 3 państwom: Rosji, Francji i Belgii, a w 1916 roku 2 państwom: Portugalii i Rumunii. Natomiast Niemcom wypowiedziało wojnę 27 państw, co i tak nie jest liczbą ścisłą, gdyż jedne z państw, które wojnę wypowiedziały przestały istnieć, a inne pojawiły się na mapie Europy.

W każdym razie, gdy zasiadano do obrad nad przyszłością Europy, była ona już inna niż w chwili, gdy rozpoczynała się I wojna światowa — czyli w sierpniu 1914 roku. Jedne państwa zniknęły z mapy, powstały inne. Rozpadły się całkowicie Austro-Węgry, a 12 listopada 1918 roku proklamowano Niemiecko-Austriacką Republikę.

Wprawdzie jeszcze nie rozstrzygnięto najważniejszego problemu nowej Europy — problemu granic między nowymi państwami — i nad tym biedzili się przedstawiciele zwycięzców, ale nowe państwa już istniały: Jugosławia, Czechosłowacja, Węgry, Polska, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia. Istniały lub właśnie stawały się, niekiedy w toku krwawej wojny domowej, jak choćby państwa nadbałtyckie. Ale i w innych rejonach nowej Europy nie było najspokojniej.

Sytuacja wielu państw była taka: w stolicy istniał rząd, dysponował armią, albo ją organizował, tworzył administrację, ale nikt dokładnie nie wiedział, jak przebiegają granice tego państwa. Tak było między innymi z Polską. Jeśli spojrzeć na mapę z końca 1918 roku, to wiadomo było, że Polska rozciągała się od Zakopanego na południu do Działdowa na północy, od Kalisza na zachodzie do... Na wschodzie toczyły się walki i wszystko było płynne. Bez wątpienia sięgała wówczas Polska do Bugu.

W Wielkopolsce powstanie wybuchło 27 grudnia 1918 roku i było to powstanie zwycięskie. Wielkopolska wróciła do Macierzy. Ale poza Polską pozostawały Mazury i Warmia, Śląsk Górny, znaczna część Małopolski. Jeszcze nie raz miała polać się krew w walce o przynależność do Polski Ślązaków.

6. O czym myślał Thomas Woodrow Wilson?

8 stycznia 1918 roku prezydent USA Thomas Woodrow Wilson wygłosił do Kongresu USA orędzie, w którym zawarł słynnych 14 swoich punktów w sprawie przyszłości Europy i świata. Warto może przypomnieć punkt 1, który wprawdzie bezpośrednio z opisywaną sytuacją nie ma związku, ale który ma związek z konsekwencjami, jakie ta sytuacja zrodziła. Oto ten punkt:

„Jawne traktaty pokojowe, jawnie zawarte, po których nie będzie już żadnych tajnych porozumień międzynarodowych, dyplomacja zaś będzie działać zawsze szczerze i jawnie".

Piękne to, ale jak pokazała powersalska rzeczywistość, zupełnie nierealne.

W sprawie rozpadu cesarsko-królewskich Austro-Węgier prezydent Thomas Woodrow Wilson tak postulował:

„10. Ludom Austro-Węgier, których miejsce między narodami pragniemy ochronić i zabezpieczyć, winna być przyznana całkowita możność autonomicznego rozwoju".

Życie wszakże i tu poszło dalej. Narody te nie po autonomię sięgnęły, ale po niezależny byt państwowy.

13 punkt orędzia Thomasa Woodrowa Wilsona dotyczył Polski i tak brzmiał:

„Należy stworzyć niezawisłe państwo polskie, które winno obejmować terytoria zamieszkałe przez ludność niezaprzeczalnie polską, któremu należy zapewnić swobodny i bezpieczny dostęp do morza i którego niezawisłość polityczną i gospodarczą oraz integralność terytorialną należy zagwarantować paktem międzynarodowym".

Piękny program. Tylko inaczej to sobie wyobrażali mieszkańcy Kraju nad Wisłą, a inaczej politycy w dalekiej Ameryce. U nas zawsze panuje mit, że politycy całego świata marzą tylko o tym, aby Polsce sprawić jakiś cenny upominek, aby o nią się zamartwiać, o jej przyszłości tylko myśleć. A prawda jest od lat taka, że politycy innych państw przede wszystkim mają na uwadze cele i interes państw własnych, a innych o tyle o ile tym własnym interesom służą. Tak było ze słynnym orędziem Thomasa Woodrowa Wilsona.

„Nie należało się bowiem łudzić — pisał w tym czasie polski polityk Marian Seyda — *jakoby w Waszyngtonie na kwestię polską tak patrzono, jak to sobie wyobrażało społeczeństwo nasze w kraju i za granicą. Przeciwnie, potwierdzały się nasze obawy, że gdy w Ameryce mówiono o państwie polskim, jego ludności „bezspornie polskiej" i jego „wolnym, bezpiecznym dostępie do morza", myślano nie o wcieleniu do Polski ziem, dających jej bezpośrednie oparcie o morze, lecz o neutralizacji Wisły".*

We wrześniu 1918 roku Roman Dmowski spotkał się z prezydentem Thomasem Woodrowem Wilsonem. Po tej rozmowie oświadczył:

— Obawialiśmy się, że sprawa w Ameryce stoi źle, ale nie przypuszczaliśmy, że tak źle, jak się okazało. Sekcja polska komisji House'a miała z góry instrukcje, ażeby ziemiami zaboru pruskiego nie zajmowała się. Znaczy to, że ci, od których instrukcja wyszła, nie mieli wcale zamiaru poruszać na konferencji pokojowej sprawy oderwania ziem zaboru pruskiego od Niemiec i spodziewali się, że ta sprawa nie przyjdzie wcale pod dyskusję.

Warto może przypomnieć, że Edward Mandell House był jednym z najbardziej zaufanych doradców prezydenta Thomasa Woodrowa Wilsona. Komentarz zatem zbyteczny. Zresztą politycy zwycięskich mocarstw doskonale umieli czytać mapy, zdawali więc sobie sprawę z faktu, że aby komuś coś dać, komuś to coś trzeba odebrać. Owszem chętnie odebrali Niemcom to i owo na zachodzie na rzecz Francji, ale nic na wschodzie Niemiec na rzecz Polski. Co więcej Polska na przykład nie otrzymała prawa konfiskaty poniemieckich dóbr — prawo to otrzymały inne państwa — nie otrzymała też prawa do odszkodowania. A mimo to fakt odrodzenia się Polski był w Niemczech przyjęty z... nienawiścią. Opinię taką wyraził najlepiej generał Hans von Seeckt — dowódca Reichswehry w liście do kanclerza republiki weimarskiej — Josefa Wirtha:

„Istnienie Polski jest nie do zniesienia (...) Musi ona zniknąć i zniknie przez własną słabość wewnętrzną i przez Rosję — z naszą pomocą".

Kanclerz Josef Wirth w liście do ambasadora niemieckiego 24 lipca 1922 roku stwierdził bezapelacyjnie:

„Polskę trzeba wykończyć".

19 maja 1922 roku w Rapallo minister spraw zagranicznych republiki weimarskiej — Walter Rathenau i komisarz ludowy spraw zagranicznych ZSRR — Gieorgij Cziczerin podpisali układ o normalizacji stosunków dyplomatycznych. Stwierdzenia z korespondencji niemieckich polityków brzmią dziś jak... przepowiednie i wytyczne na przyszłość, które sprawdziły się przecież. Bo też i Traktat Wersalski, który miał być początkiem epoki rozbrojenia, stał się zarzewiem nowego konfliktu.

7. Kto rzeczywiście przegrał pierwszą wojnę światową?

Wygrały ją cztery wielkie mocarstwa — inne niż w drugiej wojnie światowej — Stany Zjednoczone, Francja, Włochy, Wielka Brytania, a poza tym Japonia i inne państwa. Przegrały państwa centralne Tak by się zdawało. W rzeczywistości było trochę inaczej.

Bez wątpienia wojnę przegrały Niemcy, straciły one 13 procent swego terytorium sprzed 1 sierpnia 1914 roku, oddały Francji Alzację i Lotaryngię, Belgii niewielki rejon wokół miejscowości Eupen i Malmady, utraciły na 15 lat obszar Saary i mniej więcej na tyle lat strefę zdemilitaryzowaną po obu stronach Renu. Na wschodnim brzegu do 50 km.

Cesarstwo Austrii przestało istnieć. Przegrały ją bez wątpienia Węgry. Na mocy postanowień traktatu z Trianon z 4 czerwca 1920 roku Węgry utraciły 71,5 procent swego terytorium na rzecz Rumunii, Jugosławii, Czechosłowacji i Austrii. Politycznie już się nie podniosły po tych stratach. Niepodległa Austria powstała jako Niemiecko-Austriacka Republika, która miała połączyć się z Niemcami, ale zwycięskie mocarstwa zabroniły połączenia. Trudno byłoby mówić o zwycięstwie któregoś z tych dwu państw, jakie pozostały po dawnych Austro-Węgrach.

Byłoby też nieporozumieniem twierdzenie, że nowo powstałe państwa wygrały wojnę. Owszem odzyskały niepodległość po setkach lat niekiedy, ale stanęły wobec takiego ogromu trudności i wewnętrznych problemów, że nijak nie można uznać je za zwycięskie, choć może i chciałyby się za takie uważać.

Zupełnie nieźle wyszła na tej wojnie Rumunia. Zajęła Siedmiogród, Bukowinę, większą część Banatu, południową Dobrudżę. W 1920 roku Anglia, Francja i Włochy uznały włączenie do Rumunii Besarabii. Powstała „Romania Mare", co należy rozumieć jako „Wielka Rumunia".

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że wojnę tę przegrała również Rosja. Wprawdzie dawnej Rosji już nie było. Powstała Rosja Radziecka, ale — jakby na ten problem nie patrzeć — terytorialnie mniejsza. Powstały bowiem z jej dawnego terytorium państwa niezależne: Finlandia, Estonia, Litwa, Łotwa i Polska. Nowe państwo radzieckie straciło międzynarodowe znaczenie, jakie miała niewątpliwie carska Rosja, atakowane było ze wszech stron przez interwentów, trawione wojną domową, głodem, zniszczone i rozbite. Musiało odbudować się wewnętrznie, aby móc sięgnąć po należne jemu miejsce na międzynarodowej arenie politycznej.

Japonia i USA zajęte były sprawami własnych kontynentów, jeśli wziąć pod uwagę, że Japonia choć jest wprawdzie wyspą, to marzyło się jej panowanie nad całą Azją. Amerykanie chcieli trwać w spokojnej izolacji.

Trudno byłoby zatem powiedzieć, że wszyscy byli przegrani, ale wygranych jakoś było mało. I zadowolonych również.

8. „Haniebny dyktat" i „grabieżczy pokój"

Nie można się dziwić, że Traktat Wersalski został w Niemczech źle przyjęty. Pisano i mówiono z nienawiścią o *„haniebnym dyktacie"*, o *„wersalskim systemie"*. Warunki Traktatu Wersalskiego wręczono Niemcom w czerwcu 1919 roku. Kanclerz Philip Scheidemann natychmiast podał się do dymisji. To samo zrobił minister spraw zagranicznych, który te warunki odbierał, Ulrich von Brockdorff-Rantzau. 21 czerwca 1919 roku dowodzący niemiecką flotą internowaną w brytyjskiej bazie Scapa Flow rozkazał ją zatopić obawiając się wznowienia walk. 23 czerwca 1919 roku prezydent Friedrich Ebert zatelefonował do głównodowodzącego wojskami niemieckimi Paula von Hindenburga z pytaniem, czy Sztab Generalny, który stacjonował wówczas w Kołobrzegu, zdolny jest do podjęcia działań wojennych. Paul von Hindenburg wyszedł z pokoju, nie podjął słuchawki. Podjął ją szef Sztabu Generalnego Wilhelm Groener i odpowiedział przecząco. Niemcy niezdolne już były do podjęcia walki. Gdy połączenie zostało przerwane Paul von Hindenburg wrócił do pokoju i powiedział:

— Wziął pan na siebie wielki ciężar i znowu musi pan być czarną owcą.

Następnego dnia Paul von Hindenburg ustąpił ze swego stanowiska.

Traktat Wersalski bardzo źle został przyjęty w Rosji Radzieckiej. Radzieckim politykom wydawało się wówczas, że rewolucja światowa stoi już u progu Europy i wystarczy tylko iskra, aby rozgorzał z niej płomień. Odpowiadając na pytania dziennikarza „Unites Press" Włodzimierz Lenin powiedział:

— Kapitaliści, burżuazja, mogą w „najlepszym" dla nich wypadku odwlec zwycięstwo socjalizmu w tym lub innym poszczególnym kraju za cenę zagłady dalszych setek tysięcy robotników i chłopów. Ale uratować kapitalizmu nie mogą. Na jego miejsce przyszła republika radziecka, która daje władzę ludziom pracy...

Zwycięstwo międzynarodowej republiki radzieckiej jest pewne.

Włodzimierz Lenin ówczesny świat widział jako umierający, który musi doprowadzić do pełnego zwycięstwa socjalizmu w skali globalnej. W rezolucji przyjętej 3 kwietnia 1919 roku na nadzwyczajnym posiedzeniu Moskiewskiej Rady Delegatów Robotniczych i Czerwonoarmijnych znalazło się następujące stwierdzenie:

„Zebranie stwierdza jednak, że wola robotników nie osłabła, że klasa robotnicza nadal trwa na posterunku, że jest głęboko przekonana, iż przezwycięży wszystkie trudności i za wszelką cenę wywalczy zwycięstwo Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w Rosji i na całym świecie".

Włodzimierz Lenin był w tym czasie głęboko przekonany, że *„we wszystkich wrogich nam państwach rosną przyjazne nam siły"*, że w Niemczech *„zaraz po podpisaniu pokoju wersalskiego rozpoczął się tam potężny ruch rewolucyjny"*, że *„Ameryka i Japonia lada chwila rzucą się na siebie"*, że Anglia i Francja chcą *„rzucić się na siebie w imię podziału kolonii i wojna imperialistyczna znów się zbliża, a zapobiec jej nie można"*. Opierając się na tych przesłankach w referacie wygłoszonym na I Wszechrosyjskim Zjeździe Pracujących Kozaków, który to Zjazd odbył się 1 marca 1920 roku, powiedział:

— Wszystko to sprawia, że rewolucja międzynarodowa coraz bardziej się pogłębia.

Pogląd ten stał się podstawą planu strategicznego w wojnie z Polską w 1920 roku. Potwierdza to Michaił Tuchaczewski w swoich wykładach, które później ukazały się jako „Pochód za Wisłę", z którymi polemizował Józef Piłsudski. Otóż Michaił Tuchaczewski tak napisał:

„Czy Europa mogła odpowiedzieć na ten ruch socjalistyczny przez wybuch rewolucji na Zachodzie? Wypadki mówią, że tak. (...)

We wszystkich krajach europejskich położenie kapitału zachwiało się. Klasa robotnicza podniosła głowę i porwała za broń. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski".

Problem był jednak bardziej skomplikowany. Jeśli nawet niemieccy robotnicy utrudniali transportowanie broni do Polski, to nie zawsze z solidarności z rosyjską klasą robotniczą, co nie znaczy, że takich wypadków nie było, ale z powodu nienawiści lub — delikatniej mówiąc — niechęci do odrodzonej Polski. Poza tym ani Włodzimierz Lenin, ani Michaił Tuchaczewski nie potrafili docenić woli utrzymania niepodległości przez Polaków, niepodległości leddwie co odzyskanej, a już ponownie zagrożonej. Trudno jednak zaprzeczyć, że przegrana wojna z Polską w 1920 roku zniweczyła plany na światową rewolucję.

Odpowiadając na pytanie Katsuji Fuse — korespondenta japońskich pism „Osaka Mainichi" i „Tokio Nichi-Nichi" Włodzimierz Lenin powiedział:

— Po pierwsze, odnieść zwycięstwo nad polskimi obszarnikami, po drugie, wywalczyć trwały pokój, następnie, po trzecie, zająć się rozwojem naszego życia gospodarczego.

Była to odpowiedź na pytanie: — *Jakie są najbliższe zadania rządu radzieckiego?* — Rozmowę przekazano telegraficznie z Moskwy 4 czerwca 1921 roku.

9. Ten pokój groził wojną.

Twórcy Traktatu Wersalskiego niewątpliwie chcieli jak najlepiej. Czy zabrakło im wyobraźni? Nie sądzę. Nie wyzwolili się jeszcze ze schematów myślenia dziewiętnastowiecznego o polityce. Wojna uruchomiła nowe siły. Te siły spowodowały, że zmieniła się nie do poznania mapa Europy. Czy były to zmiany trwałe? Praktyka polityczna pokazała, że nie traktowano ich w taki sposób. Wprawdzie zabroniono Austrii połączenia się z Niemcami, ale Adolf Hitler konsekwentnie łamiący postanowienia Traktatu Wersalskiego, dokonał tego, czego wcześniej zabroniono. Przy cichej aprobacie powersalskiej Europy.

Podobnie stało się z Czechosłowacją. Zaaprobowano jej rozbiór i likwidację, jakby nie rozumiejąc, że Adolf Hitler spokojnie i bez czyjegokolwiek sprzeciwu przywraca przedwersalski porządek. Likwiduje *„sztuczne twory"* Traktatu Wersalskiego. Nie on jeden miał takie zamiary. Między innymi do „odebrania" byłych terytoriów dążyły Węgry. Częściowo im się to udało. Zajęły Ruś Podkarpacką i dwie trzecie Siedmiogrodu. Otrzymały też kawałki Jugosławii. Rumunia natomiast przekazała ZSRR Besarabię, która została włączona do Mołdawskiej SRR. ZSRR nigdy do tego czasu nie pogodziła się z utratą Besarabii.

W 1933 roku Melchior Wańkowicz pojechał z wycieczką do Moskwy. W relacji z tej podróży w książce „Opierzona rewolucja" jest takie stwierdzenie:

„W Niegoreloje oglądam malowidła ścienne. Jedną całą ścianę pokrywa olbrzymia mapa przemysłowa Rosji. Na mapie tej Besarabia jest uwidoczniona jako część SRR".

Takich miejsc, które stanowiły zadrażnienia na nowej mapie Europy było wiele. Jednym z nich była... Polska. 23 sierpnia 1939 roku Joachim von Ribbentrop — minister spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy — przy pełnej aprobacie Adolfa Hitlera i Wiaczesław Mołotow — komisarz ludowy spraw zagranicznych ZSRR — przy pełnej aprobacie Józefa Stalina i w jego obecności, podpisali układ o współpracy między Trzecią Rzeszą i ZSRR. Istotna część tego układu zawarta była w tajnym protokole.

Prezydent USA usiłując porządkować sprawy tego świata — a przynajmniej świata po pierwszej wojnie światowej — zakładał tylko jawną dyplomację i to, że nikt nie będzie już zawierał tajnych porozumień. Praktyka już wcześniej dowiodła, że zamiar Thomasa Woodrowa Wilsona był przynoszącym mu zaszczyt marzeniem. Joachim von Ribbentrop i Wiaczesław Mołotow 23 sierpnia 1939 roku zrobili tylko to, co przed nimi robili inni. Wszakże nie technika zawierania porozumienia tak nas do dziś oburza, ale istota tego, co wówczas w tajemnicy postanowiono, a co zaważyło nie tylko na dalszych losach powersalskiej Europy, ale i świata.

Adolf Hitler stopniowo i konsekwentnie likwidował kolejne postanowienia Traktatu Wersalskiego: zajął Nadrenię, przyłączył Austrię do Rzeszy Niemieckiej, zabrał Czechosłowację, przyłączył do Prus Wschodnich Kłajpedę. Teraz przyszła kolej na kolejny *„sztuczny twór"* Traktatu Wersalskiego — na Polskę, którą już niebawem Wiaczesław Mołotow nazwie *„wersalskim bękartem"*. W punkcie 1 tajnego protokołu z 23 sierpnia 1939 roku postanowiono:

„W wypadku terytorialno-politycznych przeobrażeń na terenach należących do państw nadbałtyckich (Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa), północna granica Litwy będzie zarazem granicą sfer interesów Niemiec i ZSRR".

Tak się składa, że wszystkie państwa wymienione w tym punkcie tajnego protokołu przed 1 sierpnia 1914 roku należały do cara Wszechrosji.

Z tego punktu widzenia interesujący jest podział Polski postanowiony 23 sierpnia 1939 roku.

„2. W wypadku terytorialno-politycznych przeobrażeń na terenach należących do Polski, sfery interesów Niemiec i ZSRR zostaną rozgraniczone w przybliżeniu wzdłuż linii rzek Narwi, Wisły i Sanu. (...)"

Dalszych ewentualnych zmian miano dokonywać *„w drodze przyjaznego porozumienia"*. A to okazało się konieczne. Wprawdzie wytyczona linia rozgraniczająca nie do końca przypominała granicę między Cesarstwem Niemiec a Cesarstwem Wszechrosji z 1 sierpnia 1914 roku, ale rozgraniczenie to robiono w pośpiechu i... zapomniano o małej rzece Pisie. Dopiero 26 września 1939 roku dokonano niezbędnej korekty — zrobił to Józef Stalin kreśląc ołówkiem na mapie — i Trzecia Rzesza otrzymała tereny Polski do Bugu, a w zamian oddała ZSRR Litwę. Zawarto wówczas układ o granicy i przyjaźni.

Nowa wojna światowa była już faktem. Narodziła się ta wojna w Wersalu, gdy politycy obarczeni dziewiętnastowiecznym sposobem myślenia nie potrafili przewidzieć, że ich decyzje niczego w zasadzie nie rozwiązują, a przeciwnie — wiele komplikują. I te komplikacje rodzą sprzeczności, które są już w zarodku przyczyną nowej wojny.

■

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

MINISTER

Kiedy zostanie zniesiona trzecia zmiana dla kobiet ciężko pracujących?

Przyjdzie Kuroń i wyrówna

KONRAD FREJDLICH

O przyjeździe Jacka Kuronia do Łodzi mówiło się od paru tygodni. Pomimo upośledzenia płacowego robotnicy przemysłu włókienniczego nie wysuwali wygórowanych żądań pod adresem nowego rządu, przede wszystkim zaś wyjątkowo korzystali z broni strajkowej, chociaż spuszczone ze smyczy ceny dotknęły ich jeszcze boleśniej niż innych. Protesty, jakie tu miały miejsce, bardziej zasługują na miano „przerw w pracy", używając eufemizmu z epoki Gierkowskiej, niż strajku wraz z jego skomplikowaną dramaturgią.

Ale Łódź to beczka prochu. A kiedy zaczynają się buntować kobiety, które stanowią większość zatrudnionych, oznacza to, że sytuacja staje się nieznośna. Przekonywali się o tym raz po raz architekci „socjalizmu realnego". Na początku rządów Edwarda Gierka łódzkie prządki zastopowały wzrost cen mięsa. Robotnice zakładów im. Obrońców Pokoju tak wystraszyły swoją determinacją Piotra Jaroszewicza, że spowodował, nie jedyny raz w swojej niesławnej karierze, odwołanie niepopularnych decyzji. Nie powitały go bowiem chlebem i solą jak nakazuje staropolski obyczaj, tylko szarpały za ubranie, do czego nie nawykł. Znam to tylko z relacji świadków, gdyż ówczesne władze partyjne w Łodzi zakazały wstępu dziennikarzom, poza najbardziej zaufanymi.

Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju, znane także jako „Uniontex", przypomniały o sobie w sierpniu 1989 r. Stanęły, na szczęście, na krótko. Była to reakcja na galpujące, jak się zdawało wówczas, ceny żywności, które dopiero z końcem lata nabrały prawdziwego przyspieszenia. Dziś role się odwróciły, to tak zwane neozwiązki bardziej skore są do protestu, „Solidarność", która wygrała czerwcowe wybory i sformułowała, nie bez przygód, koalicyjny rząd, nawołuje do wstrzemięźliwości. Ale sytuacja działaczy, zwłaszcza zakładowych, nie jest łatwa: ludzie oczekują cudu! Przyzwyczailiśmy ich bowiem do tego, że zmiana kolejnej ekipy, przynajmniej w początkowym okresie, przynosiła zauważalną ulgę. Teraz tak się nie stało, z ławy rządowej słychać wołania o zaciskanie pasa. Nie jest to głos padający w próżnię, ale rośnie też niecierpliwość.

W „Uniontexie" nastroje osiągnęły taką temperaturę, że konieczne było spotkanie z nowym ministrem pracy i polityki społecznej. Jest nim, jak wiadomo, Jacek Kuroń, jeden z najbardziej kontrowersyjnych kierowników resortu w ekipie Tadeusza Mazowieckiego. Przez jednych uwielbiany, przez innych nie lubiany — oto cena, którą przychodzi płacić za osobowość. Jacek Kuroń bowiem nie siedzi jak mysz pod miotłą, często pokazuje się publicznie, a nawet zabiera głos w okienku telewizyjnym.

Grupa pracownic z „Uniontexu" zapowiedziała reporterowi „Tygodnika Solidarność", że na spotkanie z ministrem kobiety przyjdą z pustymi miskami. Ale w hali sportowej **„Włókniarza"**, gdzie w tłumie przedstawicieli załóg przemysłu lekkiego oczekuję na przyjazd **Jacka Kuronia,** nie widzę tych atrybutów protestu.

W hallu stoisko z wydawnictwami „Faktu", stosik publikacji w nieciekawych, kartonowych oprawach. „Mikołajek w szkołach PRL", „Napaść sowiecka" (bez autora) i Osmańczyka: „Polska i Izrael". Obok, po 500 zł, rozprowadzane są znaczki na sztandar zakładowy „Solidarności". Sprzedający nudzą się, mają mało zajęcia.

Pojawienie się, po akademickim kwadransie, ministra **Jacka Kuronia** sala wita oklaskami. Nie jest to aplauz, raczej kurtuazja, chociaż nad stołem prezydialnym wisi na tle barw narodowych rzucający się w oczy napis „Solidarność", a na jednej ze ścian rozpięty jest transparent **z niebieskimi** literami: **ABY POLSKA BYŁA POLSKĄ.** Nic za darmo, dziś klaszcze się za coś.

Paweł Lipski z Regionalnej Komisji Organizacyjnej „Solidarności Ziemi Łódzkiej", wyjaśnia cel wizyty. Przypomina o niepokojach wśród załóg przemysłu lekkiego. Uprzedza, że nie będzie sprawą prostą uporządkować kilkudziesięcioletnie zastałości, których wyrazem jest ruina gospodarki. Zachęca do zadawania pytań ministrowi, albo bezpośrednio z sali, gdzie przygotowano mikrofony albo za pośrednictwem stołu prezydialnego, gdzie można podawać kartki. Sam zresztą, nie dając ministrowi czasu na oswojenie się z widownią wywołuje pierwszy problem: **kiedy zostanie zniesiona trzecia zmiana dla kobiet ciężko pracujących?**

Ale **Jacek Kuroń** jest w swoim żywiole. Dzierżąc w dłoniach mikrofon z długim przewodem, podchodzi do pierwszych rzędów sali, jakby chciał lepiej przyjrzeć się słuchaczom. Jego przejściu towarzyszą błyski lamp elektronowych i pasma silnych świateł halogenów, przed którymi próbuje się uchylić w obronnym geście.

Minister pracy i polityki socjalnej unika, jak tylko może, posądzenia o dygnitarstwo. Ubrany w niebieski sweter i dopasowane kolorystycznie spodnie, stara się nie prowokować skojarzeń z gabinetową figurą w starym stylu. Jego chrypliwy, ale ciepły głos, dobrze znany milionom ludzi z telewizyjnych pogadanek, wypełnia teraz salę, która wymaga od niego cudotwórstwa. Świadczy o tym kolejne pytanie, gdzieś ze środkowych rzędów krzeseł: **kiedy rząd wprowadzi wszystkie wolne soboty?**

— Ja bym chętnie podjął dyskusję, aby cofnąć wszystkie wolne soboty — odpowiada szczerze **Jacek Kuroń.** I rozwija to zagadnienie, aby zakończyć: — Bo sytuacja jest prosta, jak się komuś spalił dom, to nie rozważa, jakie ma dni wolne i ile godzin pracuje w tym czasie, kiedy ten dom próbuje odbudowywać.

Ale oto temat następny, obrachunkowy: **dlaczego rząd Solidarnościowy nie rozlicza błędnych działań poprzedniej ekipy?** Odpowiedź na to pytanie, z kategorii politycznych, minister Jacek Kuroń zaczyna od swego ulubionego dowcipu, także politycznego. Są dwa sposoby na to, aby Związek Radziecki opuścił kraj, do którego wszedł: sposób cudowny i sposób zwyczajny. Zwyczajny sprowadza się do tego, że przylatuje Anioł Gabriel z mieczem w dłoni i wypędza Rosjan, cudowny zaś polega na tym, że sami wychodzą.

W Polsce jednak swoisty cud się dokonał, mamy bowiem do czynienia z pokojowym przechodzeniem od systemu do systemu co na ogół, na świecie, wiąże się z wojną domową. Ponieważ w tym wypadku nie chodzi o zwykłą zmianę ekipy rządzącej, tylko o radykalne odwrócenie sytuacji.

— Stary system — ciągnie minister **Jacek Kuroń** — zawalił się pod własnym ciężarem, a ludzie związani z tym systemem chcą i my też tego chcemy, aby się wpisali w nowy system i znaleźli w nim dla siebie miejsce. I to nie w więzieniach, tylko na różnych stanowiskach pracy.

Zapowiada, że nowy rząd nie będzie nikogo rozliczał za przeszłość. To powód pierwszy, polityczny.

— Ale tak prawdę mówiąc — wyjaśnia **Jacek Kuroń** ze świadomością, że głosi rzecz dla tej sali niepopularną — to nie bardzo za co jest ich rozliczać. Bo mamy tu do czynienia z pewną systemową całością, w której się oni, każdy z osobna, szarpali, ale niewiele mogli poradzić. Odpowiedzialność mogliby ponieść, w świetle prawa Jakub Berman, Bolesław Bierut. Do odpowiedzialności można by pociągnąć Władysława Gomułkę za Wydarzenia Grudniowe 1970 r. Ale tamci ludzie dawno nie żyją. Na późniejszych ekipach taki balast nie ciąży. Ich odpowiedzialność polega na tym, że nie potrafili sami odejść, kiedy się okazało, że nie dają rady.

Celowo przytaczam tu tak obszerne fragmenty wypowiedzi **Jacka Kuronia,** czasem ze stenograficzną dokładnością, choć zdaję sobie sprawę, że nawet protokolarny zapis nie wystarczy do uświadomienia sobie politycznej filozofii nowego rządu. Szukanie winnych jest bowiem rzeczą ludzką, nawet jeśli nosi znamiona odwetu i trudno się temu dziwić. Zresztą istnieje wyrobiony w przeszłości nawyk społeczny, kiedy łatwo znajdowano kozły ofiarne: raz były to „psy łańcuchowe imperializmu", innym razem rewizjoniści albo elementy syjonistyczne, później „Solidarność". **Ekipa Tadeusza Mazowieckiego,** wbrew oczekiwaniu wielu środowisk, które ją popierają, stara się zerwać z tą praktyką.

Ale **celem wizyty Jacka Kuronia w Łodzi** nie było tylko wyjaśnianie filozofii politycznej nowego rządu. Widziano w nim przede wszystkim ministra pracy i polityki społecznej, a więc człowieka, który ma wpływ na politykę płacową, rozszerzanie przywilejów zawodowych, na dodatkowe świadczenia zakładów. Świadczy o tym ogromna seria pytań zadawanych z prezydium, gdzie siedział przyglądający się wszystkiemu w milczeniu przewodniczący „Solidarności" w „Uniontexie" **Norbert Winerowicz,** oraz z sali, niekoniecznie przy wykorzystaniu mikrofonu, bo niektórzy, widocznie bardziej krewcy, woleli mówić z własnych miejsc.

Kiedy przestaną być wliczane do urlopu wolne soboty? Kiedy nastąpi likwidacja przywilejów branżowych lub też kiedy rząd przystanie na podpisanie Karty Włókniarza? Co włókniarze będą mieli z „wykupienia przywilejów"? Czy i kiedy zacznie funkcjonować nowy system przechodzenia na emeryturę? Dlaczego zostały wstrzymane nagrody z zysku? Czy zmienią się zasady odpisu na fundusz socjalny? Jak wygląda polityka płacowa w IV kwartale tego roku i jaka będzie w przyszłym? Czy prawidłowa jest sytuacja, gdy nagroda z zysku w przedsiębiorstwie dzielona jest tylko wśród pracowników administracji?

Jacek Kuroń odpowiadał na wszystkie te pytania: cierpliwie, długo i nawet nie zawile. Jeśli nie miał wyrobionego stosunku do sprawy, prosił o zgłoszenie jej do swojego ministerstwa zobowiązując się przysłać wyjaśnienie w ciągu dwóch tygodni. Ale znacznej części ludzi nie zadowolił, kiedy zrozumieli, że **minister przyjechał z pustym portfelem.**

Bowiem populizm nie jest wyłącznie domeną **Alfreda Miodowicza,** jest to filozofia życiowa sporego odłamu naszego społeczeństwa. W sali „Włókniarza" wielu, zwłaszcza, zaś ci, co zarabiają najmniej, spodziewało się że **Jacek Kuroń przyjedzie i ... wyrówna.** Do średniej krajowej, w myśl zasady, że wszyscy mają jednakowe żołądki. Jest swoistym paradoksem historii, że to właśnie Solidarnościowy minister musiał rozwiewać tę pseudosocjalistyczną mrzonkę, którą długo karmiono w Polsce robotników. To przecież z robotniczego protestu narodziła się „Solidarność".

Nie zawsze jego wyjaśnienia albo pomysły przyjmowano ze spokojem. **Jacek Kuroń** nie obraził się, gdy tkaczka z „Uniontexu" zaatakowała szyderczo wydawanie darmowych zup, które podobno zjadają spekulanci. Tak ma być **w Łodzi, na „Górniaku".**

— Jak my, co zarabiamy po dwieście tysięcy, mamy żyć? To po co ten Kuroń, Mazowiecki? — pytała z pasją ta sama robotnica.

Inna, która jest już na emeryturze, skarżyła się, że po trzydziestu dziewięciu latach pracy w Polsce Ludowej, otrzymuje 56 tys. zł.

Tę kobietę minister mógł przynajmniej pocieszyć: w najbliższym czasie najniższe emerytury przekroczą 100. tys. zł. Tyle właśnie wynosi obliczone ostatnio minimum socjalne.

Jacek Kuroń starał się na wszystkie sprawy spoglądać globalnie, ale to właśnie wzbudza u ludzi coraz mniej entuzjazmu, gdyż oczekują konkretów. Może właśnie to skłoniło **Pawła Lipskiego** do cierpkiej uwagi stołu prezydialnego:

— Zrobiła się z tego pogadanka na temat trudności rządu!

Naprawdę zaś spotkanie przekształciło się w pewnym momencie, za sprawą upartej szwaczki z „Progalu", w wolną trybunę pokrzywdzonych. Zarobki chałupniczek zatrudnianych przez tę firmę wynoszą obecnie nieco ponad 50 tys. zł. A ponieważ są to wszystko matki wychowujące małe dzieci, kobiety te nie mogą strajkować. Zresztą niewiele by im dało, gdyby w słusznym odruchu protestu wywiesiły flagi w swoich własnych mieszkaniach.

— Pisałam wszędzie — kontynuowała zaciekle mówczyni — do „Sztandaru Młodych", do KC...

Po tej uwadze przez salę przebiega szmerek dobrotliwego śmiechu, ale kobieta tego nie zauważa.

— Mówiłam to też pani poseł Dmochowskiej, i trochę pomogło, ale tylko trochę...

Jacek Kuroń także jest szczery, stwierdza, że ministrowie nowego rządu również zarabiają stosunkowo niewiele, mnożnik 3,5 średniej krajowej. On sam zarabia 730 tys. zł miesięcznie, mniej niż inni członkowie rządu, bo ma zerową wysługę lat, podczas gdy pozostali mają dodatki stażowe. Koledzy Jacka Kuronia otrzymują więc średnio po około 800 tys. zł. Premier **Tadeusz Mazowiecki** otrzymuje pobory równe 4,5 średniej płacy krajowej.

— I ma już drugi płaszcz — dodaje pół żartem, pół serio minister. Ale szczerość ta nie znajduje dostatecznej nagrody.

— A co ma powiedzieć taka kobieta, która zarabia sto tysięcy złotych?

Nie jest to pytanie tylko retoryczne, bo takie kobiety siedzą również na tej sali. Więc **Jacek Kuroń** wyjaśnia, że to nie rząd podnosi ceny, że decyzja należy do producentów.

— Ja zdaję sobie sprawę, jak ciężko jest żyć, zwłaszcza kobietom. Głęboko wierzę, że w ciągu roku zacznie się polepszać — stwierdza na zakończenie.

Przypominają mu, że limit czasu się wyczerpał, że czeka go jeszcze kolejne spotkanie.

W drodze do wyjścia z hali zapala pośpiesznie papierosa. Przedstawiciele załóg przemysłu lekkiego bez pośpiechu także opuszczają salę. W tłumie słyszę wypowiadane półgłosem uwagi.

— Nie powinien rezygnować z tych pogadanek telewizyjnych.

— Jaruzelski też obiecywał.

— Słyszałam, że butelka szampana u „Mariotte'a" kosztuje milion osiemset tysięcy.

Mijam stoisko z wydawnictwami „Faktu", stosik publikacji prawie nie zmalał. Tylko stolik, gdzie sprzedawano znaczki na sztandar zakładowej „Solidarności" jest już uprzątnięty. Obsługa tak się pośpieszyła, czy ludzie wszystkie rozebrali?

Za halą dmucha chłodny wiatr, wszyscy szczelniej zapinają płaszcze, stawiają kołnierze. Mroźne podmuchy przypominają, że zbliża się zima.

Kto wykona ten brutalny gest?

Jak zreformować radio i telewizję

WOJCIECH BRUSZEWSKI

11 listopada 1989 r. z inicjatywy Komitetu Organizacyjnego Radia „Solidarność" Regionu Mazowsze odbyło się spotkanie ludzi zainteresowanych uruchamianiem wolnych i niezależnych stacji radiowych i telewizyjnych w Polsce. Obecny był senator **Zbigniew Romaszewski**, twórca nielegalnego radia „Solidarność", które oficjalnie zakończyło działalność 30 czerwca 1989 r.

Zebrani przedyskutowali dwa podstawowe problemy: istniejący stan prawny i przewidywane zmiany oraz zagadnienia techniczne związane z uruchomieniem lokalnych stacji radiowych. Stan prawny na dziś utrzymuje całkowity monopol państwa w dziedzinie telekomunikacji. Zmiana tego stanu rzeczy w obecnych warunkach wydaje się oczywista nie tylko dla zwolenników pluralizmu informacyjnego, do których niewątpliwie zaliczyć należy zebranych na sali inicjatorów wolnego radia, ale również dla przedstawicieli władzy. W trosce o absolutne panowanie w eterze i na łączach kablowych władza wpadła w końcu w własne sidła. Modernizacja przestarzałej sieci telekomunikacyjnej nie jest możliwa bez udziału kapitału zagranicznego. Obecny stan prawny uniemożliwia często tworzenie spółek z udziałem zagranicznym w dziedzinie do tej pory tak skrupulatnie strzeżonej czy wręcz TAJNEJ!

Inicjatorzy spotkania przedstawili swój projekt nowelizacji ustawy o łączności z roku 1984. Obecni na sali przedstawiciele **Krakowskiej Fundacji Komunikacji Społecznej** przedstawili zbieżny w intencjach własny projekt. Powołano Komisję, która ma za zadanie ujednolicenie tekstu i przedstawienie go posłom z OKP w celu uruchomienia tzw. inicjatywy ustawodawczej. Zebrani zostali poinformowani, że prace nad nowelizacją ustawy o łączności prowadzone są również w resorcie łączności, przy czym kierunek proponowanych tam zmian jest zbieżny z oczekiwaniami społecznymi.

W pierwszej części spotkania wzięli udział przedstawiciele Radiokomitetu. Głos zabrał pan **Karol Jakubowicz**, przewodniczący Komisji do Spraw Reformy Radia i Telewizji w Polsce, podkreślając, że jego komisja zajmuje się nie tylko reformą Radiokomitetu, ale czymś więcej, na co wskazuje jej nazwa. Zebrani nie dowiedzieli się jednak niczego na temat reformy samego Radiokomitetu, natomiast ze zdumieniem przyjęli do wiadomości, że **Komitet ds. Radia i Telewizji** już teraz jest zatroskany losem jeszcze nie istniejącej wolnej radiofonii. Komisja ta zastanawia się, jak zapobiec rozczarowaniom entuzjastów wolnego radia, gdy po paru latach zapał ich wypali się, jak to miało ponoć miejsce we Włoszech i Francji. Komisja zastanawia się, jak zapobiec komercjalizacji społecznej radiofonii, czy wręcz jak uchronić niedoświadczonych i naiwnych rodaków przed bankructwem. Komisja (wzorem bardziej doświadczonych krajów) zastanawia się jakie zastosować bariery (np. referendum lokalne), aby ustrzec społeczeństwo, a głównie jego wrażliwe ucho, przed wielkim niebezpieczeństwem, jakie niesie za sobą widzimisię właściciela stacji radiowej czy telewizyjnej.

Brałem udział w tym spotkaniu jako osoba prywatna, a jednocześnie jako artysta, który ideę legalnie działającego wolnego radia zrealizował praktycznie poza granicami kraju. W licencji, jaką otrzymałem od Poczty Niemieckiej, nie ma ani jednego słowa na temat merytorycznej treści programu **Radiostacji Ruiny Sztuki w Berlinie Zachodnim.** Określa się natomiast, bardzo precyzyjnie warunki techniczne, jakich przekroczyć mi nie wolno. Dotyczą one mocy nadajnika, zasięgu, rodzaju emisji oraz opłat. Nie oznacza to, że tamtejsze władze nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć, co jest treścią mojego programu. Z punktu widzenia władz program mój poddany jest tylko jednemu kryterium — pozostawania w zgodzie z obowiązującym prawem. Nikt natomiast nie pytał mieszkańców Berlina, czy mają ochotę mieć na skali swych odbiorników jeszcze jedną stację, tak, jak nikt ich nie pyta, czy mają ochotę mieć w sklepie jeszcze jeden gatunek sera.

Przeciwnie, nieudzielenie licencji przy posiadaniu wolnego pasma, mogłoby być zaskarżone do sądu, jako forma ograniczenia swobód obywatelskich — w tym wypadku swobód obywatelskich moich artystycznych sponsorów.

Mój pogląd, który przedstawiłem zebranym w Warszawie, jest następujący:

— wolna radiofonia i telewizja jest potrzebna demokratycznemu społeczeństwu tak samo, jak wolna prasa,

— wolna, to nie tylko ta „dobra" i „na wysokim poziomie", ale również taka, na jaką stać nadawcę, w tym i komercjalna i „nieprofesjonalna",

— wolna, to również taka, która odbiorcy daje możliwości wyboru; taka, która nie myśli za niego i która nie wątpi w jego inteligencję,

— wolna, to taka, która zaspokaja różne potrzeby poprzez wysoce pluralistyczne przekręcenie gałki zakresu radioodbiornika.

Są to sprawy tak oczywiste, że aż włos się jeży na głowie, że trzeba je powtarzać wątpiącym w ludzki rozum komisarzom. Bardzo wysokie urzędy nie zdołały powstrzymać instalowania anten satelitarnych na polskich domach. O tym nie powinna zapominać komisja pana **Karola Jakubowicza**, która nie ma żadnego wpływu na widzimisię nadawcy z kosmosu.

Moim zdaniem powinniśmy dążyć do nowej sytuacji poprzez nową jakość strukturalną, jaką będzie — na początek — sieć niezależnych stacji radiowych. Entuzjaści łączcie się! — ale nie w nowy radiokomitet, ale w sieć niezależnych programowo i ekonomicznie jednostek prywatnych, spółdzielczych czy państwowych. Łączcie się, ponieważ dysponując zakresem lokalnym, tworząc coś na kształt rynku radiowego, może mieć zasięg ogólnopolski. Łączmy również wysiłki w kierunku reformy istniejącego Radia i Telewizji. Nie są to instytucje prywatne i społeczeństwo poprzez swoich przedstawicieli w Sejmie nie pozostaje tak całkiem bez wpływu na poczynania „reformującego się" Radiokomitetu.

Sprawą — wydaje się najważniejszą — jest pozbawienie go monopolu, a więc realizacja postulatu, który ten monopolista reklamuje na co dzień jako zdrową zasadę organizacyjną wszelkich form reformującego się państwa. To stanie się w momencie uchwalenia nowych, zgodnych z naszymi oczekiwaniami ustaw.

Sprawą drugą, nie mniej ważną, wydaje się decentralizacja tego monstrum. W chwili obecnej sytuacja wygląda mniej więcej tak: centrala (czyli Warszawa) dysponując państwową dotacją oraz rozbudowanym aparatem techniczno-biurokratycznym, jest praktycznie samowystarczalna. Przy okazji zdalnie steruje piątym kołem u wozu czyli ośrodkami regionalnymi. Niechętnie oddaje im część WŁASNYCH funduszów, które bez żadnych przeszkód mogłyby być skonsumowane w stolicy. Po co kontynuować ten chory schemat? Czy nie lepiej usamodzielnić programowo i ekonomicznie ośrodki regionalne przydzielając im dotację rządową w tej samej wysokości, w jakiej otrzymują one obecnie z centrali? Podporządkować je samorządom terytorialnym. Włączyć w postulowany wyżej rynek radia. Dopuścić do wchodzenia w spółki z kapitałem prywatnym, krajowym lub zagranicznym. Pozwolić na sprzedaż czasu antenowego innym wolnym rozgłośniom nie posiadającym własnego nadajnika.

Byłaby to reforma, która nie wymaga żadnych inwestycji finansowych z pustej, jak wiadomo, kasy państwowej. Wywołałaby oczekiwane uruchomienie inicjatywy środowisk prowincjonalnych przy nieoczekiwanym spadku zapotrzebowania na produkcję z centrali. W ten sposób środki pozerane przez centralę na obsługę terenu mogłyby być przesunięte właśnie w teren.

Oto pytania i problemy, nad którymi powinni zastanowić się również pracownicy regionalnych ośrodków Radiokomitetu, a nie tylko jego centralna Komisja. Zwróćmy uwagę, że nadajniki regionalne pracują na potrzeby regionu tylko „na pół lub ćwierć gwizdka". Reszta potencjalnej mocy, a tym samym i zamrożonych społecznych środków, to bieg na luzie lub senny żywot urządzeń retransmitujących centralnie serwowany program. Ta sytuacja ma również pewien psychologiczny wpływ na senną atmosferę, jaka udziela się regionalnym gwiazdom dziennikarstwa radiowo-telewizyjnego, przy czym sen wydaje się być bardziej twardy lub tylko bardziej widoczny w telewizji. Nagłe zniknięcie ośrodka telewizyjnego w Łodzi byłoby prawdopodobnie zauważone tylko przez niemile przebudzonych pracowników tej firmy. Społeczna Telewizja i Społeczne Radio, o których mówi się coraz częściej nawet wśród przedstawicieli najwyższych władz Radiokomitetu, musi stać się faktem nie tylko z nazwy. Ale nie można spodziewać się, aby centrala sama się zdecentralizowała, a monopolista sam się zdemonopolizował. Trudno sobie wyobrazić, aby **Komisja do Spraw Reformy Radia i Telewizji w Polsce sama sobie wbiła nóż w plecy.**

Ten brutalny gest wykonać musi ktoś z zewnątrz. ■

Obradowało Łódzkie Porozumienie Obywatelskie

Kto zostanie dyrektorem telewizji w Łodzi?

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Na prośbę prezydenta Miasta Łodzi **Waldemara Bohdanowicza** odbyło się 13 listopada 1989 roku zebranie **Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego.** Zgłoszono dwoje kandydatów na stanowisko dyrektora Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego — **Iwonę Śledzińską-Katarasińską** i **Marka Markiewicza.** Kandydatura **I. Śledzińskiej-Katarasińskiej** została wysunięta przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i RKO. Osoba **Marka Markiewicza** za najwłaściwszą do kierowania łódzką TV została uznana i poparta przez SDP, Zarząd Stowarzyszenia Adwokatów Polskich i Zarząd Regionalny Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność".

Po przedstawieniu sylwetek kandydatów, ich osiągnięć w pracy dziennikarskiej i losów po 13 grudnia 1981 roku nastąpiło „przesłuchanie" **Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej** i **Marka Markiewicza** przez przedstawicieli poszczególnych ugrupowań skupionych w ŁPO.

Pierwsze pytanie zadał przedstawiciel Związku Sybiraków prosząc kandydatów o przedstawienie stosunku do „okienka", w którym zajmowano by się problematyką Polaków więzionych w ZSRR. Odpowiadając kandydaci opowiedzieli się jako zdecydowani przeciwnicy „okienek", aliści — i to stwierdził **Marek Markiewicz** — jeżeli Związek Sybiraków, czy jakaś inna organizacja będzie miała do przekazania coś ważnego dla Łodzi czy kraju, to oczywiście studio i ekran telewizyjny zostaną udostępnione. Przy okazji odpowiadania na to pytanie **Iwona Śledzińska-Katarasińska** powiedziała, że musi ulec zmianie merytoryczna zawartość programów łódzkiej TV i fachowość ich realizacji. Nadmieniła także o konieczności takiego przeszeregowania realizatorów Łódzkich Wiadomości Dnia, aby występujące w nich osoby były wiarygodne.

Bogdan Lubera zapytał o niezależność i wiążące się z nią możliwości krytykowania władz miasta i kraju. W odpowiedzi usłyszał od **Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej**, iż receptą na niezależność jest rzetelność, wiarygodność i obiektywizm, który jednak musi zostawiać margines na dziennikarski komentarz, ale taki, który nie będzie przekraczał norm zawartych w Kodeksie Dziennikarskim. **Marek Markiewicz** powiedział, z dużą dozą wiarygodności i wdzięku — a to też ważne — że tak naprawdę, **„to niemożliwe jest, aby telewizja była całkiem niezależna".**

Inne zagadnienie, na które kandydaci na dyrektora ŁTV zaprezentowali odmienne stanowisko dotyczyło wyobrażeń na temat działania Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. **Iwona Śledzińska-Katarasińska** powtórzyła swoje zdanie o konieczności „przynajmniej przeszeregowań" w TV Łódź. Znajomością tego czym ewentualnie będzie kierował popisał się **Marek Markiewicz** choćby wymieniając ilość dziennikarzy i pracowników technicznych zatrudnionych w ŁTV. Zamiast zmian personalnych **Marek Markiewicz** widzi jedynie konieczność działań dyscyplinujących „załogę" TV. W zdaniu: „wszystko zależy od ludzi i atmosfery" **Marek Markiewicz** wyraził pogląd, że z zespołem, któremu być może będzie „dyrektorował", możliwe jest zrealizowanie dwóch godzin dobrego telewizyjnego programu. Jednocześnie należy dążyć do spowodowania takiej sytuacji, kiedy dwa wozy transmisyjne, posiadane przez ŁTV, będą całkowicie wykorzystane, zaś studia w gmachu przy ulicy Gabriela Narutowicza będą zajęte niemal przez całą dobę, a nie jak dzieje się to teraz — przez 30 minut dziennie.

Odpowiedzią na pytanie o powroty osób zwolnionych z ŁTV po 13 grudnia 1981 roku było powtórzenie stanowiska prezesa Radiokomitetu Andrzeja Drawicza. **Iwona Śledzińska-Katarasińska** dodała przy tym, że między innymi **Elżbieta Więcławska, Jerzy Binder** i **Marek Krygier** są skłonni wrócić do pracy w ŁTV, ale jedynie w przypadku zmiany na stanowisku dyrektora ośrodka.

Często pytano o możliwości wydłużenia czasu antenowego dla TV Łódź. Kandydaci na dyrektorów ŁTV widzieli konieczność i w przyszłości możliwość wydłużenia czasu emisji lokalnego programu do 2—2,5 godziny dziennie. Dobrze by było, gdyby udało się stworzyć program lokalny, który byłby emitowany na innym kanale niż programy ogólnopolskie.

Zebranie prowadziła i powstrzymywała niepokornych z dużym taktem i wdziękiem **Elżbieta Hibner — sekretarz ŁPO. Kandydaci** na dyrektorski fotel starali się odpowiadać na pytania konkretnie i rzeczowo, choć u **Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej** dawało się zauważyć „przerost formy nad treścią", co kontrastowało z oszczędnymi w słowa odpowiedziami **Marka Markiewicza.**

Temperatura spotkania i rozmów z kandydatami na dyrektora ŁTV była raczej letnia niż ciepła i zupełnie nie przypominała namiętności, jakie mogliśmy obserwować podczas emisji Studia Otwartego poświęconego polskiej telewizji. Niewątpliwie na wynik głosowania, po rozpatrzeniu fachowości kandydatów do kierowania „przedsiębiorstwem" ŁTV, miały wpływ także i osobisto-związkowo-organizacyjne anse, animozje i — ale chyba w niewielkim stopniu — sympatie. W zebraniu brało udział szesnastu przedstawicieli różnych łódzkich ugrupowań. Głosowało piętnaście osób, od głosu powstrzymała się z przyczyn formalnych prowadząca zebranie **Elżbieta Hibner.**

Marek Markiewicz uzyskał w głosowaniu wszystkie możliwe głosy — 15. Teraz reszta zależy od prezesa Radiokomitetu **Andrzeja Drawicza,** któremu kandydaturę na stanowisko dyrektora ŁTV przedstawi prezydent miasta Łodzi. ■

W rubryce „Bez komentarza" — którą zainaugurowaliśmy w ubiegłym tygodniu — chcemy publikować oryginalne materiały, których wymowa jest tak oczywista, że nie wymaga komentarza. Prosimy Czytelników o nadsyłanie dalszych tego rodzaju materiałów.

Bez komentarza

Zasady Polskiego Komunisty - 1989

(Projekt)

1. Drogą systematycznego kształcenia pogłębia wiedzę o teorii naukowego komunizmu wolnego od stalinowskich dogmatów i fałszów. Jest współtwórcą nowego kształtu polskiej myśli komunistycznej, nawiązującej do postępowych tradycji narodu polskiego, jego walki o wyzwolenie społeczne, narodowe, patriotycznych zrywów niepodległościowych oraz martyrologii w niewoli caratu, hitleryzmu i stalinizmu.

2. Zmierza do utworzenia nowej, przewodniej siły narodu — Polskiej Partii Komunistycznej (Związku Komunistów Polskich), wolnej od błędów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie uznaje takiej demokracji, za zasłoną której działa antysocjalistyczna opozycja powołująca do życia pseudopolskie organizacje. Uważa, że w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej legalną opozycją powinny być jedynie niezależne, samorządne związki zawodowe, jednoznacznie uznające polską rację stanu, nie korzystające z materialnego i duchowego wsparcia przeciwników socjalizmu.

3. Jest zwolennikiem Układu Warszawskiego i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej pod warunkiem, że te międzynarodowe organizacje nie będą ograniczały suwerenności państwa polskiego i działały na szkodę cywilizacyjnego rozwoju i zamożności Polaków. Aprobuje stacjonowanie na terenie Polski niezbędnej ilości jednostek Armii Radzieckiej, jako czynnika odstraszającego zachodnioniemieckich rewizjonistów i ich amerykańskich sojuszników. Jest rzecznikiem ułożenia na nowych zasadach stosunków polsko-radzieckich. Uważa, że patrioci polscy, po raz drugi w historii mają szansę autentycznego zbratania się z narodem rosyjskim — po raz pierwszy we wspólnej walce przeciwko caratowi, obecnie ze spuścizną zbrodniczego systemu stalinowskiego.

4. Agituje społeczeństwo, a zwłaszcza młodych robotników, oficerów i żołnierzy Wojska Polskiego, studentów i uczniów szkół średnich do masowych protestów przeciwko przywracaniu w Polsce kapitalizmu, przeciwko sprzedawaniu naszej ojczyzny nowym okupantom ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i międzynarodowej syjonistycznej oligarchii.

5. Aprobuje i czynnie popiera działania zmierzające do pełnej jawności życia społecznego, politycznego i gospodarczego. Domaga się usunięcia wszystkich „białych plam", w tym najdokuczliwszej „plamy" jaką jest rola i pozycja mniejszości żydowskiej w historii Polski Ludowej.

6. Nie wykorzystuje ateizmu lub wiary w siły nadprzyrodzone do celów politycznych. Uznaje uczucia i praktyki religijne, własne i swoich towarzyszy, za sprawę całkowicie prywatną. Walczy z klerykalizmem i nietolerancją. W imię świeckich ideałów nowoczesnego państwa jest zdecydowanym przeciwnikiem teokratyzacji Polski. Nie akceptuje państwa w państwie, jakim władza uczyniła Kościół rzymsko-katolicki w Polsce.

7. Uznaje NSZZ „Solidarność" za organizację o charakterze agenturalnym, wyjątkowo groźną dla narodu polskiego, nie mającą nic wspólnego z ruchem zawodowym, służącą interesom Stanów Zjednoczonych Ameryki, międzynarodowych central syjonistycznych i Watykanu. W życiu publicznym i prywatnym konsekwentnie ujawnia prawdziwe cele „Solidarności", zdecydowanie bojkotuje politycznie, służbowo i towarzysko jej przedstawicieli. W praktyce może to przybierać formę np. niepodawania ręki skomentowane słowami: — **Wrogowi socjalizmu ręki nie podaję!**

8. Bez wyraźnej potrzeby nie nawiązuje kontaktów z przedstawicielami instancji PZPR i pracownikami aparatu partyjnego w szczególności szczebla centralnego i wojewódzkiego. Członków ścisłego kierownictwa KC PZPR uważa za zdrajców socjalizmu, ich działalność demaskuje w każdej sytuacji i w każdym środowisku.

9. Pamiętając o doświadczeniach Seminariów Marksistowskich, KZMP, tzw. struktur poziomych PZPR i Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald" nie udziela wywiadów dziennikarzom radia i telewizji. Dziennikarzom prasy udziela wywiadów po otrzymaniu pisemnego zobowiązania redakcji, że wywiad ukaże się jako tekst autoryzowany. Zaufaniem darzy wyłącznie dziennikarzy i redaktorów, którzy swoim postępowaniem i publikacjami uzasadnili życzliwy stosunek do polskiej lewicy społeczno-politycznej. Na spotkaniach, naradach, zgromadzeniach publicznych, w których uczestniczą przedstawiciele środków masowej informacji jest wstrzemięźliwy w słowach.

10. Pamięta nieustannie, że funkcjonariusze służb bezpieczeństwa, na polecenie politycznych decydentów, są zdolni do najbardziej tragicznych w skutkach prowokacji. Dlatego, po spożyciu alkoholu, stara się nie przebywać samotnie w miejscach publicznych. Nie nawiązuje kontaktów z nieznajomymi osobami. Odpowiednio zabezpiecza swoje mieszkanie. Jest przygotowany do działalności konspiracyjnej. ■

Mieszkańcy łódzkiego Manhattanu nie chcą być królikami doświadczalnymi.

Strach

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Pierwsza zareagowała dr **Beata Będzińska.** Przede wszystkim dlatego, że miała już dość hałasu młotów pneumatycznych, wiertarek i innych narzędzi, jaki niemal co dnia dobiegał spod podłogi. Bywało, że do późnego wieczora. Zeszła więc pewnego razu na parter i zapytała robotników, czy nie mogliby pracować ciszej, gdyż jest zmęczona i ma prawo do spokoju we własnym domu. Odrzekli, że nie, bo robota jest poważna i bez hałasu obejść się nie może. Szykują przecież pomieszczenia dla nowej przychodni lekarskiej.

— **Jakiej przychodni?** — zdziwiła się, ponieważ słyszała wcześniej, że w tzw. przeświecie między klatkami schodowymi, nad którym akurat wypadło jej mieszkać, mają być tylko biura.

Okazało się — specjalistycznej, a przy tym wyposażonej w nowoczesną aparaturę z laserami włącznie. Ortopedia, stomatologia kliniczna, urologia, chirurgia plastyczna, itp. Spółka „Polimed", to znaczy — pani **Krystyna Sicińska-Lalmi.** No, ta co ma firmę polonijną na rogu ulicy Gdańskiej i Marii Skłodowskiej-Curie.

Dr Beata Będzińska zbladła. Nie na dźwięk nazwiska jednak, dobrze jej zresztą znanego, a na wieść o owych laserach, które mają być zainstalowane tuż pod jej mieszkaniem. Bo czy nikt nie zastanowił się, że obok mieszkają ludzie! Przecież w dłuższym okresie taka aparatura zagrażać może ich zdrowiu, a nawet życiu. Tak, jak promienie Roentgena.

— **To trzeba sprawdzić, wyjaśnić** — powiedziała do swego adwokata dr Beata Będzińska. A że z wykształcenia — lekarz medycyny pracy, natychmiast przystąpiła do działania, mając świadomość, iż liczy się każda chwila.

Już w kilka dni później nie było wątpliwości, że informacja jest prawdziwa. W bloku przy Piotrkowskiej 204/210 rzeczywiście planuje się takie usługi medyczne, jak: **„zwalczanie bólu narządów układu ruchu, urazów sportowych oraz chorób błony śluzowej jamy ustnej przy pomocy lasera"** czy **„leczenie zmian zwyrodnieniowych kostnych przy pomocy zmiennego pola magnetycznego".** Potwierdziła to oficjalnie dyrekcja **Spółdzielni Mieszkaniowej „Śródmieście"**, do której należy budynek. Przyznała osobiście **Krystyna Sicińska-Lalmi** — inicjatorka przedsięwzięcia.

— **W takim razie** —, zaproponowała jej **dr Beata Będzińska — niech mi pani kupi inne mieszkanie, bo ja nie zamierzam narażać ani siebie, ani swojej rodziny.**

W jakiś czas po złożeniu tej propozycji oraz po wysłaniu kilku pism z prośbą o interwencję, **„Zarząd SM „Śródmieście" przeprowadził z przyszłym użytkownikiem rozmowę, w wyniku której „Polimed" wycofał się z instalowania urządzeń wytwarzających zmienne pole magnetyczne, co pierwotnie planowano...".** Przesłał też **Beacie Będzińskiej** odpisy postanowień **Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego w Łodzi, „z których jednoznacznie wynika, iż zarówno lokalizacja przychodni jak i projekt techniczny uwzględniający wszystkie wymogi dla tego typu obiektów, uzyskały pozytywną opinię organów inspekcji sanitarnej".**

Opinia istotnie była pozytywna. Fakt ten jednak nie miał dla **dr Beaty Będzińskiej** wagi poważnego argumentu. Już choćby dlatego, że **Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny w Łodzi** asekurował się, iż **„po zainstalowaniu urządzeń zostaną przeprowadzone badania pola elektromagnetycznego i ewentualnie zastosowane dodatkowe zabezpieczenia".** Ale kiedy? jakie? pod czyim nadzorem? — o tym już ani słowa. Przede wszystkim zaś — czy na pewno? Bo wiadomo jak to u nas jest: najpierw dużo mówi się o ochronie zdrowia i życia obywateli, o przewidywanych zabezpieczeniach „na światowym poziomie", a potem „z braku środków", czy jakiegoś innego powodu ambitne plany wędrują do szuflad, natomiast „ze względu na społeczne zapotrzebowanie", „wykorzystanie zainwestowanych funduszy" albo coś tam jeszcze zezwala się na prowadzenie szkodliwej dla otoczenia działalności. Rzecz jasna — „warunkowo", czyli praktycznie na czas nieokreślony. Przykładów nie brak.

Poza tym dawała do myślenia łatwość, z jaką **Krystyna Sicińska-Lalmi** zgodziła się zrezygnować z instalowania aparatury emitującej zmienne pole magnetyczne. No bo jeśli naprawdę jest to nieszkodliwe dla otoczenia — jak twierdziła na samym początku — to skąd ta nagła decyzja? A jeśli szkodliwe, to nie można wykluczyć, iż kryjąca się za spółką **„Polimed"** przedsiębiorcza łodzianka doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Tak czy inaczej wszystko nadal wyglądało podejrzanie i musiało budzić uzasadnione wątpliwości, które koniecznie należało rozwiać.

Tymczasem prace adaptacyjne w „prześwicie" między klatkami schodowymi, trzecią a czwartą nie ustawały. Co więcej, zaszła konieczność wkucia się do pionu wentylacyjnego, z którego korzystają mieszkańcy pierwszego piętra i wyższych kondygnacji, a to oznaczało, iż będą oni skazani na wdychanie wyziewów z przychodni. Oczywiście wbrew własnej woli, bowiem przed rozpoczęciem inwestycji nikt ich o zgodę nie pytał ani nie informował o takiej możliwości.

Dr Beata Będzińska, której od kucia młotami odpadła glazura w ubikacji, miała już tego naprawdę powyżej uszu. Inni lokatorzy — również. Szczególnie, że nie chodziło przecież tylko o przejściowy hałas, ale przede wszystkim — o przyszłą działalność przychodni, co też budziło największe zastrzeżenia. W ich efekcie napisali zbiorowy protest do zarządu **Spółdzielni Mieszkaniowej „Śródmieście"**, której są pełnoprawnymi członkami. A skoro tak, to ich głos powinien chyba się liczyć.

Niestety, na prezesie **Tadeuszu Witkowskim** nawet 180 podpisów pod protestem nie zrobiło większego wrażenia. Powiedział wprost, że nie zamierza się wcale nimi przejmować i prace adaptacyjne będą kontynuowane, ponieważ na wszystko są odpowiednie zezwolenia. Od strony formalno-prawnej nie ma więc żadnych uchybień, a to decyduje.

Delegaci mieszkańców bloku wyszli z gabinetu prezesa wzburzeni. Arogancja, z jaką się spotkali, nie pozwalała dłużej żywić złudzeń, że w spółdzielni, ICH spółdzielni znajdą sojusznika, a choćby poważnego partnera do rozmów na temat nabrzmiałego już konfliktu. Kierownictwo spółdzielni interes pani Lalmi wyraźnie zdawało się przedkładać nad spokój i poczucie bezpieczeństwa lokatorów. Nie pozostawało więc nic innego, jak szukać wsparcia w innych progach, z nadzieją na większe zrozumienie.

Już wcześniej **dr Beata Będzińska** pisała do **Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego** w Łodzi:

„Wiadomo z oświadczenia właścicieli, że w przychodni zostaną zainstalowane lasery i inne urządzenia wytwarzające fale elektromagnetyczne. Wiadomo też, że czynniki fizyczne są szkodliwe dla zdrowia ludzkiego, w groźniejszych przypadkach — dla życia i to niezależnie lub prawie niezależnie od częstotliwości fal, ich natężenia oraz stosowanych zabezpieczeń.

Nie ma — jak dotąd — wiążących danych naukowych, stwierdzających z całą pewnością, jakie parametry i zabezpieczenia dają gwarancję ich nieszkodliwości. Jeżeli problematyka szkodliwości pól elektromagnetycznych znajduje się nadal w fazie doświadczeń naukowych — choć na pewno wiadomo już o szkodliwości dla zdrowia, to skąd ta godna uznania pewność Inspektoratu, że „dodatkowe zabezpieczenia", znajdujące się pół metra pode mną zabezpieczą zdrowie moje i mojej rodziny?

Na całym świecie — choć niekoniecznie u nas — doświadczenia dla potrzeb nauki przeprowadza się na zwierzętach. Może więc największe zagęszczenie w Łodzi znajdujące się przypadkowo w okolicach mego mieszkania nadaje się na królikarnię, gdzie będzie można stwierdzić ile, po jakim czasie i na co zachorowało królików. Po pewnym czasie będzie można ustalić — na podstawie ilości padnięć — szkodliwość zainstalowanych urządzeń..."

A gdy to nie dało spodziewanych rezultatów — wysłała pisma do **Głównego Inspektora Sanitarnego** kraju, do urzędu dzielnicowego, urzędu miasta, wreszcie do prokuratury, która po zebraniu dostępnych dokumentów ustaliła, że:

W tzw. prześwicie między klatkami schodowymi trzecią i czwartą w bloku przy Piotrkowskiej 204/210 miały znajdować się pomieszczenia biurowo-usługowe najpierw Cechu Rzemiosł Różnych, potem jednego z przedsiębiorstw budowlanych — i na takie tylko **Spółdzielnia Mieszkaniowa „Śródmieście"** uzyskała zezwolenie **Urzędu Miasta Łodzi,** co nie jest równoznaczne ze zgodą na uruchomienie tam specjalistycznej przychodni lekarskiej o takim profilu działania, jaki zaproponowała **Krystyna Sicińska-Lalmi.**

Zdanie swoje **Prokuratura Rejonowa Łódź-Śródmieście** oparła w głównej mierze na zajętym 24 października 1989 roku stanowisku **Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście,** którego kierownictwo powiadomione przez mieszkańców bloku dokonało wizji lokalnej w pomieszczeniach adaptowanych dla **„Polimedu"** i w jej następstwie nakazało między innymi: wstrzymać od zaraz wszelkie roboty budowlane, do 30 listopada 1989 r. doprowadzić pomieszczenia do stanu zgodnego z projektem i wydanym pozwoleniem, dostarczyć opinię kominiarską o prawidłowym podłączeniu instalacji wentylacyjnej, usunąć spowodowane pracami budowlanymi uszkodzenia w lokalach mieszkalnych. Opierając się na przepisach „Prawa budowlanego" oraz uzupełniających go aktach wykonawczych urząd dzielnicowy zakazał równocześnie instalowania jakichkolwiek urządzeń i aparatury emitującej szkodliwe dla zdrowia substancje promieniotwórcze.

I tak oto po kilku miesiącach starań **dr Beata Będzińska,** a z nią inni mieszkańcy bloku, dopięła w końcu swego. Ale o spokojnym śnie nie może jeszcze marzyć, gdyż mimo nakazu urzędu, prac budowlanych bynajmniej nie zaprzestano, zaś od decyzji z 24 października 1989 r. **SM „Śródmieście"** odwołała się do urzędu miasta, zapowiadając przy tym buńczucznie ustami członków zarządu, że sprawę wygra „tak, jak chce".

Co będzie, czas pokaże. Problem z pewnością wymaga gruntownej analizy faktów, odpowiedzialnych ekspertyz i takiego rozstrzygnięcia, które brałoby pod uwagę racje wszystkich zainteresowanych stron. Już dziś jednak można stwierdzić, iż niektóre tezy odwołania **SM „Śródmieście"** — delikatnie mówiąc — mijają się z prawdą. Oto bowiem czytamy w nim na przykład, że **„nie wpłynęły żadne zgłoszenia od lokatorów o ewentualnych uszkodzeniach w lokalach, spowodowanych robotami budowlanymi".** Tymczasem pracownicy Spółdzielni nie raz w ostatnim czasie gościli w mieszkaniu **dr Beaty Będzińskiej** i byli przez nią informowani, co się tam dzieje. A zatem...

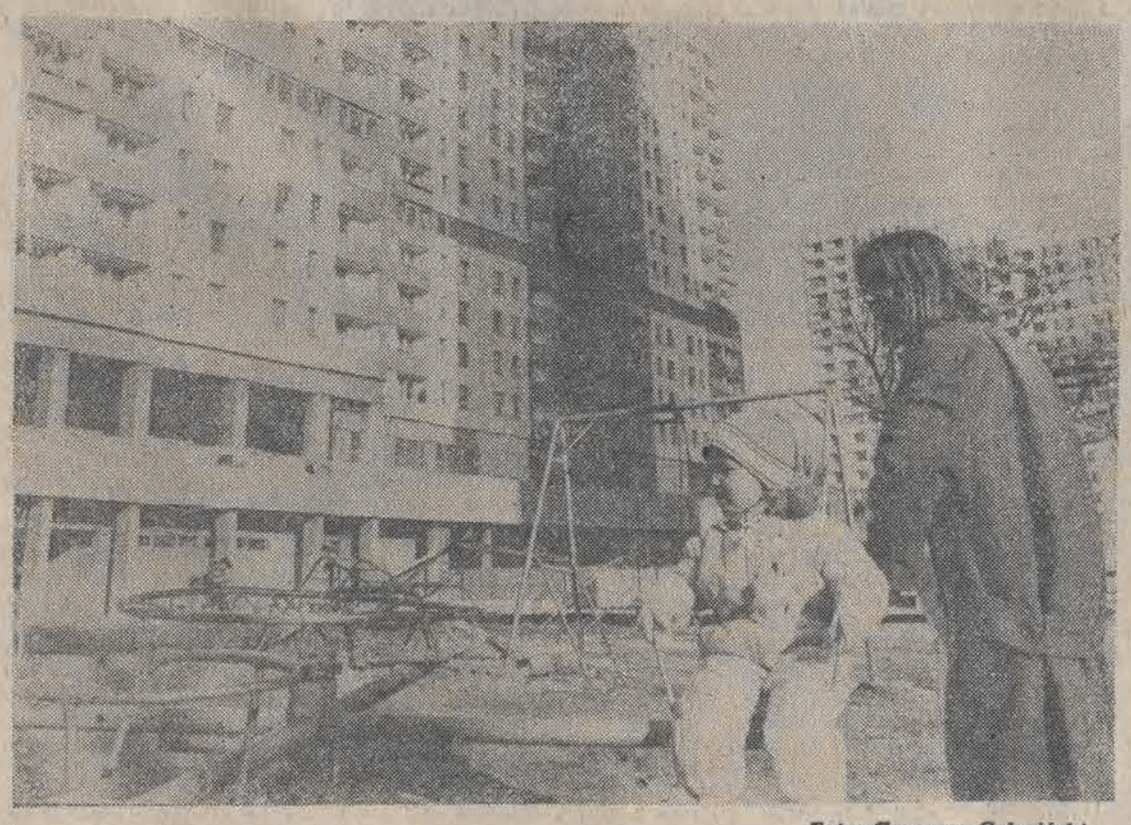

Foto: Grzegorz Galasiński

NASZA PROPOZYCJA: — Powołać Komitet Pomocy „Ludzie — ludziom"!

Widmo nędzy wisi już nad Łodzią

MARIAN ZDROJEWSKI

Obce nam były dotychczas takie pojęcia jak bezrobocie, zupa dla biednych, życie w skrajnej nędzy. Wcale to jednak nie oznaczało, że obok nas nie było ludzi żyjących w wielkim ubóstwie — głodnych, samotnych i bezradnych, skazanych na czyjeś wsparcie. Tyle tylko, że ludzie prawdziwie biedni nie obnoszą się ze swoim ubóstwem — są cisi, pokorni, jakby zawstydzeni niezasłużoną najczęściej sytuacją, w jakiej przyszło im żyć. Głośni są ci, których nie dotknęło jeszcze ubóstwo, acz dopuszczający taką ewentualność. Są głośni, bo wylęknieni zagrożeniem. A i syci o dzisiejszej biedzie, która w nadchodzących czasach może prowadzić wprost do nędzy, mówią niewiele, jakby nie chcieli jej dostrzec, dopuścić myśli, że taki los może być także ich udziałem. Za to coraz donośniej, chciałoby się powiedzieć: bezwstydnie — jakbyśmy chcieli usprawiedliwić się, albo coś w sobie zagłuszyć — mówimy o „biedazupkach" i rozmaitych formach jałmużny. Tak, jałmużny.

Żyją wśród nas ludzie w straszliwym ubóstwie, nierzadko w nędzy, na którą skazał ich los. (Choć czy tylko los?)

Mówiąc o potęgującym się ubóstwie trzeba spojrzeć na dwie podstawowe grupy już żyjące w biedzie i biedniejące z każdym dniem. Pierwsza, bardzo liczna i najgorzej sytuowana grupa społeczna to emeryci i renciści. Podług danych łódzkiego oddziału wojewódzkiego Polskiego Związku Emerytów i Rencistów żyje ich w naszej aglomeracji 260 tys. Średnie świadczenie emerytalno-rentowe w roku 1988 wynosiło niewiele ponad 52 proc. przeciętnej płacy w gospodarce uspołecznionej. Ale już w maju 1989 r. tylko 44 proc., zaś we wrześniu — 37 proc.!

Ktoś może powiedzieć, że jest to bałamutny obraz życia tej grupy społecznej, obraz zbyt pesymistyczny, bowiem rozpiętość świadczeń bywa znaczna. Owszem, można i tak bujać w obłokach. Prawdziwie dramatyczną sytuację może nam unaocznić dopiero to, iż ok. 50 proc. — jak to się powiada: „rentobiorców" otrzymuje świadczenia niewiele przekraczające 50-60 tys. zł. Bluźniercze byłoby więc pytanie: czy to wystarcza. Poprawniejsze zaś: na co?! Jeżeli tę średnią podzielimy na jeden bodaj najtańszy posiłek dziennie (chleb, mleko, twaróg, margaryna, nie mówiąc już o plasterku wędliny!), pochłonie nam ten najskromniejszy zestaw 2,5-3 tys. zł! A skąd znaleźć środki na wzrastające nieomal z każdym dniem opłaty za mieszkanie, energię, opał?! Gdzie kupno bodaj najtańszego obuwia, odzieży — elementariów?!

Tę dolegliwą sytuację rencistów i emerytów niewiele zmieniła tzw. rekompensata drożyźniana (90 tys. za 3 miesiące), zanim bowiem trafiła do adresatów pochłonął ją w znacznym stopniu lawinowy wzrost cen. A przecież ta grupa ludzi całe swoje życie ciężko pracowała po to, by wypracować pewny los na stare lata. Ma więc prawo bodaj do skromnego życia, ale życia godnego, bez jałmużny! Piszą więc w listach i apelują do władz, aby pomoc nie ograniczała się do formy charytatywnej. Chcą otrzymywać to, co im się słusznie należy za długoletnią pracę.

Drugą, równie liczną grupę ludzi żyjących w ubóstwie i jakże często dramatycznych warunkach, stanowią osoby samotne, bezradne, niepełnosprawne, nie opuszczające mieszkań, nierzadko posłania, inwalidzi, dzieci z różnym stopniem kalectwa, rodziny wielodzietne, samotne matki z dziećmi i wreszcie rodziny alkoholików. Jak pokaźna jest to grupa oczekujących pomocy? Otóż Urząd Miasta podaje, że na ogół na liczbę 1 149 588 mieszkańców województwa 16 proc. to ludzie w wieku poprodukcyjnym (z czego ok. 44 proc. stanowią mężczyźni). Według szacunkowych ocen mamy liczne grupy ludzi specjalnej troski. Wśród nich: ok. 34 tys. osób niepełnosprawnych, w znacznym stopniu niesprawnych i nie opuszczających mieszkań. W tej grupie znajduje się ok. 6 tys. osób, które w ogóle nie wstają z łóżek. Podobną, ok. 34-tysięczną rzeszę stanowią osoby z trudem poruszające się poza domem; ok. 40 tys. osób to inwalidzi w różnych grupach wiekowych. Mamy ok. 20 tys. dzieci z różnym stopniem kalectwa. Do liczby osób specjalnej troski należy dodać ok. 1500 rodzin wielodzietnych, ok. 1200 matek samotnie wychowujących dzieci i ok. 1100 rodzin alkoholików.

W roku bieżącym na pomoc społeczną (środowiskową i stacjonarną) przewidziano w skali miasta kwotę ok. 5,1 mln zł. Zastraszający wzrost cen — bez jakiejkolwiek kompensaty na dewaluację — sprawił, że po upływie trzech kwartałów środki okazały się niewystarczające i nawet 2 mln dotacja Rady Narodowej miasta z ponadplanowych dochodów niewiele poprawiła sytuację, a niedobór środków na pomoc społeczną, szczególnie środowiskową, pogłębił się. W najlepszym razie do końca 1989 roku zabraknie ok. 1,5 mln zł na sfinansowanie przypadków niezbędnej pomocy, szczególnie w obliczu zbliżającej się zimy.

Do tej pory zasiłki pieniężne na opał przyznano 4.632 osobom, zaś 913 dostarczono opał do domu. 2166 osobom dostarczono ziemniaki na zimę. Innej grupie (3495 osób) przyznano tzw. zasiłki celowe — na zakup odzieży, bielizny, jeszcze innej (4193 osobom) zasiłki doraźne na inne, udokumentowane cele.

Wśród różnorakich form pomocy organizowanej przez służby społeczne miasta znajduje się także wyżywienie. Dla ok. 500 osób niektóre bary mleczne wydają bezpłatne (opłacane jednak przez miasto) obiady. Inna, 850-osobowa grupa osób korzysta z całodziennego wyżywienia za symboliczną odpłatnością, wyżywienia spożywanego w 23 domach dziennego pobytu. Bezpłatne obiady otrzymuje także w szkołach 250 dzieci, zaś 56 obłożnie chorym dostarczane są bezpłatne obiady do domu. Władze miasta zapewniają, że jeszcze w bieżącym miesiącu uruchomiona zostanie — wspólnie z PCK — nowa forma bezpłatnego dożywiania dla ok. 600 osób w postaci tzw. talerza zupy...

Nawet jak na tak dużą aglomerację mamy więc sporo osób już korzystających ze stałych świadczeń — rent socjalnych, zasiłków stałych i okresowych, osób objętych rzeczowymi świadczeniami pomocy społecznej (ponad 18 tys.!). Wszystko jednak wskazuje na to, że tych osób będzie przybywać w tempie niespotykanym. Tymczasem w świetle zachodzących się zmian w systemie finansowania różnych dziedzin życia w kraju pozostające w dyspozycji państwa środki na pomoc społeczną mogą okazać się dalece niewystarczające. Nawet przy gromkich zapewnieniach co do przyszłego systemu osłonowego najsłabszych. Czas więc najpilniejszy, aby pomyśleć już teraz o zaktywizowaniu, może nawet przeorganizowaniu form pracy takich organizacji o długich tradycjach jak PCK, LKP, nie mówiąc już o Polskim Komitecie Pomocy Społecznej. Czas najwyższy połączyć wysiłki wszystkich ludzi dobrej woli. Lecz tych wysiłków nie wolno rozpraszać, tak jak nie wolno rozpraszać środków. Kiedy bowiem wszyscy dają — nie daje nikt. A skoro ludzie ludziom gotują taki los, na ludziach dobrej woli spoczywa obowiązek przyjścia z pomocą tym, którzy nie są w stanie się przed nim obronić. Lecz nie może to być pomoc „łaskawa", jałmużna, a zwyczajne, lecz godne ludzkie wsparcie, bezimienne dla bezimiennych, dla tych, którzy takiej pomocy potrzebują. Oczekują.

Proponujemy więc **powołanie Komitetu Pomocy „Ludzie — ludziom", Komitetu który zająłby się koordynacją pomocy, gromadzeniem środków, zbiórką, wszelkiego rodzaju kwestami publicznymi i anonimowymi. Liczymy na odzew naszych Czytelników.**

Z ostatniej chwili. W tych dniach prasa doniosła o kolejnej podwyżce rent i emerytur. To dobrze, bardzo dobrze, tyle tylko, że przy takim wzroście cen żadna podwyżka nie będzie w stanie poprawić ich sytuacji. Warunki życia emerytów i rencistów zmienić mogą tylko mądre zmiany systemowe, o których się mówi.

M. Z.

MAREK JUŚKIEWICZ

Sen

Kocham noc z tobą
i nasze kroki ciche
w głębi uśpionego lasu.

Kocham księżyc.
Błyszczy w twoich oczach
jak srebrny talizman na szczęście

Kocham rosę,
gdy wilgotną dłonią
pieści czule twoje włosy.

Kocham wiatr.
I drzewa kocham.
Kocham słuchać jak w duecie
szumią szeptem twoje imię.

I mgłę kocham
— rozsnutą na trzcinach
przez drżące ręce tęsknoty.

Każde słowo i uśmiech
i chwile milczenia.
I nie wiem tylko,
czy kocham Ciebie,
czy senne mary ukradły mi duszę.

Półka z książkami

PAMIĘTNIK PAWŁA JASIENICY

Tej książki nie potrzeba specjalnie zachwalać: nazwisko jej autora wystarcza za najlepszą rekomendację. Paweł Jasienica, żołnierz AK (VI Brygada), więzień NKWD, znów w szeregach AK (oddział „Łupaszki"), ponownie więzienie (tym razem już nasze), zwolnienie, praca dziennikarska, wreszcie rozwinięcie pasji historyka. O tym, a także o swojej przedwojennej edukacji, o Wilnie, o przyjaciołach, o polityce, o kulturze — opowiada z niezwykłym mistrzostwem autor **„Rzeczpospolitej obojga narodów".**

Paweł Jasienica: Pamiętnik. Wyd. „Znak" 1989. Str. 144. Cena 1.500 zł.

BIGOS HULTAJSKI

Andrzej Kempa przez kilka lat publikował w **„Odgłosach"** barwne i zabawne zdarzenia z polskiej przeszłości. Teraz te facecje i anegdoty ukazały się w wydaniu książkowym dzięki łódzkiemu oddziałowi KAW. Zachęcając czytelników do lektury tego znakomitego zbioru, przytoczę jedną z opowiastek. Oto **Jan III Sobieski** spotkał w kościele obdartusa. Król zapytał go komu służy. Panu Bogu — odpowiedział. Co? — zawołał król. — Tyż to więc obdarty będąc, tak wielkiemu służysz panu? — Nie dziwuj się — odpowiedział charłuch. — Jak mu służę, tak mi płaci.

Andrzej Kempa: Bigos hultajski czyli Dawne facecje i anegdoty polskie. KAW w Łodzi 1989. Str. 180. Cena 550 zł.

BYŁO NAS TYSIĄCE

„Nie udało się dotychczas dokładnie określić liczby Polaków pełniących służbę w Armii Czerwonej". Ano właśnie. Nie udało się. Dlatego autorzy swoją książkę zatytułowali **„Było nas tysiące".** Jest to niezwykle ciekawa pozycja wydawnicza wyjaśniająca w jaki sposób i dlaczego tylu Polaków znalazło się w szeregach czerwonoarmistów, opisująca też bohaterskie ich czyny, jakich dokonali w najsłynniejszych bitwach ostatniej wojny.

Było nas tysiące. MON 1989. Str. 336. Cena 950 zł.

E. I.

Chińska „opera"

JANUSZ JANYST

„Wyjątkowa odrębność", „nie spotykana w innych kulturach ciągłość tradycji" — takich m.in. określeń używa na temat muzyki chińskiej **Anna Czekanowska** w swej interesującej książce pt. **„Kultury muzyczne Azji".**

Można chyba stwierdzić, że przeciętny Europejczyk nie wie zbyt wiele na temat sztuki dźwięku uprawianej dawniej i dziś za Chińskim Murem. Również i w naszym kraju trudno uznać w tej dziedzinie za dobrą i pełną „orientację na Orient" (posługuję się tu świadomie nazwą rodzimego, znanego także w Łodzi zespołu muzycznego, powierzchownie adaptującego wschodnie motywy dźwiękowe do własnych celów komercyjnych).

Czyż nie lepsza jest muzyczna „orientacja na Zachód" samych Chińczyków? Przejawia się ona z jednej strony w poznawaniu i opanowywaniu tajników sztuki europejskiej, z drugiej zaś — w lansowaniu własnych, do niedawna raczej hermetycznych, tradycyjnych wzorców.

Dwa lata temu pewną sensację na lokalnym gruncie wywołała występująca gościnnie — jeszcze w „starej i dobrej" siedzibie łódzkiej filharmonii — **Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna z Pekinu** pod dyr. **Chen Zuo Huana.** Zespół ten na bardzo wysokim poziomie, precyzyjnie a zarazem żarliwie interpretował m.in. **„Don Juana" R. Straussa i V Symfonię D. Szostakowicza.** Natomiast 11 i 12 listopada br. w Teatrze Wielkim zaprezentowany został syczuański dramat muzyczny.

Ten stary gatunek chińskiej sztuki scenicznej, ukształtowany w obecnej postaci w połowie XVIII stulecia w prowincji Syczuan, charakteryzuje się połączeniem partii mówionych, pantomimy i tańca z opartym o narodowe skale i regionalne melodie ludowe śpiewem oraz swoistą muzyką instrumentalną.

Artyści z Teatru Syczuańskiego występują anonimowo, nie jest też ujawniany żaden z realizatorów spektakli. Łódzkiej publiczności przedstawionych zostało kilka udramatyzowanych legend, z których najciekawsze wykonawczo i fabularnie znalazły się w programie drugim, niedzielnym. Zadziwiła np. sprawnością pantomimiczną historia pt. **„Ojciec niosący córkę".** W tym wypadku jedna aktorka-śpiewaczka przedstawiała (z pomocą tricku z kukłą) sparaliżowaną dziewczynę dźwiganą przez niemego, żebrzącego starca. Dla odmiany spory ładunek humoru zawierał obraz zatytułowany **„Kufer",** zakończony, po perypetiach z ukrywaniem się młodzieńca w kufrze młodej panny, miłosnym happy endem. Ogromną sympatię zaskarbiła sobie odtwórczyni głównej roli w tej opowiastce — emanująca urodą i wdziękiem gracja.

Syczuańska opera nie ma, oczywiście, nic wspólnego z europejską. Śpiew pojawia się tu stosunkowo rzadko, w trakcie dominujących partii dialogowych kilkuosobowy zespół instrumentalny co najwyżej „akompaniuje" aktorom rytmicznym stukaniem w drewienka i talerz. Wywodząca się bezpośrednio z folkloru muzyka jest z naszego punktu widzenia prymitywna: bazuje na jednogłosowości, nie kryje w sobie jakichkolwiek współbrzmień harmonicznych. Funkcję podstawy skalowej pełni pentatonika (głównie bezpółtonowa). Śpiew zarówno kobiet jak i mężczyzn koncentruje się w rejestrze wysokim, ze względu na inną fizjologię wydobycia głosu ma odcień nosowy i nieomal piskliwy. Częste są glissanda.

Myślę, że największe wrażenie na odbiorcach zrobiły w sumie i tak fantastycznie kolorowe stroje oraz technika gestu. Syczuański teatr mógł się, naturalnie, podobać jako całość, ale sama muzyka raczej do nas nie trafiła. Jako zbyt odrębna pod względem kilmatu i w swej prostocie obca — pozostała jedynie ciekawostką. Niemniej dobrze, że obecnie już poznaną.

Jubilat zacny i lubiany

Czterdzieści lat minęło **Teatrowi Nowemu,** ale — wbrew piosence — wcale nie jak jeden dzień. Od czasu bowiem, gdy 12 listopada 1949 r. w sali Domu Żołnierza przy Daszyńskiego 34 (dziś Tuwima) zmontowany przez **Jerzego Merunowicza** zespół dał, głośne od razu, bo i na czasie, przedstawienie **„Brygady szlifierza Karhana"** w reżyserii zespołowej, i ta łódzka scena, i wiele innych w kraju oraz w samej Łodzi, przechodziła rozmaite koleje losu. Od czerwca 51 teatr znalazł się w obecnej siedzibie przy zbiegu Więckowskiego i Zachodniej.

Zarówno lata obfite w sukcesy, jak i lata chudsze zależały nie tylko od doboru kierownictwa placówki, składu zespołu, ale także od przetaczających się przez kraj wydarzeń. Podobnie na oddźwięk u publiczności, oprócz kondycji artystycznej teatru, wywierał wpływ dobór repertuaru i jego odczytanie wychodzące naprzeciw potrzebom i oczekiwaniom społecznym.

Przez te wszystkie lata sprawowało kierownictwo pięciu dyrektorów, w tym dwóch z dwoma nawrotami **(Dejmek, Pilarski, Kłosiński, Zegalski, Dejmek, Pilarski, Hutek).** Wystawiono przeszło ćwierć tysiąca premier, ale na tej statystyce można by poprzestać, chętniej przyłoczyłoby się tu długą listę wystawianych sztuk, które zyskały sobie trwałe miejsce w historii polskiego teatru, wspaniałych aktorów, dla których specjalnie przychodzili do teatru ich entuzjaści, całą plejadę innych ludzi teatru, przedstawicieli teatralnych fachów, a wreszcie nagrody i odznaczenia, festiwalowe laury, które, choć ważne, nie są najważniejsze na liście dokonań. Dzięki temu wszystkiemu były przeżycia, była atmosfera, tworzyła się legenda. A co dzisiaj i co będzie jutro?

Nie wątpimy, że mimo ośmiodniowego „poślizgu" łódzka publiczność weźmie udział w jubileuszowych imprezach 20 listopada. Jubileusz uczci się bez komitetu honorowego, ale godnie, premierą **„Kordiana" Juliusza Słowackiego,** w wykonaniu bez mała całego zespołu, liczącego obecnie 44 aktorów, z przewagą liczebną panów; w reżyserii dyrektora **Jerzego Hutka,** ze scenografią **Jana Janucha** i muzyką **Zygmunta Karneckiego.** To oczywiście, wieczorem, o godz. 18.30, a przedtem, w samo południe nastąpią odznaczenia zasłużonych pracowników i otwarcie wystawy poświęconej 40-leciu. Ponadto 29 listopada odbędzie się spotkanie zespołu ze społeczeństwem.

Dalsze plany — mówiąc bez osłonek — stanowią wielką niewiadomą, a to głównie ze względu na trudne jeszcze do przewidzenia, a planowane na marzec przyszłego roku, odgórne decyzje, które z teatrów polskich, a więc i łódzkich, będą na ministerialnym garnuszku, które zaś skazane będą na środki budżetowe z kasy miejskiej. Rzecz ma więc aspekt finansowy i od tego m.in. zależy, czy spełnią się ambitne zamierzenia sezonu jubileuszowego — **„Kuszenie" Vaclava Havela, „Casanova" Żurka, „Emigranci" Mrożka** i jeszcze dwie interesujące premiery.

Na domiar złego (taka jest jednak konieczność) Polska podpisze od 1 stycznia międzynarodową konwencję, która rozciąga obecną 25-letnią ochronę praw autorskich na 50-letnią, co niewątpliwie jest bardziej korzystne dla spadkobierców nieżyjących dramaturgów niż dla tych teatrów, których nie stać na opłaty w dewizach.

Ujawniamy tę sytuację nie po to, żeby najpierw rozbudzać apetyty widzów, które — być może — nie będą zaspokojone, a potem wpędzić teatromanów w przygnębienie, chodzi o to, byśmy wszyscy zdali sobie sprawę z trudności i kłopotów, przed jakimi stoją placówki artystyczne. Będzie więc i naszemu „Nowemu" tak czy inaczej niełatwo, będzie musiał dokonywać stałych wyborów między kosztami wystawienia sztuki a dopuszczalną wysokością cen biletów itp., ale ufamy, iż łódzki widz dopisze, gdyż — jak powiadają ludzie doświadczeni — najgorętsza bywa trudna miłość.

J. K.

Pestki dyni

Wincenty Pol tak pisał:

Bo gdy wielu głupio gada
To nie pisać jest zasługa...
A już milczeć — jedna rada.

Aleksander J. Wieczorkowski („Tygodnik Kulturalny", nr 38 br.) tak pisze. „Dla naszego zdrowia psychicznego przestańmy wreszcie rozpatrywać krzywdy i nosić w duszy żal za utraconym czasem, bo nic nam go nie wróci. Każdy psychiatra potwierdzi, że zgwałcona dziewczyna nie wydobrzeje psychicznie, póki nie wyrzuci z pamięci sceny gwałtu i obrazu gwałciciela i nie wymaże dokładnie przeszłości".

Otóż gdyby A.J.W. czytał **doc. dr hab. Zbigniewa Łwa-Starowicza** — a ten już wie, co pisze! — w ITD („Seksuolog radzi") wiedziałby, że nie k a ż d a zgwałcona dziewczyna, aby wydobrzeć psychicznie, musi **koniecznie** wyrzucić z pamięci obraz gwałciciela, scenę gwałtu i zapomnieć. Może po prostu — pokochać. „Samo zjawisko — zakochanie się w napastniku jego ofiary — określane jest w piśmiennictwie mianem „zespół Sztokholmu". (...) Zakochanie się może dotyczyć gwałciciela lub innego rodzaju napastnika np. dokonującego napadu na dom. Przyczyną takiego zaangażowania się nie muszą być wyłącznie masochistyczne tendencje. (...). Zdarza się, iż u niektórych kobiet „bycie zdobytą" oznacza poczucie przynależności do „zdobywcy". To dość stary archetyp relacji męsko-kobiecych, jednej z możliwych, teraz rzadziej wprawdzie spotykanych. Inną przyczyną może być ukryta potrzeba zdobywania przez mężczyznę, pod postacią „twardego, męskiego zachowania", będącego substytutem męskości w oczekiwaniach kobiety. Niektórym kobietom nie odpowiada łagodne, delikatne traktowanie w ars amandi i nie tylko w niej, czują się bezpieczniej przy boku „twardego" mężczyzny. Można mnożyć inne jeszcze mechanizmy takiego zauroczenia czy wręcz zaangażowania się uczuciowego, łącznie z doświadczeniem nowej skali doznań erotycznych, o innej bardziej atrakcyjnej jakości.

Nieciekawie, szaro i smutno zapowiadają się przyszłoroczne wakacje w Rzymie i kilku innych włoskich miejscowościach. Otóż koniec dolce vita, żadnego kąpania się w żadnej z zabytkowych i mniej zabytkowych — o ile takową ktoś znajdzie fontann Rzymu: ani nago, ani w stroju wieczorowym, ani w kąpielówkach. Nie będzie też wolno łazić po Wiecznym Mieście nago czy choćby w kostiumie i to niezależnie od panujących, czy nie panujących upałów. Za to wszystko grozić będą wysokie kary pieniężne, a nawet areszt! Nie będzie również zgody na pikniki na placach, słuchanie zbyt głośnej muzyki, spania i drzemki ani w nocy, ani w dzień. Również Koloseum i inne amfiteatry zastaną wzięte pod ścisłą obserwację i kontrolę, by nie stawały się miejscem opalań nago, bezpłatnymi hotelami na świeżym powietrzu i terenami powszechnego poróbstwa. O tych wszystkich zakazach informują ogromne plakaty po włosku, hiszpańsku, niemiecku, francusku, angielsku, hebrajsku i arabsku (z polskiego języka zrezygnowano — widać na nas rady nie ma!), rozlepiane tej jesieni w Wiecznym Mieście i nie tylko. Doprawdy, nie będzie po co przyszłego lata jechać do Rzymu... A takie to było jeszcze w tym roku sympatyczne miasto...

Jeszcze jedna wiadomość z zagranicy, tym razem przyjemna. W Związku Radzieckim ma zacząć wychodzić poważne pismo erotyczne — druk i fachowe rady w Finlandii i Danii. Wypada pogratulować i życzyć powodzenia. Sądzę, że nie ma niczego złego w gołej komsomolce i gołym komsomolcu oglądających wspólnie magazyn erotyczny drukowany cyrylicą!

ANDRZEJ GRUN

P.S. Sygnalizowałem już w Pestkach pojawienie się barwnego pisma NATURA—NATURYZM. Mam pewne zastrzeżenia co do formatu — powinien być większy. Ale i tak dobrze, że jest. Moi znajomi naturyści, a zwłaszcza naturystki, odetchnęli pełną piersią — w przenośni i dosłownie. Wobec eklektyzmu i nijakości, jakie panują w polskich sztukach — sztuki prezentowane przez magazyn, zasługuje na uwagę i uznanie. Kupujcie! A oto wypowiedź jednej z naturystek: „Nie wiem dlaczego tak się dzieje, że pozbywając się majtek ludzie stają się bardziej życzliwi".

Proszę Pani, bo o człowieku świadczy nie suknia lecz n a g a d u s z a...!

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

PO LATACH NIEISTNIENIA

„...W swoich opowiadaniach i powieściach, pisanych prostym językiem, przedstawiałem obraz rzeczywistości polskiej ostatnich dwudziestu kilku lat. Z tego powodu byłem przez dłuższy czas rzeczywiście nieobecny w literaturze. Bezpośrednią przyczyną był zapis cenzury — mówi w „Tygodniku Kulturalnym" **Kazimierz Orłoś,** w rozmowie ze **Zbigniewem W. Fronczykiem.** — Rok temu nie wierzyłem, że cokolwiek się zmieni i że moje książki znajdą się w oficjalnych księgarniach... Przeżyłem satysfakcję w chwili, kiedy **„Cudowną melinę"** wydano w Paryżu... Okres wielkiej satysfakcji przeżywam teraz, kiedy po latach nieistnienia pojawiają się wydania oficjalne. W **„Iskrach"** wydano „Cudowną melinę", ma ukazać się **„Trzecie kłamstwo",** powieść wydana wcześniej w Paryżu, **Wydawnictwo SAWW** z Poznania wydaje **„Przechowalnię",** którą opublikował **„Przedświt"** i londyński **„Puls"** w roku 1985... Istniał w tym czasie niepisany układ z władzami. Piszcie sobie — mówili rządzący i na to dawali przyzwolenie — ale w pewnych ramach, nie wychylajcie się, za to możecie sobie wygodnie żyć. Sytuacja taka w latach siedemdziesiątych była bardzo wyraźna, niektórym mogło się wydawać, że będzie trwać wiecznie... Przez wiele miesięcy funkcjonowałem w pustce, zawalił się pewien układ, skończyło się wygodne życie, stabilizacja... Ale jak piszę w **„Historii"** („Cudownej meliny" — dop. M.B.), nie spotkałem się z represjami podobnego typu, jakie dotknęły niektórych pisarzy w stanie wojennym. Nie byłem aresztowany, szykanowany, jak chociażby pisarze w ZSRR, których zamykano w szpitalach psychiatrycznych po wydaniu książek na Zachodzie... Faktycznie do sierpnia 1980 objęty byłem zakazem. Samotny jednak czułem się do chwili powstania drugiego obiegu. **„Zapis"** powstał w 1977 roku. Znalazłem się wtedy w kręgu osób, które były w podobnej sytuacji. Jak pan pamięta, już w 1976 roku zaczęły się mnożyć zapisy na nazwiska. Zakaz druku nie musiał być spowodowany wydaniem na Zachodzie książki, wystarczyło podpisanie jakiegoś protestu, listu otwartego. Aktualna była wtedy sprawa poprawek do Konstytucji. Ludzi obciążonych zakazem druku przybywało. Przestałem czuć się samotny... Na trzy lata wróciłem do dawnej pracy prawnika. Pracowałem jako referent prawny... Odciąłem się od literatury. Nie wyszło mi to chyba na złe, później pewnie procentowało. Znów miałem żywe kontakty z ludźmi, przyjaźnie, to nie mógł być czas stracony..."

FAKTY MÓWIĄ

M.in. o tym, że zajmujemy ostatnie miejsce w Europie w zużyciu papieru (na mieszkańca przypada 36 kg rocznie, gdy np. w krajach zachodnich 150 kg), że od 1960 r. ubyło nam 1600 kin. Muzyki w Polsce uczy się trzy razy mniej dzieci niż np. w Czechosłowacji i NRD. Na inwestycje kulturalne przeznacza się zaledwie 0,2 proc. nakładów inwestycyjnych. Nawet tak popularnego dla wielu ludzi substytutu kultury jak telewizja nie umiemy upowszechniać. Tylko 1/4 telewidzów ogląda program 2 TVP... Książka też w odwrocie. Już w ub. roku produkcja obniżyła się o 25 mln egzemplarzy, a w tym roku spadek osiągnie 40 mln egz., co cofa nas do poziomu sprzed 8 lat. **(„Tygodnik Kulturalny").**

WAŁĘSA OBOK GIOTTA

„Wróciłem właśnie z Nowego Jorku, gdzie jeden z naukowców mówił mi, że po postmodernizmie nastąpiła nowa epoka — „est-modernizm" — powiedział **„Panoramie" Bohumil Hrabal.** — W kulturze światowej wiele do powiedzenia mają teraz pisarze pochodzący ze Wschodu. Tendencję tę obrazuje na przykład **Andy Warhol,** z pochodzenia Czech; dwie znakomitości literatury amerykańskiej, **Singer i Malamaud,** pochodzą z polskiej Galicji. **Allen Ginsberg** odwołuje się do chasydyzmu, mistyki poetów żydowskich, której istotą jest: być w głębi, ale patrzeć wzwyż. Europa Środkowa dziś wiele w świecie znaczy. Koncepcja krzyżowania się świadomości językowych przywodzi nam na myśl nie tylko Europę Środkową, lecz także Paryż i Nowy Jork, ale tam Europa Środkowa ma też swój udział... Owo krzyżowanie się świadomości językowych jest częścią

Swobodnie czy bezpiecznie

JERZY KWIECIŃSKI

Wśród piętnastu sztuk, zmarłego w pełni sił, dramaturga i prozaika **Tadeusza Rittnera**, lwowianina zamieszkałego przez większą część życia w cesarsko-królewskim Wiedniu, a dzięki temu piszącego swe utwory z równą łatwością, nieraz równolegle, po polsku i niemiecku, sztuka **„Wilki w nocy"** należy do jego dzieł najgłośniejszych. Twórczość sceniczna tego autora pozostawiła zresztą w zasłużonym cieniu prozatorską, obciążoną, jak mu zarzucano, rozwlekłym tokiem odautorskiej narracji i obcą gatunkowi powieściowemu metaforyką, która w jego dramatach nie zdołała rozwodnić treściwego i celnego dialogu, choć właśnie metaforyka zdaje się stanowić istotny składnik klimatu jego sztuk.

Skoro mowa o swoistej poetyce Rittnera, zwróćmy też uwagę, iż skłonność do metaforycznej wypowiedzi charakteryzuje tu dwie postacie, pokrewne romantycznym duchem, a może też postawą antymieszczańską, czy, jak by określono wówczas, antyfilisterską. Tak bowiem w momentach spontanicznych wystawia się żona Prokuratora, Julia, spragniona doznań, których nie dostarczyło jej małżeństwo z kimś, kto stąpa po ziemi z nazbyt trzeźwym wyrachowaniem. Ale jeszcze bardziej niepowszednio daje wyraz swoim przeżyciom Morwicz, skłonny do nieobliczalnych porywów, zarówno do poświęceń dla kobiecego „ideału", jak i do samowolnego wymierzania najokrutniejszej „sprawiedliwości".

Piszę o tym, ponieważ umiejętność charakteryzowania osobowości postaci, ich środowiska i profesji, przez sposób wypowiedzi należy do mocnych stron dramatopisarstwa Rittnera.

Mamy w omawianym dramacie dwie pary, które nie najszczęśliwiej dobrały się usposobieniem i temperamentem; można być pewnym, że najbardziej „stworzeni" dla siebie są Julia z Morwiczem, a i tamtych wspomnienie dawnej przygody też ku sobie przyciąga i myślę, że niejeden autor uległby pokusie tak efektownego rozwiązania, jak ucieczka Julii z mężowskiego nudnego domu z księżycowym kawalerem w niepewne i nieznane. Rittner jednak był zbyt dobrym znawcą reguł życia i przeciął w zalążku możliwość tak karkołomnej konfiguracji, dla Julii bowiem jawny związek z Morwiczem oznaczałby niechybną katastrofę, a dla autora temat na całkiem już inną sztukę.

Julia pozostanie więc przy mężu, będzie wierzyć lub udawać, że wierzy w pozory jego szlachetności i altruizmu, na czym zapewne skorzysta jej cichy wielbiciel Prezes Sądu, któremu upragniona zdobycz sama wpadnie w ręce. Nie może między ludźmi dobrze wychowanymi dojść do towarzyskiego skandalu, choćby też ze względu na podrzucone małżonkom dziecko, które będą wspólnie wychowywać.

Nie wymagajmy więc od życia zbyt wiele, nie snujmy mrzonek, a ono wprawdzie nie da nam w zamian szczęścia, ale zapewni spokój i ustaloną pozycję w społeczności. Nie było to wielkie odkrycie przed siedemdziesięciu laty, a w pół wieku po „Kareninie", ukazującej na swoim przykładzie nieuniknione konsekwencje zamętu uczuć i nierozwagi, ale jednak sztuka Rittnera i dziś upomina, że trzeba poczynać sobie roztropnie.

Złożoność intrygi i procesy psychiczne postaci uzasadniają konwencję kameralnego zbliżenia — gestu, mimiki, intonacji... Wymagania akurat na miarę panującego nad emocjami **Prezesa Sądu**, przedstawionego przez **ALEKSANDRA BEDNARZA**, który w sposób sciszony i dyskretny cyzelował swoją rolę. Napięcia emocjonalne, którym poddawane były postacie **Prokuratora, Julii** i zwłaszcza Morwicza, wymagały już wyrazistszych akcentów, z czego **BOŻENA MILLER-MAŁECKA** wyszła niewątpliwie obronną ręką. Z powściągliwością i skupieniem rozegrała końcową scenę w otwartych drzwiach, kiedy uspokojona wewnętrznie wraca w utarte koleiny codzienności, ale wzbogacona przeżyciem niedoszłej romansowej sytuacji i jakby przeczuwająca teraz, że życie może jej jeszcze niejedno ofiarować.

ZBIGNIEW BIELSKI był zadufanym w sobie Prokuratorem, o poczuciu zawodowej i życiowej przewagi nad innymi, choć postać byłaby, moim zdaniem, bardziej „w stylu", gdyby jej przydać nieco uleglejszej dystynkcji. Panowie z towarzystwa i na stanowisku umieli nie tylko perorować, ale i nosić się godnie. **MAREK KASPRZYK** może uznać za spory sukces uwiarygodnienie tak niesłychanie rzadkiej postaci jak Morwicz. Niełatwo chyba było **BEACIE BUCZEK**, obdarzonej powabnymi warunkami, znaleźć się w kameralnej konwencji, wymagającej precyzji i stałej psychicznej „obecności" na scenie.

Oszczędna, zdecydowanie umowna scenografia, dobrze służyła funkcjonalności i sprzyjała koncentracji uwagi widzów. Było to przedstawienie kulturalne, ze smakiem, bez wydziwiań.

Zbigniew Bielski — Prokurator, Bozena Miller-Małecka — Julia.

Foto: Romuald Sakowicz

Tadeusz Rittner: „Wilki w nocy". Adaptacja i reżyseria — **Maciej Prus**, scenografia — **Grzegorz Małecki**, kompozycja światła — **Krzysztof Sendke**. Premiera 11 listopada 89, w Teatrze Nowym.

To co najprostsze bywa najbardziej zawiłe...

Rozmowa z MARIUSZEM SANITERNIKIEM.

MARIUSZ SANITERNIK, aktor Teatru im. S. Jaracza w Łodzi, laureat nagrody aktorskiej na Festiwalu Sztuk Współczesnych we Wrocławiu za rolę tytułowego „Obywatela Pekosiewicza", gra obecnie gościnnie tytułowego „Woyzecka", w najnowszej premierze Teatru Studyjnego w Łodzi.

— Czy właśnie takie role jak ostatnie: Pekosiewicz i Woyzeck odpowiadają panu najbardziej?

— Interesuje mnie każde zadanie aktorskie i nie ma roli, którą byłbym zafascynowany i chciał ją zagrać. Kiedy czytam jakąś sztukę, widzę wiele postaci, którymi chętnie bym się zajął jako aktor...

— Jaki materiał aktorski niosły te postaci?

— Przede wszystkim zauważyłem, że obie mają w sobie wewnętrzną czystość, wrodzoną uczciwość, prostotę, a jednocześnie niebywale skomplikowane wnętrze. Po ich przeanalizowaniu i zagraniu jestem teraz przekonany, że to co najprostsze bywa najbardziej zawiłe.

— Są to trudne zadania co było najtrudniejsze?

— Najtrudniejsze było dogadanie się z reżyserem „Woyzecka" **Jackiem Zambrzuskim**, z kolei z reżyserem „Obywatela Pekosiewicza" **Mikołajem Grabowskim** porozumiewałem się znakomicie i chciałbym raz jeszcze spotkać się w pracy.

— Jaki jest udział pana w tworzeniu postaci, a jaki reżyserów?

— Wszystko zależy od osobowości reżysera i tego, czy on jest w stanie narzucić mi swoje widzenie czy też zauważam, że sam muszę prowadzić rolę, słowem — ratować się.

— Jaki jest pana osobisty stosunek do tych postaci?

— Muszę coś pokochać, aby to zrobić i tak jest z moimi postaciami scenicznymi. W każdą z nich wlałem kropelkę potu i miłości. Życiowo są to bardzo różni ludzie i tak — Pekosiewicza nie lubię, a Woyzecka — kocham. Pekosiewicz to efemeryda, antyistota, Woyzeck to człowiek szalenie uczciwy i chętnie zatrzymałbym w sobie coś z jego pojmowania świata. Spektakl o Woyzecku jest przykładem na to, jak ludzie i życie potrafią zniszczyć czystość i to, co powinno realizować się w sposób idealny. Obaj nie potrafią kłamać i za to ich cenię.

— W jak dużym stopniu identyfikuje się pan ze swoimi postaciami?

— Wspaniałość tego zawodu polega na tym, że można być różnymi ludźmi, przeżywać ich życie, wzbogacając siebie prywatnie. Z moimi postaciami identyfikuję się z chwilą wejścia na scenę.

— Która z dotychczasowych jest panu najbliższa?

— Realizowana w danym momencie.

— A najważniejsza w dorobku?

— Było ich kilka: Jasiek w **„Weselu"**, Pustak w **„Fircyku w zalotach"**, ksiądz Piotr w **„Dziadach"**, Błazen w **„Eskurialu"** i Pekosiewicz w **„Obywatelu Pekosiewiczu"**.

— Co zagra pan w tym sezonie?

— Nie wiem, dowiaduję się o tym z tablicy ogłoszeniowej w teatrze. Gdybym wiedział wcześniej, byłoby to bardzo stresujące.

— Czy zostanie pan w Łodzi, czy też odejdzie do Wrocławia wraz z dyrektorem Bogdanem Hussakowskim?

— Zastanawiam się...

— Jaki jest pana stosunek do Łodzi, w której spędził osiem lat?

— Obojętny, wolę Kraków.

— Ale przecież z pewnością jest pan usatysfakcjonowany tym, co zrobił na łódzkiej scenie?

— Zdecydowanie tak. Na to wszystko co zdarzyło się tutaj w moim życiu długo czekałem, tak jak i na to, żeby zmienił się stosunek ludzi do mnie. Nawiązałem tu wiele przyjaźni, parę razy zakochałem się i jeśli wyjadę to pozostawię w Łodzi cząstkę swego życia. Cieszę się, że spotkałem tu wspaniały zespół aktorski, który będzie musiał zacząć wszystko od początku. Na to, żeby stać się rodziną, czekaliśmy 11 sezonów, udało się, a teraz?

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Grun w „Gazdówce" u Romaniaka

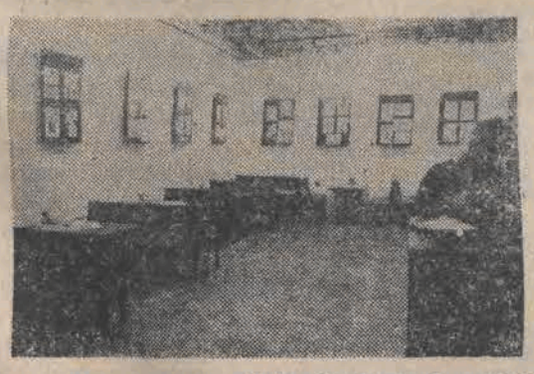

Foto: Sławomir Burzyński

W znanej już — i to nie tylko w kraju, ale i za granicą — i cieszącej się coraz większą renomą w kręgach artystycznych prywatnej Galerii **„GAZDÓWKA"**, w Skierniewicach, wystawiał swoje prace znany artysta plastyk i dziennikarz, **Andrzej Grun.** Są to rysunki i grafiki, tematem których jest satyra, humor, żart, specyficzny obyczajowy folklor polski, nasze kulturalne dziwactwa, wreszcie seks.

Rysunki owe mają ukazać się drukiem w Wydawnictwie Łódzkim. Pytanie — kiedy? — pozostaje na razie bez odpowiedzi! Andrzej Grun jest już autorem jednego albumu podobnej treści pt.: **„Fryzury, albo Gejsza na biegunach"**, wydanego przez dr. Antoniego Szrama jeszcze wtedy, gdy był szczęśliwym dyrektorem Muzeum Historii Miasta Łodzi. Album ów mieścił w sobie 200 rysunków; ten, przygotowany dla Wydawnictwa Łódzkiego zawierać ma 300 rysunków i grafik.

Rzeźbiarz i poeta, **Stanisław Romaniak** — właściciel i menażer Galerii „GAZDÓWKA", wraz ze swoją żoną Danutą, malarką z kolei, prowadzą od kilku lat wielce interesującą i pożyteczną działalność wystawienniczą, edukacyjną i propagandową w tejże Galerii, obejmującą wiele środowisk: od młodzieży i dzieci po kręgi intelektualne, naukowe i artystyczne. Ambitne i równie interesujące są ich plany na przyszłość. I mimo że robią to, co robią (za własne pieniądze!), nie skarżą się na kryzysy i nie chodzą po prośbie do władz, ani świeckich, ani kościelnych. Dziwni jacyś, prawda?

A do Galerii serdecznie zapraszają. Otwarta w piątek, świątek i niedzielę. Oczywiście dla tych prawdziwie zainteresowanych.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

mojej osobistej poetyki. Można mówić o wzajemnym oddziaływaniu kultury śródziemnomorskiej i literatury światowej, która z kolei wpłynęła na moje pisarstwo. Pojechałem do Ameryki, aby spłacić dług, jaki miałem wobec literatury amerykańskiej... Amerykanie powiedzieli mi, że obecnie największą siłę oddziaływania mają literatury południowoamerykańskie i środkowoeuropejska. Ale koniec końców tworzymy literaturę światową, którą tworzą wszystkie literatury narodowe".

Na pytanie czy zjawisko „est-modernizmu" widoczne jest tylko w sferze kultury, Bohumil Hrabal powiedział: „Nie. Weźmy na przykład poetę **Miłosza** — typowy przykład owego skrzyżowania świadomości językowych. Urodził się na Litwie, wyrósł w środowisku Litwinów, Polaków, Żydów, Niemców. Jest to postać wyróżniająca się również z politycznego punktu widzenia... Miłosz był gorącym sympatykiem „Solidarności", związanym z **Wałęsą**, zdrowymi i postępowymi siłami jego kraju. Dla mnie również Wałęsa jest postacią wyjątkową. Od kiedy skończyłem 20 lat, noszę zawsze przy sobie fotografię fragmentu jednego z obrazów **Giotta.** A teraz do aniołków Giotta przykleiłem fotografię **Wałęsy** z księdzem **Popieluszką**, nowym świętym „est-modernizmu". Moim zdaniem z „est-modernizmem" wiąże się też osoba **Karola Wojtyły.** Wszyscy słuchają dziś słów tego człowieka ze Wschodu, przemawiającego do całego świata..."

NARZEKANIA

„Nie maleją narzekania telewidzów na repertuar filmowy w TV — zwłaszcza w programie 1 — a telewizja boryka się z coraz większymi trudnościami finansowymi — pisze **„Antena"**. — Dotąd nie było większych trudności z zakupem filmów produkcji krajowej, które kupowano po stałej cenie (ok. miliona zł), niezależnie od tego, czy był to kinowy bestseller czy kinowy „niewypał". Teraz zmienił się system zakupu obrazów krajowej produkcji. Telewizja będzie musiała negocjować cenę każdego filmu bezpośrednio z producentem. Konia z rzędem temu, kto przewidzi jaki to przyniesie efekt. W każdym razie — w imieniu telewidzów apelujemy do odpowiedzialnych za te transakcje: kupujmy może mniej, za to więcej **dobrych** polskich filmów. Jesteśmy zdania, że kinowe niewypały Telewizja powinna dostawać za darmo".

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Jan Nowak „Kurier z Warszawy" (Wydawnictwo Res Publica i Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak", Warszawa 1989) — 13 000 zł (cena nominalna 7000 zł); **„Domowy poradnik medyczny"** 30 000—50 000 (cena nominalna 13 000 zł); **„Encyklopedia Popularna PWN"** (Warszawa 1989) — 100 000—116 000 zł (cena nominalna 45 000 zł); **Andrzej Makowiecki „Powrót wabiszczura"** — 1000 zł; tegoż **„Król Manhattanu"** — 2500 zł (cena nominalna 580 zł); **„W relacjach i wspomnieniach Wrzesień 1939"** (MON 1989) — 20 000 zł (cena nominalna 5000 zł); **Timothy Garton Ash „Polska rewolucja Solidarności 1980—1982"** (Wydawnictwo „Krąg", Warszawa 1989, drugi obieg) — 5000 zł (cena nominalna 3200 zł); **Jan Stanisławski „Wielki słownik polsko-angielski i angielsko-polski"** 300 000 zł; **„Wielki słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski"** 160 000 zł; **M. Svŕček, B. Vančura „Grzyby środkowej Europy"** (PWR i L 1987) — 60 000 zł; **Helena Mniszek „Trędowata"** (2 t.) — 10 000 zł (cena nominalna 4800 zł).

Galeria pisarzy

HENRYK PUSTKOWSKI

rys. Sławomir Arabski

Kronika

ŁÓDZKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ KSIĄŻKI zorganizowało 16 bm. w Klubie Nauczyciela ciekawe spotkanie z seniorem łódzkiego dziennikarstwa, wieloletnim współpracownikiem naszego tygodnika, red. Adamem Ochockim. Podzielił się on z licznie zgromadzonymi członkami ŁTPK, bibliotekarzami, księgarzami i czytelnikami swymi bogatymi i niezwykle barwnymi wspomnieniami o przedwojennej łódzkiej prasie, księgarniach i antykwariatach.

Bardzo miłym akcentem tego wielce udanego spotkania było wręczenie przez przewodniczącego ŁTPK dr Grzegorza Matuszaka bibliofilskiego adresu gratulacyjnego nowemu prezydentowi naszego miasta — Waldemarowi Bohdanowiczowi. Jak podkreślił G. Matuszak wręczając adres — dobrym prognostykiem dla wspierania inicjatyw na rzecz książki jest fakt, iż po raz pierwszy prezydentem Łodzi został bibliofil, członek ŁTPK, któremu losy jej są bliskie sercu.

W drugiej części spotkania rozwinęła się ożywiona dyskusja, która przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych.

Podczas wieczoru — tu ukłon w stronę organizatorów — można było nabyć najnowszą książkę Adama Ochockiego „Erika zdradza tajemnicę" (oficyna „Res Humana") i uzyskać autograf autora.

TEATR NOWY W ŁODZI — jedna z najbardziej zasłużonych scen, na której Kazimierz Dejmek tworzył wspaniałe inscenizacje — obchodził 20 bm. jubileusz 40-lecia. Z tej okazji, długoletni, wyróżniający się pracownicy TN udekorowani zostali odznaczeniami państwowymi, honorowymi odznakami oraz uhonorowani listami gratulacyjnymi i nagrodami Wydziału Kultury UMŁ. Podczas uroczystego aktu dekoracji obecny był wiceprezydent m. Łodzi Janusz Urbaniak.

Jubileusz uświetniło galowe przedstawienie „Kordiana" Juliusza Słowackiego, w reżyserii Jerzego Hutka — dyrektora TN.

UROCZYSTE OBCHODY JUBILEUSZU 30-lecia wielce zasłużonego dla naszego miasta Towarzystwa Przyjaciół Łodzi zapoczątkowane zostaną 27 bm. złożeniem przez delegację tego towarzystwa kwiatów na grobie Eugeniusza Ajnenkiela, założyciela i pierwszego prezesa TPŁ.

Tego samego dnia w Muzeum Historii Miasta Łodzi (godz. 18) odbędzie się okolicznościowe, rocznicowe spotkanie.

STARANIEM DOMU ŚRODOWISK ARTYSTYCZNYCH łodzianie mogą obejrzeć, otwartą 20 bm., głośną ekspozycję fotogramów Stanisława Markowskiego pn. „A mury runą, runą, runą..." (prezentowaną po raz pierwszy w Krakowie). Jest ona dokumentalnym zapisem fotograficznym przełomowych wydarzeń w życiu naszego kraju w latach 1980—1989.

Wystawę można oglądać do 5 grudnia br. w DSA (al. Kościuszki 33) w godzinach 16—19.

W RAMACH Dni Kultury Chrześcijańskiej w Łodzi, na zaproszenie Towarzystwa Śpiewaczego im. Karola Szymanowskiego, wystąpi dwukrotnie w naszym mieście z koncertami muzyki cerkiewnej znakomity Chór Radia i Telewizji Białoruskiej SRR z Mińska, pod dyrekcją znanego dyrygenta Wiktora Rowdo. Środowy koncert (22 bm.), na który złożą się m.in. utwory Rachmaninowa, Titowa i Czesnokowa odbędzie się o godz. 19 w Kościele NSJ przy ul. Retkińskiej 127.

STUDENCKI Teatr „Pstrąg" — Grupa 80 UŁ zaprasza na wystawę prasy alternatywnej, która otwarta zostanie 24 bm. w siedzibie „Pstrąga" (przy ul. Wólczańskiej 74). Warto się wybrać na ten niecodzienny, oryginalny wernisaż.

W GALERII łódzkiego Teatru Studyjnego czynna jest od 21 bm. wystawa rysunków komputerowych (wykonanych metodą plottingu) amerykańskiego artysty z Los Angeles — Fredericka Abramsa.

ZAREJESTROWANY niedawno „Klub konserwatywny" w Łodzi (prezes **Jacek Bartyzel**), liczący obecnie 30 członków, zainauguruje swoją działalność 26 bm. uroczystym zebraniem w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 173/181.

NA SCENIE Kameralnej łódzkiego Teatru Wielkiego 2 grudnia br. odbędzie się premiera „Kynologa w rozterce" Henryka Czyża. W jego rękach spoczywa też kierownictwo muzyczne spektaklu, który zobaczymy w reżyserii Bogusława Danielewskiego i oprawie scenograficznej Ryszarda Kaja.

POLECAMY w Muzeum Sztuki w Łodzi (ul. Więckowskiego 36) interesującą wystawę obrazów, rysunków, szkiców, fotografii i dokumentów — z pracowni artysty — Artura Nacht-Samborskiego (1898—1974).

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX zapowiada opublikowanie książki Petera Raina pt. „Sprawa zabójstwa Bohdana Piaseckiego". Autor usiłuje w niej dociec, dlaczego zagadka morderstwa syna Bolesława Piaseckiego, założyciela i wieloletniego prezesa PAX, nie została dotąd wyjaśniona. Peter Rain formułuje wniosek, że chłopiec stał się ofiarą rozgrywek politycznych, zaś ówczesne organa ścigania naruszyły zasady praworządności.

KTÓRA Z NASZYCH PAŃ nie chciałaby być modnie ubrana od stóp do głów? Im więc szczególnie polecamy otwartą 17 bm. w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi wystawę pn. „Od stóp do głów".

Prezentowana jest na niej moda brytyjska lat osiemdziesiątych. Wśród eksponatów znajdują się m.in. ubiory zaprojektowane przez Davida Sasoona — wykonującego stroje dla angielskiego dworu królewskiego.

Ekspozycja ta, którą podziwiała już Warszawa, zorganizowana została — pod protektoratem Księżnej Walii — przez British Council.

W INSTYTUCIE Filologii Polskiej UŁ odbył się 13 bm. wieczór autorski Jacka Berezina, zorganizowany przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza i Oddział Łódzki Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Opracował: JAK

Panorama

JUGOSŁAWIA

Młodzieżowe pismo słoweńskie „Mladina" występujące przeciw przewodniczącemu Prezydium SR Serbii — Słobodanowi Miloszeviciowi zamieściło jego sfingowany akt zgonu. Wychodzący w Lublianie „Dnevnik" skomentował ten fakt jako **„najbardziej chorobliwy pamflet, o jaki trudno w dziejach deformacji umysłu ludzkiego"**. Akt zgonu Słobodana Miloszevicia wypełniony jest na oryginalnym formularzu, ręcznym pismem, datę zgonu podano jako 29 listopada 1989 roku, a powód zgonu — samobójstwo.

Belgradzka telewizja obwieściła swoim widzom, że początek jesieni przyniósł Jugosławii rekord świata. W ciągu roku wędliny podrożały w Jugosławii 10 razy, olej jadalny — 11 razy, cukier — 14 razy, mleko — 15 razy. Jugosławia w wyścigu państw ogarniętych inflacją wyprzedza Argentynę, Brazylię i Izrael. Ustępuje jedynie Nikaragui i Ugandzie. Inflacja w Jugosławii osiągnęła poziom 2 500 procent.

WĘGRY

Wychodzący w Moskwie tygodnik „Moskowskije Nowosti" zastanawia się nad sytuacją partii lewicowych na Węgrzech. Przypomina, że Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza zakończyła działalność i przekształciła się w Węgierską Partię Socjalistyczną, choć grupa działaczy i członków WSPR nadal uważa, że partia ta istnieje i chcą w niej działać. Zdaniem „MN" stanowią oni mniejszość, która chce bronić zdobyczy socjalizmu i tradycji komunizmu. Taki stan rzeczy spowodował rozbicie ruchu socjalistycznego na Węgrzech. Jest to wynik kryzysu, jaki ogarnął Węgry. Skończył się czas dla WSPR jako partii państwowej.

WPS znalazła się natomiast w zupełnie nowej sytuacji, kiedy konstytucja nie daje jej żadnych przywilejów i jako jedna z partii musi walczyć o poparcie społeczeństwa. Przyszłość pokaże, jak się z tym upora.

ZSRR

W ZSRR z tournée przebywał 550-osobowy zespół opery La Scala z Mediolanu. Włosi przywieźli ze sobą własną restaurację i co tydzień sprowadzali kontenerami żywność. Byli gośćmi „Goskoncertu" Jeśli pod względem artystycznym wyjazd można uznać za udany, to organizacyjnie był to wielki skandal. Zdaniem strony włoskiej „Goskoncert", jeśli chce gościć zespoły o światowej renomie, to musi posiadać własny servis, hotele, umowy z „Aerofłotem" i inne udogodnienia, aby móc zapewnić artystom taki poziom, do jakiego są przyzwyczajeni.

W Erewaniu obradował zjazd założycielski Ormiańskiego Ruchu Narodowego, w którym uczestniczyło 40 organizacji. Wzięli też udział obserwatorzy z innych republik i spoza ZSRR. Przywódca KP Armenii — Suren Arutunian oświadczył w powitalnym przemówieniu, że ORN i KPA mają zbieżne cele, różnią się jedynie sposobami ich realizacji. Dyskusja na zjeździe była tak dramatyczna, że doszło do bójki, co obserwowali telewidzowie, jako że obrady były transmitowane w całości przez lokalną telewizję. Większość — poza dwoma — organizacji opowiedziało się za suwerennością w ramach ZSRR. Oznaczałoby to własne stosunki dyplomatyczne, np. z Iranem i Gruzją, armię stworzoną na zasadzie terytorialno-narodowej oraz prawo do secesji i należenia do różnych organizacji międzynarodowych.

Opracował:
W. BOROWY

Życię między synem Wodza a pomocnikiem Wodza (2)

Gra do jednej bramki

NIKOŁAJ STAROSTIN

Przypominam sobie, jak kucharka w daczy dosłownie prześladowała mnie żądaniami, abym wpłynął na Wasieńkę, żeby lepiej jadł. Jednakże bardziej starałem się wykorzystać swe krasomówstwo spełniając prośbę Swietłany Allilujewy, która domagała się ode mnie pomocy i sama ze wszystkich sił próbowała odwieść brata od pijaństwa. Głównie pętali się koło niego ludzie, załatwiający swoje osobiste interesy, „przepychali" dla siebie mieszkanie, tytuły, zawodowy awans. Nie przypominam sobie, aby przy mnie zajmował się sprawami służbowymi. Wieść gminna głosiła, że jeśli kogoś przyjmie, to bez wątpienia mu pomoże.

Rozmaici urzędnicy nie dawali mu spokoju: naiwnie spełniał niezliczoną ilość próśb wykorzystujących go, obrotnych ludzi. Wszystkie problemy rozwiązywane były zazwyczaj za pomocą tego samego manewru — adiutant wystudiowanym głosem obwieszczał do słuchawki: — *Teraz będzie mówić z wami generał Stalin!* Zanim na drugim końcu linii doszli do siebie od usłyszanego nazwiska, sprawa była praktycznie załatwiona. W tym czasie pojąłem już, że Wasilijowi podobała się rola władcy cudzych losów, próbował w niej naśladować ojca.

Obracając się w najwyższych sferach partyjnych, gdzie może się zdawać, że w życiu wszystko jest proste, nie przyzwyczajony do najmniejszego nawet wysiłku umysłowego, nie nadawał się do poważnej działalności publicznej; nie był także zdolny zająć się jakąkolwiek pracą naukową. Nie zadawał sobie trudu, aby w domu popracować nad tymi dokumentami służbowymi, których nie zdążył przejrzeć w sztabie i wracał do nich dopiero wówczas, gdy trzeźwiał po kolejnym pijaństwie.

Moja ciągła obecność w willi wciąż przypominała Wasilijowi o konieczności podjęcia decyzji w mej sprawie. Tym bardziej, że sama sytuacja — zamieszkiwania byłego więźnia politycznego bez jakichkolwiek dokumentów (dowód osobisty przesłano do Majkopu) u członka rodziny przywódcy partii i państwa — stawała się dwuznaczna i dawała Ławrientijowi Berii wspaniałą szansę skompromitowania syna w oczach ojca. Nie widziałem dla siebie konkretnego wyjścia, nerwy miałem napięte do ostateczności. Być może dlatego popełniłem błąd, postanowiłem bowiem, bez względu na ryzyko, ponownie zobaczyć się z rodziną.

Odczekawszy, aż Wasilij gruntownie się urżnie i uśnie, niepostrzeżenie wyszedłem przez okno do ogrodu, przelazłem przez płot i znalazłem się na bulwarze Nikołaja Gogola. Obejrzałem się — nie ma nikogo. Skręciłem ku Bramie Nikitskiej i poszedłem na Spirydonowkę Podniesiony na duchu tym, że tak udanie oszukałem agentów Ławrientija Berii, zapominając o elementarnej ostrożności, zostałem w domu na noc. Pamiętam, że pomyślałem: dość tego ukrywania, też mi wydarzenie — Starostin śpi we własnej pościeli.

Dokładnie o szóstej rano rozległ się dzwonek do drzwi i bez jakichkolwiek ceremonii weszli dwaj znani mi pułkownicy.

— *Ubierajcie się, my po was. Dlaczego nie wyjechaliście, pomimo podpisanego zobowiązania?*

— *Nie wyjechałem, gdyż nie pozwolił mi dowódca.*

— *Mamy instrukcje wysłać was niezwłocznie do Majkopu.*

Kolejny raz zapakowałem walizeczkę, włożyłem do niej płaszcz, koszule. I w asyście „kompanii honorowej" przybyłem na Dworzec Kurski. Dosłownie po kilku minutach przynieśli mi bilet, mówiąc:

— *Udajcie się do Krasnodaru. Tam pójdziecie do miejskiego kierownictwa NKWD i otrzymacie skierowanie do Majkopu oraz swój dowód osobisty.*

Później jeden z pułkowników wyszedł do sąsiedniego pokoju i usłyszałem, jak składa komuś telefonicznie meldunek:

— *Towarzyszu generale. Starostin został dostawiony na dworzec. Wysyłamy go do Krasnodaru najbliższym pociągiem. Nie, nie stawia oporu, zachowuje się spokojnie...*

Szedłem peronem i ze złości na siebie byłem do cna strapiony. I nagle z podmiejskiej kolejki, która nadjechała, wysiada dosłownie naprzeciw mnie Nikołaj Baranow, były lekkoatleta „Spartaka".

— *Pan dokąd. Nikołaju Pietrowiczu?*

Mówię mu:

— *Nikołaju, zajdź, proszę, do mojej żony i powiedz, że tym oto pociągiem odjechałem do Krasnodaru.*

Siedzę w przedziale. Są w nim jeszcze trzy osoby. Rozważam sobie: która z nich została podstawiona, aby mnie śledzić?

W czasie postoju w Orle nagle widzę w przejściu wagonu znajomą postać naczelnika kontrwywiadu Wasilija Stalina, którego spotykałem w willi na bulwarze Nikołaja Gogola. Z nim stoi mój wierny Sancho Pansa — Wasilij Kurow i daje mi ledwie zauważalne znaki: niechże pan tu przyjdzie. Kiedy wyszedłem na korytarz, naczelnik kontrwywiadu mówi:

— *Nikołaju Pietrowiczu, dopędziliśmy pana samolotem. Wasilij Josifowicz rozkazał wszelkimi sposobami zawrócić pana do Moskwy.*

— *Mnie do Moskwy nie wolno.*

— *Nikołaju Pietrowiczu, on na pana czeka. Nawet pan sobie nie wyobraża jak przeklina i ciska gromy!*

Pociąg za chwileczkę ruszy, trzeba coś postanowić. Próbuję skorzystać z ostatniego pretekstu:

— *Tam są moje rzeczy. A poza tym najprawdopodobniej jestem śledzony.*

— *A niech diabli porwą pańskie rzeczy i pańskiego szpicla. Trzeba lecieć.*

Było nie było! Wyskakuję z pociągu. Pędzimy na przydworcowy plac. Tam już czeka „jeep". Pakujemy się do niego — i na lotnisko. Krótko mówiąc, kiedy przestępuję próg gabinetu Wasilija Stalina, to w bezpośrednim i przenośnym znaczeniu przedstawiam sobą żałosny widok. On wszakże nie zwraca na to zupełnie uwagi. Histerycznie krzyczy:

— *Kto? Kto was brał?*

— *Nie przedstawili się, lecz w rozmowie jeden z nich wymienił nazwisko Ogurcow.*

— *Ach, Ogurcow! No, dobrze...*

Chwyta telefon i nakręca jakiś numer. Ze słuchawki słychać głos:

— *Przy aparacie generał dywizji Ogurcow.*

— *Nie jesteście generałem dywizji Ogurcowem, tylko generałem dywizji Trzepadłem. Ja to wam mówię, generał dywizji Stalin.*

Tamten z jawnym przestrachem:

— *Towarzyszu generale! Co się stało?*

— *Rozmawiałem z wami dwie godziny temu. Pytałem, gdzie jest Starostin. Powiedzieliście, że nie wiecie.*

— *Rzeczywiście nie wiem.*

— *Jak to nie wiecie, skoro meldowano wam z dworca, że wysyłają go do Krasnodaru.*

— *Ktoś was wprowadził w błąd.*

I nagle Wasilij, już się uspokoiwszy, wyrecytował:

— *Wprowadził mnie w błąd Starostin, który siedzi naprzeciw. Powinniście wszakże wiedzieć, że w naszej rodzinie zniewag się nie wybacza.*

I rzuca słuchawkę.

Mam jedno tylko pragnienie — jak najszybciej umyć się i wyspać. Jednakże dowódca nie zna miary.

— *Nikołaju Pietrowiczu, dzisiaj „Dynamo" gra z Siłami Powietrznymi. Niech pan pójdzie zjeść obiad i pojedziemy na mecz. Zaraz ich tam wszystkich capniemy.*

Zagrał va banque. Podjeżdżamy do stadionu „Dynamo" — brama otwiera się szeroko, wszyscy od rązu na baczność: — *Zdrowia życzymy, towarzyszu generale!* Wchodzimy do centralnej loży, która jest wypełniona do ostatniego miejsca. Kiedy pojawia się Wasilij, wszyscy wstają z miejsc.

— *Przedstawiam panu* — mówi do mnie — *to generał Ogurcow. A to* — zwraca się do generała — *Nikołaj Starostin, którego dziś rano wysłaliście z Moskwy.*

Ogurcow, poczerwieniawszy, demonstracyjnie opuszcza lożę.

— *Widzicie* — zwraca się do wszystkich Wasilij — *jaki z niego nerwus? To znaczy, że czuje swoją winę.*

Pozostali oficerowie idą za przykładem Ogurcowa.

Nasza obecność w pierwszym rzędzie centralnej loży wywołuje ogromne zaciekawienie kibiców na trybunach.

Czuję, że Wasilijowi czegoś brakuje. Mówi do mnie:

— *Chodźmy, oni wszyscy są w bufecie.*

Wchodzimy do bufetu. Generałowie wstają i wychodzą do loży. Obsługa jest zdziwiona. Nikt niczego nie rozumie.

— *To by było wszystko* — reasumuje Wasilij. — *Niech pan wypije kawę, a ja dodatkowo wódeczkę i pójdziemy do drużyny. Uważam, że się zemściliśmy.*

Po wszystkim, co się zdarzyło, zrozumiałem do końca, w jaką ciężką historię mnie wciągnął i nawet nie starał się myśleć, czym to się może zakończyć. Wszystko skomplikowało się przez to, że akurat w tym czasie Wasilij był w opałach: przy połowie, kiedy z kolegami głuszył ryby, odłamki granatu raniły śmiertelnie wojskowego pilota, mówiono, że osobistego pilota Józefa Stalina. Po tym zdarzeniu ojciec był bardzo zagniewany na syna. Wasilij uważa, że Ławrientij Beria specjalnie wyolbrzymił ten incydent i sprezentował Józefowi Stalinowi, żeby skłócić go z ojcem.

Następnego dnia Wasilij powiedział mi przy śniadaniu:

— *Beria odleciał z Picundy. Ojciec tam został. Dzisiaj do niego polecę. Mam kilka pilnych spraw, a jednocześnie postaram się pomówić o panu. Będzie pan czekał na mój powrót w bazie. Nikt tam pana nie dotknie. Niech pan zabierze z sobą żonę i córki. Pojedzie z wami mój adiutant Polański. Wypocznie pan, połowi pan ryby w jeziorze...*

Propozycja ta była dla mnie dość kusząca, gdyż obok, odległa dosłownie osiemnaście kilometrów, znajdowała się wieś, gdzie w tym czasie mieszkała moja matka i siostry z dziećmi.

Wasilij wezwał majora Polańskiego.

— *Weźmiecie do konwojowania dwa samochody z ochroną. Jeden pojedzie przodem, drugi z tyłu. W środku będzie Nikołaj Pietrowicz z rodziną.*

— *Co mam robić, jeśli w drodze ludzie Berii będą chcieli aresztować Starostina, jeżeli spróbują wziąć go siłą?*

— *Odpowiedzcie ogniem...*

Uznałem, że muszę się wtrącić.

— *Wasilija Josifowiczu, jak to, odpowiedzcie ogniem? Będziemy strzelać do czekistów a oni do nas? Nie pojadę.*

Wtedy Polański proponuje:

— *Możemy tam polecieć dwoma samolotami. W bazie jest maleńkie lotnisko. W powietrzu Beria nie może nas przechwycić.*

— *Dobrze, róbcie co trzeba. Lecz pamiętajcie, że odpowiadacie za Starostina głową.*

I oto młodsza córka (starsza ze względu na studia została w domu), żona, Kurow, Polański oraz ja dwoma samolotami lądujemy na lotnisku. Cudowny teren bazy, przepiękne jezioro połów ryb... To wszystko nieco głuszyło mroczne myśli. Po kilku dniach zadzwonił z Picundy Wasilij, zawiadamiając:

— *Z ojcem jest gorzej. Lekarze nikogo do niego nie dopuszczają. Nie dziś, to jutro, ma tutaj znów przylecieć Beria.*

„Koniec — zdecydowałem — to już jest nie do wytrzymania. Mam tego dość. I wędkowania, i ochrony. Także żona się denerwuje: bądź co bądź została starsza córka".

Proszę o połączenie z Picundą.

— *Wasiliju Josifowiczu, podjąłem decyzję — jadę do Krasnodaru. Po przyjeździe zawiadomię, gdzie mnie skierowano. To najbardziej realistyczne i proste wyjście. Już dwa miesiące jestem zawieszony między niebem a ziemią. Nie chcę być kamieniem na pańskiej szyi.*

W dwa, trzy dni po przyjeździe do Krasnodaru wezwano mnie do miejskiego oddziału Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego: Moskwa nie pozwoliła zostać wam w Krasnodarze. Przyjdzie wam jechać do Majkopu.

— *Dobrze* — zgadzam się — *pojadę do Majkopu.*

Ale i tu odmawiają mi zameldowania. Ostatecznie meldują mnie u jakiejś staruszki w Uljanowsku i zaczynam trenować tamtejsze „Dynamo".

Mija rok. Wszystko toczy się swoją koleją: trenuję drużynę, jeżdżę z nią na mecze. I oto pewnego razu na dworcu podchodzi do mnie wysoki chłopiec i mówi:

— *Towarzyszu Starostin, można was prosić na chwileczkę... Będziecie musieli pojechać ze mną.*

— *Dlaczego?*

— *Drużyna pojedzie z Kurowem, a ja mam rozkaz towarzyszyć wam oddzielnie. Wyjdźmy na plac przed dworcem — tam czeka karetka więzienna.*

Wiozą mnie do gabinetu naczelnika wojewódzkiego urzędu MBP, Grybanowa.

— *Nikołaju Pietrowiczu, niech pan wybaczy, że tak wyszło. Nadeszła decyzja kolegium. Za złośliwe naruszenie przepisów meldunkowych został pan skazany na dożywotnie zesłanie do Kazachstanu. Próbowałem to jakoś złagodzić. Zrobiłem wszystko, co było możliwe. Ale... Niech pan podpisze, że zaznajomił się z decyzją kolegium.*

Zrozumiałem, że nastąpiła odpłata za moskiewską epopeję, za moje zuchwałe zjawienie się w centralnej loży stadionu „Dynamo". Znowu więzienny wagon. Kierunek jazdy — Akmolińsk. Boże, kiedyż skończy się ta udręka?

Wynajmuję pokój w domu na przedmieściu i zaczynam pracę. Przychodzę na pierwszy trening piłkarzy. Pada deszcz. Oglądam niezwykle ciekawy obrazek — drużyna miesi błoto, a na środku boiska z parasolem, w płaszczu i kapeluszu, w kaloszach naciągniętych na pantofle, chodzi jakiś mężczyzna i daje wskazówki. Pytam miejscowych pracowników:

— *Kto to?*

— *To przecież Hofmann, były środkowy napastnik reprezentacji Rumunii.*

W ten sposób poznałem Arkadija Wolfowicza Hofmanna, który będąc obywatelem rumuńskim, po zakończeniu wojny wyraził chęć dobrowolnego pozostania w ZSRR, został „serdecznie' przyjęty i szybko wysłany na Daleki Wschód. Była to jedna z najsympatyczniejszych znajomości w moim życiu. Pod względem horyzontów myślowych i inteligencji Arkadij Hofmann wyróżniał się wśród naszych trenerów. Drugiego takiego chyba się nie znajdzie. Do graczy zwracał się wyłącznie per „pan"

— *Igor, pan, o tutaj, zrobił błąd... Siergieju, dlaczego pan tam pobiegł?*

Było zabawne słuchać jego, a efekt miało piorunujący. Cieszył się niekwestionowanym autorytetem. W dużej części dzięki niemu pozyskałem w Kazachstanie wielu przyjaciół. Toteż ałmacki „Kajrat" od tej pory stał się dla mnie niemal moją drużyną. Co tu dużo mówić, Ałma-Ata zajmuje w moich wspomnieniach szczególne miejsce. Niekiedy zamykam oczy i widzę: leżę w jabłoniowym sadzie, obok jest strumyczek, aryk (kanał nawadniający w środkowej Azji — objaśnienie tłumacza). Można spokojnie spać pod jabłonią i ani jednego komara. Budzisz się, podnosisz rękę i zrywasz najsmaczniejsze jabłko na świecie — ałmacki aport. Zgodzicie się chyba, że po wielu latach tułaczki jest to dar losu! Lecz główne wydarzenie było jeszcze przede mną.

Na jednym z zebrań drużyny analizowaliśmy z piłkarzami poprzedni mecz. Nagle wchodzi spóźniony Jermek Utibajew, nasz napastnik. Nigdy nie zapominałem, że jestem zesłańcem politycznym, lecz uważałem za niezbędne utrzymywać w drużynie dyscyplinę. Musiałem zrobić uwagę:

— *Jermek, dlaczego się spóźniasz?*

— *Spóźniłem się z powodu tego zdrajcy, wroga ludu — Berii.*

— *Co ty pleciesz? Wypiłeś, czy co?*

— *Jak to co? To pan nie wie? Dzisiaj aresztowano Berię. Okazał się wrogiem ludu i szpiegiem.*

Wiadomość ta zasadniczo zmieniła moje życie. Przyjąłem ją tak jak po długiej nocy polarnej wita się wschód słońca. Zdziwienie było zmieszane z radością i nadzieją. A po miesiącu usłyszałem w słuchawce daleki głos wzruszonej żony:

— *Nikołaju, do mnie dzwonił towarzysz, jak zrozumiałam, z kręgów zbliżonych do kierownictwa KC. Przekazał, żebyś bez zwłoki napisał podanie na nazwisko Chruszczowa z prośbą o rewizję swojej sprawy.*

Czy warto mówić, że jeszcze tego dnia wysłałem list do Moskwy. Dalej wydarzenia rozwijały się błyskawicznie. Przychodzi wezwanie do stolicy. Natychmiast odlatuję do Moskwy. Nie zdążyłem przestąpić progu domu, gdy żona wyciągnęła kartkę ze szkolnego zeszytu z numerem telefonu:

— *Prosili, abyś niezwłocznie zadzwonił.*

Jak wolno obraca się tarcza telefonu... Jak długo dźwięczą w słuchawce sygnały. Wreszcie jednak:

— *Słucham, Lebiediew.*

— *Dzień dobry. Tu mówi Nikołaj Starostin.*

— *Natychmiast przyjeżdżajcie. Przepustka zamówiona.*

— *Nie posiadam dowodu osobistego, a tylko delegację.*

— *Nie denerwujcie się, na was czekają.*

Stało się to początkiem końca „sprawy Starostinów". Oczywiście strasznie żal lat „łagrowych" straconych w rozkwicie sił. Lecz człowiek ma właściwość godzenia się z losem. Pocieszam się, że nie minęły jałowo, wiele mnie w życiu nauczyły, pozwoliły poznać własny kraj — od Chabarowska do Władywostoku, od Czyty po Ałma-Atę. I wszędzie skórzana piłka futbolowa, jakby to nie było dziwne, okazywała się niezależna od Berii. Była dla niego przeciwnikiem, którego Ławrientij Beria, sam w przeszłości piłkarz, nie mógł pokonać. Główni jego pomocnicy w terenie odnosili się do mnie życzliwie, a nawet z sympatią. A robili to tylko z jednego powodu: kręgi rozchodziły się po wodzie — ambicje piłkarskie ich „wodza" przeradzały się w lokalną próżność i chęć, żeby u siebie mieć najlepszą drużynę makroregionu, województwa, miasta, łagru...

Sądzę, że nasza rodzina powinna być wdzięczna federacji „Dynamo". W tych ciężkich latach była ona wyspą, na której przetrwaliśmy, ocaliliśmy swoje rdziny i ostatecznie wróciliśmy z powrotem do stolicy. Jestem dumny, że w rodzinie Starostinów, po wszystkim, co przeszliśmy, nikt nie zatracił się moralnie i nie zapłacił za to życiem. Jeszcze przez ćwierć wieku, a nawet dalej byliśmy widoczni w naszym działaniu.

Przełożył:
JERZY DARNAL

ze str. 1

ny przekroczyło 2,6 mln Polaków. Liczymy, że na Nowy Rok liczba ta wzrośnie do 3 mln. Ewentualne waśnie powstają, jak to zwykle bywa, na tle handlowym. Innych starć czy szykanowania nie zaobserwowaliśmy. Z dużą satysfakcją odnotowuję, że w zarządzie Towarzystwa Kultury Polskiej oprócz Polaków zasiadają także Ormianin i Żyd. Tam są wszyscy, którzy kochają polską kulturę, nie wdając się w polityczno-historyczne animozje. Do polskich szkół chodzą dzieci nie tylko polskiego pochodzenia czy z rodzin mieszanych, w teatrze polskim występują również Rosjanie i Ukraińcy, którzy specjalnie nauczyli się języka i grają po polsku.

— Czy konsulat otrzymuje oficjalne informacje i komunikaty na temat zajść, jakie mają miejsce we Lwowie i na Zachodniej Ukrainie?

— Konsulat obok ochrony prawnej polskich obywateli, rozwijania propagandy oraz współpracy między różnymi instytucjami powinien również interesować się sytuacją kraju, w którym się mieści. Do naszych zadań należy wzajemne informowanie się ze stroną radziecką o sytuacji w obu krajach. Ja w prasie, telewizji, na różnych spotkaniach przedstawiam aktualny obraz Polski, perspektywy polityczne i gospodarcze, problemy, z jakimi się borykamy. Druga strona robi to samo. Nie jesteśmy biernymi obserwatorami, jak również nie jesteśmy zdani wyłącznie na środki masowego przekazu. Wymiana informacji odbywa się na spotkaniach z władzami różnego szczebla.

— Więc wie pan o zajściach 1 października 1989 r., kiedy to pobito na ulicy ludzi i o wiecu 15 października, na którym ludzie oczekiwali wyników śledztwa w sprawie użycia siły przez służby porządkowe?

— Nie znam szczegółów. Wiem ogólnie, że odbywają się demonstracje pod różnymi hasłami.

— Nie powinny interesować pana szczegóły?

— Wiem ogólnie...

— Czy zadowalają pana tylko oficjalne komunikaty, ocena jednej strony?

— Mamy ogólną ocenę tego, co się dzieje, jakie żądania są wysuwane. Jest to trochę sekret firmy, ale informacje mamy z różnych źródeł, zresztą, kiedy obok nas idzie demonstracja, trudno się schować i udawać, że nas nie ma. Nie mogę powiedzieć, że w tym uczestniczymy, ale pracownicy chodzą po mieście, widzą, co się dzieje, jakie są nastroje. Zmieniły się środki masowego przekazu, wszystko, co się teraz dzieje, odbywa się przy otwartej kurtynie. Trwają zażarte dyskusje polityczne, w drugim programie telewizji nadawane są relacje z posiedzeń Rady Najwyższej, a tam wypowiadają się ludzie o różnych poglądach. Myślę, że na podstawie informacji do nas docierających można wyrobić sobie w miarę pełny obraz sytuacji i na Ukrainie, i w Związku Radzieckim.

— Wielokrotnie podczas zajść ulicznych czy niepokojów na tle narodowościowym pojawia się w komentarzach słowo „prowokacja"

— U nas też to słowo się pojawia. Zależy, co się przez nie rozumie. Na pewno tutejsi radykaliści przez swoje zachowanie prowokują władze do określonego zachowania, nie przestrzegając przyjętych tu ustaleń o zgromadzeniach. W każdym demokratycznym i praworządnym państwie na kilka dni wcześniej informuje się kiedy, gdzie, o której godzinie i przeciw czemu zostanie zorganizowana demonstracja.

— Wierzy pan, że uzyskaliby zgodę?

— Po to jest państwo, żeby pilnować porządku. Wiem, że we Lwowie krąży pogłoska, że demonstracje są organizowane nie przez ukraińskich ekstremistów, ale przez kogoś zupełnie innego. Obserwując tutejszą sytuację, mogę powiedzieć, że siły porządkowe zachowują dużą powściągliwość. Nie sądzę, żeby zajścia 1 października 1989 r. były sprowokowane. Nie wierzę, żeby chciano z premedytacją skłócić ze sobą Rosjan i Ukraińców. W imię czego? Władze podejmują wiele wysiłków, żeby wszyscy żyli w zgodzie, ogłaszają dramatyczne apele o spokój. W takim kraju jak ZSRR podobna sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Premier Nikołaj Ryżkow ogłosił, że w sierpniu i wrześniu w wyniku niepokojów społecznych produkcja wzrosła tylko bardzo nieznacznie, zablokowany jest transport, psuje się wiele produktów, nie przyjmuje się towarów z importu. Czesi musieli zabrać z powrotem milion par obuwia, bo nie miał go kto odebrać. Wszelkie waśnie zakłócają życie ekonomiczne, powodują wielkie straty, chaos i pociągają za sobą ofiary w ludziach.

— Jednak w każdej republice znajdzie się grupa, którą władza może wykorzystać do swoich celów. Mówi się, że na Litwie nie było wystarczająco dużo Rosjan, to posłużono się Polakami, żeby zahamować gwałtowne przemiany i przeciwstawić się Litwinom.

— Nikt nie może być zainteresowany w tym, żeby prowokować spory narodowościowe. Głoszenie haseł, że władzy zależy na niepokojach jest właśnie prowokacją! Dawniej nie było warunków do rozwoju narodowości, ludność masowo przesiedlano z terenów etnicznych. W ramach jawności to wszystko się teraz uzewnętrznia i domaga naprawienia krzywd. Władza przyznaje, że było wiele nieprawidłowości i wzywa do wyrównania szkód na drodze pokojowej. Będąc tyle lat w Związku Radzieckim nie mam żadnych podstaw do podejrzeń o tak niecne zamysły, wręcz przeciwnie.

— Jak ocenia pan szanse na reaktywowanie kościoła unickiego?

— Są takie żądania. 17 września odbyła się demonstracja, zresztą nie tylko tu, także w Moskwie na Arbacie są pikiety. Jakie są szanse? Trudno powiedzieć. Jest to sprawa nowa, która nagle wybuchła.

— W dawnym Stanisławowie, obecnym Iwano-Frankowsku odkryto mogiły, w których potajemnie chowano pomordowanych przez NKWD w latach 1940—41.

— Odkrywa się dużo mogił i będzie jeszcze odkrywać. Takie to były przeklęte czasy.

— Czy sądzi pan, że wszystkie narodowości zamieszkujące tereny Związku Radzieckiego są dojrzałe politycznie, dorosły do powagi chwili? Czy są w stanie załatwić wszystkie spory pokojowo? Przykład konfliktu Ormian i Azerbejdżan pokazuje, że nie.

— Narodu nie można traktować jako masy, to organizm bardzo złożony. Uważam, że większość ludzi, głównie inteligencja zdaje sobie sprawę z sytuacji, jaka ukształtowała się w ZSRR w ciągu ostatnich 70 lat. Nie można nagle rozbić na kawałki tak wielkiego państwa. Jest wiele różnych więzi, które łączą poszczególne jego części. To, co osiągnęły republiki azjatyckie, zawdzięczają pomocy innych narodowości. Po tak ogromnym nieszczęściu, jakie dotknęło Armenię — gdyby nie pomoc wielkiej rodziny, Ormianie długo nie mogliby się odnaleźć po trzęsieniu ziemi. A Czernobyl? Z całego kraju szła pomoc.

Jako obserwator mogę powiedzieć, że w procesie przemian ujawniają się również elementy szowinistyczne, które są przeciwne egzystencji w wielkiej rodzinie. W ZSRR są małe i biedne narodowości, których nie stać na zafundowanie sobie samodzielnego bytu, własnej państwowości, ponieważ zginą, nie dadzą sobie rady. Oczywiście nie należy traktować państwa jako monolitu, istnieje dążenie do większej samodzielności republik, lepszego wykorzystywania bogactw naturalnych, decentralizacji gospodarki i planowania, ochrony środowiska naturalnego.

Twierdząc, że narody Związku Radzieckiego są niedojrzałe do sytuacji, zrobi się im krzywdę. Są zdolne sprostać zadaniom, ale nie należy zapominać o układzie różnorodnych sił, o historycznych i współczesnych animozjach, różnicach kulturowych itp. Jestem przekonany, że w miarę wyrównywania krzywd, w dającej się przewidzieć perspektywie te żywiołowe procesy uspokoją się.

— Czy uważa pan, że Michaił Gorbaczow mógł przewidzieć, że ruchy narodowościowe przybiorą aż takie rozmiary?

— W jednej republice nie żyje jedna narodowość, ale tam, gdzie mieszkają jest ich dom, ojcowizna. Trudno doprowadzić do masowych exodusów narodów. Jest to sprawa skomplikowana, ale pewne procesy są nieuniknione. Myślę, że decydując się na przebudowę, kierownictwo partii i państwa doskonale zdawało sobie z tego sprawę.

— Czy jest coś takiego jak charakter narodowy, który determinuje los danej zbiorowości w procesie historycznym?

— Jest oczywiste, że każdy naród ma swoje cechy. W Związku Radzieckim trudno jednak mówić o jednym charakterze. Innymi cechami legitymują się Ukraińcy, inne mają Łotysze czy Kazachowie. Jeśli mówimy o określaniu tożsamości, to chodzi właśnie o uświadomienie sobie tych cech. Myślę, że można wyodrębnić pewną cechy charakteryzujące obywatela radzieckiego. Każdy naród ma swoją historię, która determinuje jego cechy. Obecnie dla obywateli radzieckich wspólne jest dążenie, żeby żyć inaczej, być narodem nowoczesnym, być bliżej innych, zlikwidować bariery nie pozwalające na kontakty ze światem. Oni chcą żyć tak, żeby mieć wpływ na losy swego kraju, żeby nie rządził nimi aparat, żeby była demokracja i liczono się z ich zdaniem, żeby w sklepach było dużo nowoczesnych towarów. To jest wspólne ludziom radzieckim niezależnie od narodowości.

Wracając jeszcze do poprzedniego pytania, jest to odpowiedź na to, jakie są przejawy dojrzałości politycznej. Nikt tu nie żąda monarchii, zamordyzmu, nie chce powrotu cara. W tym sensie naród jest dojrzały do tego, co tu się dzieje, tylko różne grupy w różny sposób dążą do celu. Niektórzy chcieliby bardzo szybko, kosztem innych, bez pracy osiągnąć pożądane efekty.

Takie są moje refleksje wynikające z wieloletnich obserwacji procesów, jakie zachodzą w ZSRR. My też mamy swój określony charakter, który odróżnia nas od innych narodów. Te cechy zmieniają się w ciągu wieków. Jesteśmy na przykład narodem niezwykle mało zdyscyplinowanym. Już Józef Piłsudski mówił, że Polakami ciężko rządzić.

— Dziękuję panu bardzo serdecznie za rozmowę.

Rozmawiała:
MONIKA MATUSZAK

Wszędzie znajdą się ekstremiści

Poszukujemy wzorów do naśladowania w reformowaniu naszego życia, kulturalnego również. Ostatnio zainteresowano się rozwojem kultury w Szwecji. W książce Jacka Kubitsky „Szwecja od środka" jest też rozdział poświęcony kulturze. Publikujemy pierwszą część tego rozdziału.

Jacek Kubitsky pochodzi z Pomorza. Urodził się w 1944 roku. Studiował romanistykę na UW. Od 1966 roku na stałe osiadł w Szwecji i uzyskał szwedzkie obywatelstwo. Pracuje w Sztokholmie jako psycholog kliniczny. Jest autorem kilku książek.

SZWECJA: poznajemy sąsiada zza Bałtyku.

Równość kulturalna

JACEK KUBITSKY

W wielu cywilizowanych krajach panuje przekonanie, iż kultura jest niesłychanie ważnym elementem w życiu narodu. Szwedzi traktują kulturę jako jedną z form spędzania wolnego czasu, bez której w zasadzie też można by się obejść. W ich pojęciu kultura nie jest czymś niezbędnym do życia. Dopiero od paru lat w serwisie informacyjnym mówi się o ewenementach kulturalnych w Szwecji — zagraniczne imprezy nie wzbudzają zainteresowania poza wąskim kręgiem ludzi ze środowisk artystycznych. (...)

Szwedzi nie znają definicji kultury jako formy kształcenia gustów estetycznych, rozwijania intelektu i innych wartości duchowych, krzewienia i propagowania wzorów twórczości i artes liberales. W latach sześćdziesiątych ukształtowało się pojęcie kultury, silnie odbiegające od dawnego rozumienia tego słowa jako dążenia do moralnego i umysłowego doskonalenia człowieka. Kulturę zaczęli definiować politycy jako *„wszystko to, co dotyczy ludzkiego życia"*.

Szwecja była przez długie okresy odizolowana od kontynentu europejskiego, a kultura sączyła się do kraju głównie za pośrednictwem kościoła i wyższych warstw społecznych. Wspomniany wyżej brak styczności z hasłami Odrodzenia, hermetyczność Szwecji i jej geopolityczna sytuacja sprawiły, iż kultura europejska zwłaszcza ta wyższego lotu nie przetarła sobie gładkich kolein do mas szwedzkich, które zawsze wzdrygały się przed obcymi prądami, odczuwanymi „instynktownie" jako zbyt różniące się od rodzimej mentalności.

W miarę wzrostu dobrobytu w Szwecji jęło się coraz częściej mawiać o potędze kraju we wszystkich dziedzinach, w tym też na niwie kulturalnej. Skoro Szwecja jest jednym z najzamożniejszych krajów, który produkuje doskonałe łożyska i solidne samochody, to oczywiście literaci muszą „produkować" najlepsze powieści, a plastycy tworzyć wysokogatunkowe malarstwo.

Kulturalnie Szwecja jest krajem bardzo młodym. Przybysz z kontytnetu napotyka na każdym kroku dowody długich lat zastoju i izolacji od wielkich prądów i impulsów z zewnątrz. Stan ten starano się zmienić w ostatnich latach przez wprowadzenie nowych bodźców przejętych z zagranicy. W tym działaniu było i jest jednak więcej pazerności nowobogackiego niż dobrego smaku i wyczucia.

Nowe elementy i nurty w literaturze i w ogóle w sztuce odznaczają się niezdrową jednostronnością, są bowiem w absolutnej większości z USA. Z całym respektem dla tego ciekawego kraju należy wszakże stwierdzić, iż Szwecja położona w Europie winna przejawiać większe zainteresowanie swoim kontynentem. Blisko 80 proc. przekładów pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Wydawcy skarżą się, że takie giganty jak Wielka Brytania, czy kulturowo bliskie Niemcy już teraz mają trudności w zdobywaniu rynku szwedzkiego. Kraje romańskie, np. Francja, Włochy czy Hiszpania, nie mówiąc np. o Polsce, są na marginesie zainteresowania oficyn wydawniczych. Sytuacja ta sprawia, że bardzo przeciętni amerykańscy pisarze o wiele łatwiej trafiają na rynek szwedzki aniżeli pierwszorzędni pisarze polscy czy włoscy. Asekuranctwo Szwedów i brak intuicji literackiej determinuje politykę wydawniczą. Np. pisarze polscy trafiają do kraju nad Mälar prawie bez wyjątku za pośrednictwem RFN. Szwedzkie wydawnictwa prawie nigdy nie podejmują ryzyka wydania pisarza, który nie jest znany bądź tłumaczony w Niemczech. Doszło do tego, że pisarze francuscy (sic!) trafiają do Szwecji w zależności od tego, czy są znani w Stanach Zjednoczonych, czy też nie.

Polak może nie bez powodu czuć się dumny, porównując wartościowe przekłady literatury pięknej na polski i na szwedzki. Szwedzi górują tylko w dziedzinie przekładów literatury feministycznej i w zakresie dzieł kilku niesłychanie w Szwecji popularnych pisarzy amerykańskich np. Philipa Rotha, Normana Mailera czy Kurta Vonneguta. W tym kontekście należy zaznaczyć, że recepcja kultury amerykańskiej w Szwecji jest nader selektywna, bowiem Szwedzi nie zawsze wybierają ziarna z amerykańskiego spichlerza, lecz często właśnie plewy. Redaktorzy programów telewizyjnych zakupują — wiedzeni własnym niewybrednym smakiem — liche produkty kultury masowej tłumacząc się, że nie należy zbytnio obciążać intelektualnie szwedzkiego widza. Jednocześnie te same osoby z właściwym sobie faryzeuszostwem pomstują na fatalny poziom amerykańskiej (czy innej) kultury w ogóle. Ponadto wydaje się, że amerykanizacja Szwecji bazuje często na przejmowaniu negatywnych „amerykańskich" cech. (...)

Szwecja nie posiada ministerstwa kultury, natomiast od 1974 roku działa Państwowa Rada Kultury (Statens Kulturrad), której ideologia zawiera się w haśle *„równości kulturalnej"*. W jej skład wchodzą przedstawiciele władz wojewódzkich, gminnych, reprezentanci partii politycznych oraz garstka zbiurokratyzowanych literatów nie najwyższej próby, ma ona ogromną władzę, jeśli chodzi o ukierunkowanie życia kulturalnego kraju. Dysponuje dotacjami państwowymi, którymi obdziela określone grupy ludzi zajmujące się kulturą. (...)

Głosząc *„równość kulturalną"* Państwowa Rada Kultury postanowiła wypowiedzieć walkę środowiskom elitarnym, które przecież w każdym kraju odgrywają czołową rolę w pomnażaniu dóbr kulturalnych. Posługując się sloganami o *„udostępnieniu kultury wszystkim warstwom społeczeństwa"*. Rada zakwestionowała przewodnictwo środowisk awangardowych. Przejmując rząd dusz dyspozycyjna Rada urabiała opinię publiczną twierdząc, że kultura ambitna, wyselekcjonowana (finkultur) jest jednoznaczna z podeptaniem haseł równości społecznej i wyrazem pogardy dla „narodu". Jest to silny argument w kraju, w którym jeszcze trzy generacje wcześniej dominował niepodzielnie folklor chłopski.

Ciekawe, że kiedy w środkach masowego przekazu szalała kampania przeciwko elitaryzmowi w kulturze, intelektualiści szwedzcy siedzieli cichutko jak mysz pod miotłą. Wypada nadmienić, że nie tylko awangarda stała się przedmiotem napaści, lecz cała literatura klasyczna, która odbiegała od kanonów prawomyślności państwowej. Socjoinżynierzy zrozumieli rychło niebezpieczeństwo, jakie dla nowej religii stanowią „wywrotowe" dzieła. Klasyków poddawano w okresie szwedzkiej rewolucji kulturalnej lat sześćdziesiątych wnikliwym analizom i w przypadku stwierdzenia poważniejszych uchybień dyskretnie usuwano z bibliotek, lektur szkolnych i uniwersyteckich, z repertuaru teatrów. Pisarze o wybujałej indywidualności, których bohaterowie od lat są wzorcem niezależności w działaniu i myśleniu, pisarze odcinający się od „społeczeństwa" lub obciążeni zarzutem elitaryzmu mają trudności z otrzymaniem stypendiów, wydaniem książek czy z trafianiem na półki bibliotek. Nie tylko buntowniczy Schiller znalazł się na indeksie, także „Lord Jim" naszego anglojęzycznego rodaka. Niepopularny jest Malraux, Morovia czy choćby tak znany w Polsce Dürrenmatt. Nawet tubylcza Astrid Lindgren, której „Fizię Pończoszankę" przełożono na ponad 30 języków, czytana na całym świecie, wpadła w niełaskę za propagowanie ideałów niezależności i umykanie spod opieki kolektywu. (...)

W zawoalowanych apelach, manifestach i pogróżkach etatowych krytyków przewija się zamiar nakłonienia twórców do pisania książek w duchu równości i z zachowaniem prostoty formy i treści. Te pouczenia osłabły w ciągu ostatnich pięciu lat, niemniej jednak zdążyły już wyrządzić znaczne spustoszenia w zakresie chociażby tematyki i ogólnego poziomu artystycznego. Półki księgarskie uginają się pod ciężarem dzieł prawomyślnych pisarzy i szlachetnych amatorów, których szkoli się na specjalnych kursach pisarskich, organizowanych i finansowanych przez zrzeszenia oświatowe wielkich korporacji zawodowych. W miejsce skazanej na banicję ekskluzywności i zdrożnej kastowości powstała (sub)kultura ludowych świetlic i kółek zainteresowań, w których każdy obywatel umiejący pisać może zostać — zgodnie z porządkiem demokratycznym — wieszczem.

W Szwecji ukazuje się około 7,5 tysiąca książek rocznie, z czego tylko 30 proc. to literatura piękna. Wydawnictwa kierują się wyłącznie zyskiem, co oznacza, że wydawane pozycje przede wszystkim muszą gwarantować dobry utarg. Rynek wydawniczy zdominowany jest przez kilku edytorów, co raczej nie wpływa dodatnio na różnorodność podaży: np. koncern Bonniera publikuje prawie 30 proc. literatury pięknej. Potentat Esselte — największy nie tylko w Szwecji, lecz w całej Skandynawii — wydaje 60 proc. wszystkich podręczników i pomocy szkolnych. Książki w Szwecji są drogie. Przeciętna powieść kosztuje 100—170 koron. Słowniki i podręczniki są jeszcze droższe. Warto zaznaczyć, że student wydaje na zakup podręczników od 1000 do 1400 koron w semestrze. Według danych z 1982 roku 53 proc. ogólnej sprzedaży książek w Szwecji miało miejsce za pośrednictwem księgarń, a 47 proc. sprzedano w ramach działalności tzw. klubów książki (bokklubbar) mających ponad 150 tysięcy członków. Obroty klubów książki wynosiły w 1983 roku około 480 milionów koron. Z uwagi na astronomiczne koszty produkcji książek — druk za granicą został znacznie ograniczony przez związki zawodowe drukarzy — literatura może w wielu przypadkach istnieć nadal wyłącznie dzięki zastrzykom finansowym ze strony państwa, czyli Rady Kultury. Nie trzeba dodawać, że niechętnie udziela się poparcia książkom kwestionującym oficjalną ideologię. Pleniący się bestselleryzm i koniunkturalność rynku wydawniczego doprowadziły do określonej selekcji publikowanych książek. Niektóre spośród 34 klubów książki uprawiają zwykły geszeft, będący ilustracją wynaturzeń kultury masowej.

Książki nie ukazują się na bieżąco — jak to bywa w innych krajach — lecz ich sprzedaż zbiega się w czasie z okresem wzmożonej aktywności komercyjnej, np. z okresem poprzedzającym święta Bożego Narodzenia. Inną okazją jest przyznanie Nagrody Nobla w dziedzinie literatury na początku października. Wydawnictwa przetrzymują wiele książek przez całe miesiące, aby publikacja nastąpiła w momencie zapewniającym maksymalny popyt. Doskonałe studium o Strindbergu napisane przez A. Swerlinga, brytyjskiego literata osiadłego w Szwecji, musiało czekać dwa lata na publikację, ponieważ O. Lagercrantz, znany literat, nie mógł się uporać ze swoją wersją życia wielkiego Szweda. Ambitna literatura dociera do czytelnika głównie dzięki bohaterstwu małych oficyn, prowadzonych najczęściej przez cudzoziemców. Kolosy wydawnicze publikują nazwiska sprawdzone, popularne oraz odpowiednio „aktualną" publicystykę.

C.D.N.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

„Trzeba zdjąć nogę z gazu"

— rozmowa z JOLANTĄ NOWAK, aktorką.

— Jeszcze przed rozpoczęciem studiów w warszawskiej szkole teatralnej zagrała pani w filmie Stanisława Jędryki „Zielona miłość". Czy ten fakt przesądził o wyborze zawodu?

— W pewnym sensie tak, bo wcześniej nie myślałam o aktorstwie. Interesowała mnie architektura. Psychicznie bliższa byłam naukom matematyczno-fizycznym. Będąc uczennicą trzeciej klasy licealnej zaproszenie do wzięcia udziału w filmie potraktowałam jako wspaniałą przygodę, o jakiej marzy w skrytości niemal każda dziewczyna. Po jakimś czasie film był emitowany przez telewizję. Obejrzał go mój ojciec. Wkrótce złożony ciężką chorobą leżał w szpitalu i w czasie rodzinnych odwiedzin powiedział mi: „Wiesz córciu, chciałoby się częściej widzieć ciebie na ekranie". Zapamiętałam to zdanie i być może chciałam spełnić życzenie ojca? Przynajmniej dzisiaj tak to interpretuję. Zapisałam się do Koła Żywego Słowa w Domu Kultury na Muranowie. Zajęcia odbywałam dwa razy w tygodniu. Wtedy dopiero zaczynałam dopuszczać myśli o wybraniu tego zawodu, ale jakoś tak bardzo asekuracyjnie, gdyby nie udało mi się dostać na architekturę. Do szkół artystycznych egzaminy wstępne zdaje się wcześniej niż do innych uczelni wyższych i traf chciał, że zostałam przyjęta na wydział aktorski za pierwszym podejściem. Ten fakt przesądził o mojej dalszej drodze zawodowej.

— Popularność przyniosła pani rola Ireny, kobiety chłodnej, z dystansem odnoszącej się do zdarzeń i ludzi, w filmie „Och, Karol" Romana Załuskiego.

— W głębi serca trochę tego żałuję. Byłam obsadzona dość typowo. Bardziej cieszyłoby mnie, gdybym w świadomości ludzi zafunkcjonowała rolą Warszulki z filmu **„Sobół i panna"**, w reżyserii **Henryka Drapelli**, który uważam za swój debiut filmowy. Każdy aktor marzy, aby jego debiut, czy to teatralny czy filmowy był wydarzeniem zapadającym w ludzką pamięć. A mnie to się nie udało. Publiczność tego filmu nie uznała, choć w moim odczuciu jest on niezwykle poetycki, piękny, nastrojem przypominający **„Dolinę Issy" Tadeusza Konwickiego.** Widzowie wcale do takiego kina nie tęsknią. Znacznie częściej od filmu oczekują dobrej rozrywki...

— Czy chce pani powiedzieć, że wstydzi się filmu „Och, Karol"?

— Raczej tak, bo uważam, że miał szansę być lepszy. Pomysł scenariusza był bardzo dobry. **Ilona Łepkowska** napisała go na podstawie autentycznych wydarzeń. Miał to być w całym tego słowa znaczeniu film komercyjny, zgodnie z zapotrzebowaniem społecznym. I pewnie taki był. Cieszył się liczną widownią. Na pewno odrywał publiczność od trosk dnia codziennego. Posiadał pewną lekkość i humor sytuacyjny. Był jednak kręcony w dość dużym tempie i może trochę zabrakło czasu na dopracowanie niektórych scen czy pogłębienie psychologicznego portretu bohaterów. W sensie zawodowego rozwoju niczego mi jednak nie dał.

— Skoro „Och, Karol" niczego nowego nie wniósł do pani dorobku artystycznego, to czy nauczyła się pani odmawiać przyjęcia niektórych ról?

— To wszystko nie takie proste. Debiutujący aktor odczuwa nieprzepartą potrzebę pokazania się na ekranie. Nie jest to błędem. Jednak w miarę zdobywanego doświadczenia powinien nauczyć się mówić „NIE". Trzeba do tego dojrzeć. Przecież nie chodzi tylko o wyrobienie sobie nazwiska, ale przede wszystkim o wyrobienie własnego sądu i zdawanie sobie sprawy z tego, że przyjmowanie niektórych ról jest zwyczajną pomyłką, dowodzącą zaniżania własnej wartości. „Och, Karol" pokazał moją powierzchowność. Wracając do pani pytania myślę, że posiadam już tę umiejętność, choć nie miałam okazji z niej skorzystać.

— Dlaczego?

— Długo nie było mnie w Polsce. Otrzymałam propozycję zagrania głównej roli w filmie **„Vera Lenz" Horsta Seemana**, tego samego, który nakręcił **„Hotel Polanów"** z popisową rolą **Kaliny Jędrusik.** Spędziłam w Niemczech ponad rok, co bardzo zaszkodziło mi w kraju. Wypadłam ze środowiska, w którym trzeba jednak stale być obecną. Życie zawodowe poszło dalej, beze mnie.

— Czy widzi pani istotne różnice w pracy ekip filmowych polskich i niemieckich?

Fot: Wojciech Glinka

— O tak, to są bardzo różne narody. Trudno o najprostsze odniesienia. Niemcy są perfekcjonistami w pracy, ale są zupełnie pozbawieni wyobraźni. Nie dopuszczają możliwości doskonalenia postaci na planie. Zaprezentowana pierwsza propozycja w czasie prób musi znaleźć się w nakręconym na taśmie materiale. Nie mogłam zmienić najmniejszego gestu, gdy intuicyjnie czułam, że jest fałszywy. Pracują w bardzo określonym wymiarze czasowym i ani minuty dłużej. W Polsce pracuje się na emocjach. Plan trwa zazwyczaj tak długo, dopóki ekipa nie znajduje się na granicy psychicznych i fizycznych możliwości. Ma to miejsce szczególnie wtedy, gdy realizowane sceny tworzą pewną nadwartość. Jesteśmy szaleni. Lubimy improwizować. To, że wróciłam do Polski w pełni władz umysłowych, nie wiem czemu zawdzięczam. Jedyna korzyścią wynikającą dla mnie z tej realizacji, poza główną rolą i apanażami było to, że nauczyłam się języka niemieckiego i tego nikt mi nie odbierze.

— Ktoś napisał o pani: „Zaradność i chłód, wyniosłość i pokora, przewrotność i prostolinijność — to cechy postaci stworzonych przez aktorkę...". Czy zgadza się pani z taką oceną własnego emploi?

— Nie do końca. Być może moje fizis wskazuje, że jestem kobietą chłodną, natomiast mnie bardzo przeszkadza w życiu nadwrażliwość. Bardzo silnie przeżywam różne sytuacje i brak mi do nich dystansu. Chłód jest cechą osób, które potrafią to osiągnąć. Wydaje mi się, że jestem źle obsadzana. Będąc na studiach zagrałam Genowefę w **„Długim wieczorze świątecznym" Oskara Wilde.** Była to rola kalekiej, starej panny, z nieprawdopodobnymi humorami w czasie jej bardzo długiego życia. Doskonale czułam tę postać, dlatego śmiem twierdzić, że nie można w obsadzaniu ról kierować się li tylko wrażeniami wizualnymi. Na pewno nie jestem chłodna.

— W jakich rolach najchętniej pani by się widziała?

— W charakterystycznych. Myślę, że dobrze bym się czuła w komedii. Lubię nosić kostium. Bardzo trudno jest mówić o sobie...

— Co pani najbardziej odpowiada w zawodzie aktorki?

— Ludzie. Każdy z nas pragnie w życiu odrobiny szaleństwa. W moim środowisku skupiają się ludzie z dużą wyobraźnią, erudyci. Kontakt z nimi jest pasjonujący, choć bywają i tutaj, tak jak w każdym innym zawodzie tacy, którzy kompromitują nas. Dzisiaj nie zamieniłabym aktorstwa nawet na architekturę.

— Niektórzy powiadają, że aktorstwo jest lekarstwem na własne kompleksy, a pani jak uważa?

— Aktorstwo pomaga nabrać pewności siebie, poprzez to, że stykam się z różnymi charakterami granych przez siebie postaci. Każda z nich pozostaje we mnie, ale to nie znaczy, że w życiu prywatnym korzystam z gotowych schematów. Mogę jedynie posiłkować się własną wiedzą o ludziach. Ten zawód zmusza mnie do czytania ogromnej ilości literatury. A to wszystko razem ułatwia rozpoznanie siebie. Jestem zmuszona do intensywnej pracy nad sobą. Być może to jest komfort, którego nie dają inne zawody, dlatego tak wysoko cenię aktorstwo.

— Jakie ma pani plany na przyszłość?

— O zawodzie wolę nie mówić. Jestem przesądna. W życiu prywatnym dojrzałam do tego, żeby sobie stworzyć prawdziwe ognisko domowe z uwzględnieniem potomstwa, a później wrócić do zawodu. Nie chciałabym przegapić tego bardzo ważnego etapu w życiu każdej kobiety. W pewnym momencie trzeba zdjąć nogę z gazu. W żadnym zawodzie nie wolno się zapamiętać. Mówię oczywiście o kobietach. Jest jeszcze sfera życia pozazawodowego, która także jest konieczna do pełnej samorealizacji.

— Dziękuję za rozmowę, a czytelników pragnę poinformować, że Jolanta Nowak gra w najnowszym filmie Radosława Piwowarskiego „Marcowe migdały". Warto ten film zobaczyć.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Radzieccy filmowcy

Z jednej skrajności w drugą — znamy to wszyscy. Kiedy oferowano nam dawniej, na spotkaniach z filmem radzieckim miernoty, robiliśmy wokół nich wiele szumu, obecnie zaś, gdy to kino ma się rzeczywiście czym pochwalić, jego propozycje ledwo zauważamy. Nawet w prasie. W czasie ostatniej łódzkiej edycji **Dni Filmu Radzieckiego** zaprezentowano dwie interesujące pozycje — w „Iwanowie" **„Laleczkę". Izaaka Fridberga** oraz w „Gdyni" na seansach non stop, film **Piotra Todorowskiego — „Interdiewoczki"**, czyli **„Prostytutki".**

Na zdjęciu twórca „Laleczki" i **Swietlana Zasypkina**, odtwórczyni jednej z głównych ról.

Foto.: Grzegorz Gałasiński

„Odgłosy" proponują:

TV:

„WSZYSCY NA SCENĘ" Vincentego Minnellego, prod. USA obejrzymy w cyklu **„Kina muzycznego Kydryńskiego"** Powstały przed trzydziestu sześciu laty film do dziś należy do klasyki tego gatunku. Nieskomplikowana fabuła jest tylko pretekstem do zaprezentowania pięknych melodii i popisów pary niezrównanych tancerzy — **Cyd Charisse** i fenomenalnego **Freda Astaire'a. (Piątek, 24 listopada, godz. 20.05. TV 1.)**

„BITWĘ O ANGLIĘ", prod angielskiej wyreżyserował **Guy Hamilton** na wątkach książki **Dereka Wooda i Dereka Dampstera** Jest to rodzaj hołdu złożonego lotnikom z 13 krajów, którzy w 1940 r. bronili nieba Anglii przed niemiecką Luftwaffe, a spośród których aż 446 straciło życie w obronie wyspy. Realizacja filmu trwała półtora roku i przypominała operację wojskową. Kilkunastoosobowy sztab kierował pracą olbrzymiego zespołu. Trzeba było skompletować tysiące rekwizytów tak charakterystycznych dla roku 1940 począwszy od samolotów, a skończywszy na papierosach. „Film ten jest wielkim, wspaniale zrealizowanym widowiskiem — powiedział po obejrzeniu filmu jeden z uczestników bitwy o Anglię, płk **Stanisław Skalski** — z ogromnym rozmachem i dbałością o realia tamtych lat. Ludzie wszystkich narodowości mówią we własnych językach. Mniej więcej w czterdziestej minucie wyświetlania filmu padły pierwsze spontaniczne brawa dla pierwszej, zwycięskiej akcji polskich lotników. Twórcy potrafili wykazać, że dramaturgia filmu jest dramaturgią walki, a jego scenariusz napisała sama wojna...". **(Sobota, 25 listopada, godz. 20.05. TV 1).**

„SZTYLET", prod. USA, obejrzymy w **„Kinie sensacji"**. Twórcą tego dramatu o mafii jest amerykański reżyser polskiego pochodzenia — 58-letni **Bernard L. Kowalski**, znany u nas z takich filmów jak **„Ważżż", „U stóp wulkanu Krakatau"** i przentowanego tu, a wyświetlanego na małych ekranach przed 9 laty. **Cesare Cardinali**, w zamian za uratowanie mu życia na Sycylii przez późniejszego szefa mafii w Nowym Jorku, staje się bezwolnym narzędziem w jego ręku, używanym do usuwania niewygodnych dla organizacji ludzi. Gdy postanawia przeciwstawić się mafii, zostaje wydany na niego wyrok śmierci... **(Sobota, 25 listopada, godz. 23.30. TV 1.)**

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

23 listopada — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

30 listopada — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z DNIA 16 LISTOPADA 1989 R.

Ubiegłotygodniowy dyżur przy telefonie rozpoczął się od ważnej, lecz ryzykownej kwestii odpowiedzialności politycznej za opłakany stan miasta. Zdaniem naszego pierwszego rozmówcy, **Pawła Wiśniewskiego**, należałoby „rozliczyć" byłe kierownictwo łódzkiej instancji partyjnej, a w szczególności — Józefa Niewiadomskiego, jako szczególnie odpowiedzialnego do niedawna za najważniejsze decyzje. Tym bardziej — powiedział P. Wiśniewski — nie można dopuścić do tego, aby byli łódzcy prominenci robili obecnie dobre interesy, jakby to nie oni, lecz jakieś duchy doprowadziły do tego, iż milionowa aglomeracja znalazła się na krawędzi katastrofy. Kryzys ich nie usprawiedliwia, bo w innych miastach radzono sobie lepiej lub gorzej, ale nigdzie tak źle, jak w Łodzi.

Tyle Paweł Wiśniewski. Co do nas, jesteśmy zdania, iż „rozliczanie" w stylu lat 1980—81 — niezależnie od tego, czy uzasadnione merytorycznie, czy też nie — kierowałoby spojrzenia łodzian w przeszłość — w czasach, gdy trzeba intensywnie myśleć o przyszłości. Nie oznacza to oczywiście, że nad decyzjami i polityką minionego okresu należy spuścić zasłonę milczenia. Przeciwnie — warto opisać błędy, jakie popełniono w Łodzi. Nie po to jednak, aby ich sprawców „rozliczać". Wystarczy, że błędy te głośno nazwiemy, i nauczymy się ich w przyszłości unikać. Myślę zresztą nie tylko o głosach dotychczasowej opozycji. Chętnie widzielibyśmy w prasie wypowiedzi byłego kierownictwa PZPR w Łodzi. Zamiast milczeć, niechaj się bronią: może się okaże, że w kwestii własnej odpowiedzialności mają nam do powiedzenia coś naprawdę ciekawego?

Z Bełchatowa zadzwonił **Roman Witkowski.** Chciał on zwrócić uwagę na sytuację w tym mieście, która — jego zdaniem — jest wyjątkowo zła. Przystępując do opisu, należałoby rozpocząć od kopalni. Jak wiadomo, jest ona dotowana. Jednocześnie jej pracownicy zarabiają w mieście najwięcej — średnio po 550 tys. złotych. Pracownicy innych firm Bełchatowa zarabiają po 300 tys. zł średnio mniej — dlatego, że nie mają silnego lobby, że nie wywalczyli sobie przy okrągłym stole branżowego wskaźnika, ustawiającego płace w górnictwie na wysokim pułapie. Co ma wspólnego ten wskaźnik z solidarnością przez małe „s"? — pyta R. Witkowski, który zadaje również drugie pytanie: co ma wspólnego kopalnia Bełchatów z górnictwem węgla kamiennego, z kopalniami, gdzie ludzie naprawdę ciężko pracują? I wreszcie: jak to jest do przyjęcia, aby najwyżej zarabiający byli jednocześnie dotowani?

R. Witkowski dodaje też kilka uwag o samym mieście. Zauważa, iż jest ono oazą drożyzny. W czasie, gdy paczka masła kosztuje w Łodzi niewiele ponad 2 tysiące złotych, w Bełchatowie jest ono jak dawniej: o tysiąc złotych droższe. Wyższe niż w Łodzi i Sieradzu są także ceny wędlin i mięsa. Czyżby zwlekano z obniżkami cen, mając na względzie jedynie wyższe zarobki górników?

W Bełchatowie jest więc po staremu — reasumuje nasz rozmówca — a korzystają z tego wyłącznie byli prominenci, zakładający w centrum miasta liczne butiki, zieleniaki itp.

Naszym zdaniem, jeśli byli oni kiepskimi prominentami, niech teraz lepiej handlują pietruszką. Jeśli nadal będą tacy źli — wygryzą ich po prostu z rynku.

Kolejnym telefonującym był **Jerzy L.**, który podzielił się niewesołymi refleksjami na temat sytuacji w służbie zdrowia. Brakuje lekarzy i sprzętu, pacjenci oczekują w długich kolejkach, a tymczasem w przemysłowej służbie zdrowia — pustki. Są i lekarze, jest również (przynajmniej w niektórych, bogatszych zakładach) naprawdę nowoczesne wyposażenie, które jednak nie jest w pełni wykorzystane. Jerzy L. nie postuluje rozwiązania „przemysłówki" — nie czuje się kompetentny do przedstawiania konkretnych propozycji. Wskazuje tylko — mówi — widoczne gołym okiem rezerwy.

Konkretną propozycję ma natomiast **Jan Szybicki.** Jest ona dość prosta: aby zaoszczędzić energię elektryczną, trzeba pójść za przykładem Rumunii w jednej kwestii — organizować mecze piłkarskie wyłącznie w takich porach, żeby wystarczyło światło dzienne, aby nie trzeba było zapalać ogromnych, pożerających energię lamp boiskowych.

Co na to kluby sportowe? Przekazując im ten pomysł, zastrzegamy się, iż nie chodzi o naśladowanie Rumunii, a tylko o oszczędność.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

OGŁASZAJ SIĘ W „ODGŁOSACH"

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE „AUSTROTEX"

Z A T R U D N I

na bardzo korzystnych warunkach finansowych

◄ SZWACZKI ►

Praca jednozmianowa. Nowoczesne maszyny produkcji zachodniej.
Zgłoszenia osobiste, Łódź, ul. Przędzalniana 20.

6935/K

◄ PIECZĄTKI ►

w ciągu dnia (Express)
lub
tygodnia (normalnie)
zamówisz w Firmie

„TAGAR"
ŁÓDŹ, ul. KILIŃSKIEGO 59/63
(HOTEL CENTRUM)
pokój 1311.

55340-g

WEEKENDY AUTOKAROWE

BERLIN ZACH. 97.000 plus 3 DM
WIEDEŃ 103.000 plus 4 USD
HAMBURG 167.000 plus 50 DEM
WILNO 75.000
WIZY — RFN 15—18 dni

SARTOUR,
Łódź, Sienkiewicza 101
tel. 36-31-54
Piotrków Tryb., Robotnicza 24

58260

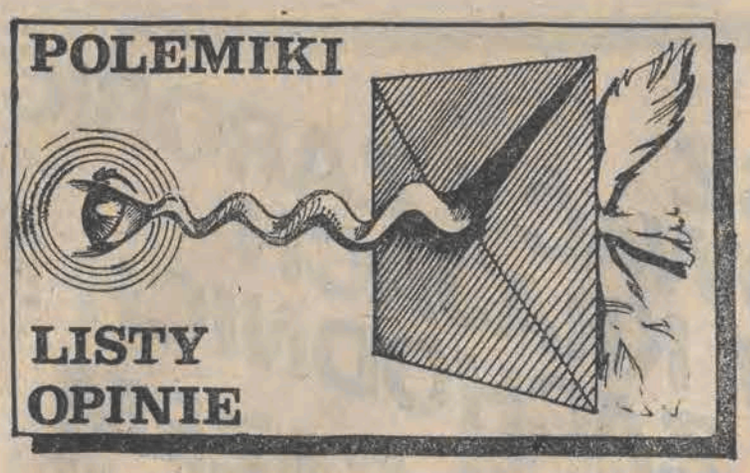

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

ZE „STRONNICTWA NARODOWEGO" PISZĄ...

Edward Mastej przesłał nam z upoważnienia Konwentu Seniorów Stronnictwa Narodowego następujące sprostowanie:

„W telewizyjnym „Otwartym Studiu" poświęconym Ruchowi Ludowemu, w imieniu Stronnictwa Narodowego zabierał głos Zbigniew Jacniacki — Prezes zlikwidowanego w 1982 roku Polskiego Związku Akademickiego, a nie Zbigniew Stromacki. On to — jak to spostrzegł red. Mirosław Kuliś — „mówił głośno to, co reszta nie odważyła się poruszyć" ujawniając (jako cybernetyk społeczny) manipulacje Jacka Szymanderskiego w Ruchu Ludowym. Nie jest także całkowitą prawdą, że Stronnictwo Narodowe „nie wywodzi się ze wsi". Już jeden z założycieli „endecji" Jan Ludwik Popławski realizował razem z Romanem Dmowskim program: Naród uludowić — Lud unarodowić; Narodowcy największe poparcie mieli zawsze w tradycjonalistycznej wsi chłopskiej i zaściankach szlacheckich; Wincenty Witos był członkiem tajnej Ligi Narodowej kierowanej przez Romana Dmowskiego, a w latach międzywojennych „Piast" był prawie zawsze w sojuszu z Narodowcami i Chadekami, a także ideologami ugrupowań słowianofilskich. Obecnie Stronnictwo Narodowe blisko współpracuje ze Stowarzyszeniem Jedności Słowiańskiej „Slavia" oraz Niezależnym Ruchem Ludowym „Solidarność", z którego wyłoniło się Polskie Stronnictwo Ludowe pod kierownictwem Józefa Teligi. Autor niniejszego sprostowania był zresztą obecny — z ramienia Polskiego Ruchu Narodowego — na Zjeździe wznawiającym PSL, który miał miejsce 25 czerwca br. w Kościele Św. Katarzyny w Warszawie. Zresztą program wewnętrznych przemian Polski (jak również oceny) tak Stronnictwa Narodowego jak i niezależnego PSL są zbieżne".

Jednocześnie chciałbym pogratulować redakcji odważnej linii programowej wolnej od narzucanych stereotypów tak przez obecne jak i poprzednie ugrupowania prorządowe. Należy także pogratulować wypełniania współczesnych „białych plam" (...).

Byłbym zobowiązany za opublikowanie nie tylko sprostowania, lecz także powyższego uzupełnienia.

Do sprostowania dołączono informację o Stronnictwie Narodowym, którą publikujemy poniżej.

21 października 1989 roku, w siedzibie Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego w Warszawie, odbyło się I Walne Zebranie Członków Założycieli Stowarzyszenia Jedności Słowiańskiej „SLAVIA", zarejestrowanego w Warszawie w sierpniu br.

Celem Stowarzyszenia jest m.in. krzewienie idei przyjaźni i braterstwa między narodami na zasadach pełnej równości; popularyzowanie historii i przykładów współpracy; kształtowanie obiektywnej opinii o narodach słowiańskich, ich historii i kultury; dążenie do społecznego, gospodarczego, kulturalnego i moralnego rozwoju narodów słowiańskich; poszukiwanie i propagowanie wspólnoty interesów narodów słowiańskich; przezwyciężanie wzajemnych uprzedzeń oraz zwalczanie przejawów antysłowianizmu i tendencji do pomniejszania dorobku naukowego, kulturowego i cywilizacji narodów słowiańskich.

I Walne Zebranie wybrało Zarząd Główny w następującym składzie: Jerzy OLEJNIK — prezes, Andrzej IWANOW — wiceprezes, Józef KOSSECKI — wiceprezes, Jerzy KRASNOWOLSKI — sekretarz, Jerzy GAŁĄZKA — skarbnik, Bolesław TEJKOWSKI — czł. Prezydium ZG oraz Andrzej DUTKOWSKI, Józef Michał JANOWSKI, Zbigniew JACNIACKI, Adam KRAJEWSKI, Edward MASTEJ, Jerzy ROGOWSKI i Eugeniusz WĄSIK — członkowie Zarządu Głównego. W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Adam HENPEL — przewodniczący, Jan ROGOWSKI — sekretarz i Janusz JAREMKO — członek.

Referaty programowe wygłosili: doc. dr Józef KOSSECKI i red. Edward MASTEJ. W dyskusji zwrócono uwagę na tradycje współpracy narodów słowiańskich i niesłowiańskich Europy Środkowo-Wschodniej ujawniając występujące tendencje do dalszego podporządkowania małych i średnich narodów tej części Europy interesom mocarstwowym innych narodów. W konkluzji zaakcentowano, że budowa Wspólnego Domu Europejskiego powinna zostać poprzedzona budową Domów Ojczystych narodów środkowo-wschodniej Europy, następnie poprzedzona budową Wspólnego Domu Europy Środkowo-Wschodniej, który wszedłby blokiem do Wspólnego Domu Europejskiego. Dla przygotowania Deklaracji Ideowo-Programowej powołano zespół w składzie: Bolesław Tejkowski, Janusz Jaremko, Józef Michał Janowski i Józef Kossecki — przewodniczący Rady Naukowej Stowarzyszenia.

Podjęto także uchwały i decyzje o: utworzeniu Słowiańskiej Oficyny Wydawniczej, wydawaniu pisma, podjęciu działalności gospodarczej, utworzeniu Klubu Polityczno-Dyskusyjnego oraz włączeniu się do akcji pn. „Książka dla Polaków za Granicą". Upoważniono także Zarząd Główny do nawiązania współpracy z krajowymi i zagranicznymi organizacjami o tożsamych lub pokrewnych celach, w tym zwłaszcza organizacjami polonijnymi. Do utrzymywania kontaktów ze Wschodem został upoważniony doc. Jerzy ROGOWSKI, z Zachodem — Adam KRAJEWSKI — reemigrant z Wielkiej Brytanii.

BEZ KOMENTARZA?

W nr 47 „Odgłosów" w rubryce „Bez komentarza" zamieszczony został Apel Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Zastanawia mnie, dlaczego redakcja pozostawiła go bez odpowiedzi. Czyżby zgadzała się z opinią o łódzkiej prasie, że *„większość zatrudnionych tam dziennikarzy, a przede wszystkim gremia kierownicze redakcji, to znani z dyspozycyjności członkowie PZPR?"* Nie mam najlepszego mniemania o łódzkiej prasie, szczególnie o „Głosie Robotniczym", gdzie zdarzało mi się widywać publikacje kapitalne, ale sądzę, że nawet ten nie kochany przeze mnie „organ" nie zasłużył na taką globalną ocenę.

Nie wiem z kogo rekrutują się obecni członkowie łódzkiego oddziału SDP, widać jednak po tonie ich wypowiedzi, że mają głęboko zakorzenione w podświadomości komunistyczne myślenie, a ja komucha wyczuwam na odległość.

Cóż bowiem proponują ci odnowiciele, aby zbliżające się wybory samorządowe poprzedzone zostały „prawidłową, wszechstronną i reprezentatywną dla wszystkich środowisk publiczną dyskusją o teraźniejszości i przyszłości Łodzi". Proponują rządowi Tadeusza Mazowieckiego, aby zabierał cudzą własność należącą do koncernu RSW „Prasa".

A ja mówię: nie tędy droga. W imię jeszcze słuszniejszej sprawy władze PRL pozbawiły mnie w 1950 r. rodzinnego domu. Nazywa się ten rozbój w biały dzień publiczną gospodarką lokalami. Dziś ten piękny dom, dorobek pracowitego życia mego dziadka, który wcale nie był kapitalistą ani obszarnikiem, znajduje się w całkowitej ruinie, a ja nie mogę podeprzeć walących się ścian, gdzie mieszkają obcy ludzie, choć tytularnie pozostaję właścicielem.

Powstają nowe tytuły prasowe: w Gdańsku, Warszawie, Krakowie sygnowane przez „Solidarność" czy „Młodą Polskę". Dlaczego nie w Łodzi? Dlaczego miejscowe, odnowione podobno środowisko dziennikarskie ogłasza apele w stylu osławionego Manifestu PKWN?

Z utęsknieniem czekam na łódzki tytuł prasowy wolny od kontroli PZPR. Obawiam się jednak, sądząc z odezwy miejscowego SDP, że przyjdzie mi czytać tytuły pozałódzkie. Można zmienić partyjne barwy, zawierać nowe sojusze i wypierać się przeszłości, trudno jednak wykorzenić to, czym się nasiąkło od dzieciństwa. Cała więc nadzieja w tym, że w SDP pojawią się dziennikarze nie obciążeni komunistyczną przeszłością.

JÓZEF BASIORSKI

HRABIA NIKOŁAJ TOŁSTOJ NIE PIERWSZY ODNALAZŁ WINNYCH!

Artykuł Marka Brzezińskiego — „Nikołaj Tołstoj szuka winnych" („Odgłosy" 45/1989) mógłby wskazywać, że to właśnie hr. Tołstoj pierwszy poruszył tragedię tysięcy żołnierzy formacji antybolszewickich i ich rodzin z okresu II wojny światowej. Otóż historia ta znalazła wcześniejsze odzwierciedlenie w „Kontrze" Józefa Mackiewicza, wydanej w Paryżu w 1957 r. „Kontra" stanowi w istocie epopeję kozacką z lat 1914—1945. Jej kulminacyjny punkt stanowi właśnie przejmujący obraz tragedii ludności rosyjskiej, jaka dopełniła się wiosną 1945 r. w północnych Włoszech i południowej Austrii. W deportacji ludności kozackiej do ZSRR szczególną rolę odegrał 8 Batalion szkocki — Argyll and Sutherland Highlanders. Książka Józefa Mackiewicza doczekała się kolejnych wydań w latach 1983 i 1988 w Londynie oraz kilku wydań obcojęzycznych. W kraju począwszy od roku 1981 była wznawiana kilkakrotnie przez wydawnictwa niezależne. Wkrótce po jej pierwszym wydaniu temat w niej poruszony stał się przedmiotem interpretacji w Izbie Gmin i potwierdzenia udziału oddziałów brytyjskich w tej przymusowej repatriacji. Dopiero w latach siedemdziesiątych ponownie zajął się tym ponurym dramatem Nicolas Bethell w „The Last Secret".

Sumienie świata ustami hrabiego Nikołaja Tołstoja woła ponownie o świadectwo prawdzie!

TOMASZ LENCZEWSKI

CZY Z OKOLIC ŁODZI MOŻE BYĆ ZDROWA ŻYWNOŚĆ?

W liście o zdrowej żywności („Odgłosy" nr 42 lub 43 '89) pisałem, że w regionie łódzkim niemożliwa jest produkcja „zdrowej żywności", rozumianej jako surowiec hodowany i przetwarzany bez udziału chemii. Chłop może mieć najlepsze chęci unikania „chemii", ale nic go nie uchroni przed chemią zawieszoną w powietrzu, podsiąkającą z wodami, już nagromadzoną w glebie. Tę chemię rośliny wchłaniają! Okręg łódzki jest w stanie zapaści ekologicznej. Nadaje się do produkcji kwiatów, nigdy do produkcji „zdrowej żywności". Chociaż można tu produkować żywność, odpowiadającą normom — pod warunkiem świadomego stosowania „chemii".

Na to stwierdzenie faktu odezwał się Paweł Tomaszewski („Odgłosy" 45/89, 5.11.1989), po powołaniu się na docentów oraz rolnictwo biodynamiczne dowodzący, że wsparciem ekspertyzy „Centralnego Laboratorium Jakości Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Gastronomicznego i Art. Spożywczych w Łodzi (ul. Mikołaja Kopernika 15/17)", że *„warzywa i słonecznik charakteryzujący się nieobecnością lub minimalną ilością substancji szkodliwych dla zdrowia przy jednoczesnym posiadaniu związków korzystnie działających na organizm, co uzasadnia określenie w.w. produktów jako wysoce bezpiecznych i zasługujących na zaliczenie ich do „zdrowej żywności".* Dowiadujemy się, że te *„produkty pochodzą z gospodarstwa Franciszka Urbańskiego, położonego we wsi Modlica, kilkanaście kilometrów od Łodzi. Tam też metodą biodynamiczną zostały wyhodowane".*

Okazuje się oto, iż prostym zignorowaniem „chemii" na rzecz „biodynamiki" można zneutralizować emanacje cywilizacji, w tym — jak domniemywam, również wyziewy „Czarnobyla". Tylko żal, że jeśli człowiek zbliża się wieczorem do Łodzi, pod słońce, to już od Skierniewic widzi jak to słońce mgli się od waporów, a także zwęsza, jak to powietrze śmierdzi; wypicie zaś szklanki wody prosto z kranu równa się samobójstwu.

Skoro jest tak dobrze — jak chce Paweł Tomaszewski, to dlaczego mój pies nie bierze do pyska mleka, a niemowlęta dostają rozwolnienia i anemii po soku ze „zdrowej" marchwi?

Nie mam zamiaru prostować jawnych przekłamań i przeinaczeń mojej wypowiedzi. Jednak wobec idei rolnictwa biodynamicznego jako panaceum, nie mogę pozostać obojętny. Rolnictwo biodynamiczne to rzecz dobra, ale dla hobbistów. W życiu skazani jesteśmy na chemię; chodzi o to, by tę chemię stosować zgodnie z prawidłami, a nie ogłupiać hasłami o „zdrowej żywności", jakoby bezchemicznej. Żywność dobrze chemizowana jest zdrowsza od żywności chemizowanej na zasadzie polucji. Chemizacją świadomą można zminimalizować złe skutki chemizacji środowiskowej. Pomijam tu fakt, że tylko „chemia" zapewnia dostateczną ilość i jakość żywności. Od chemii nie ma odwrotu, bo jest ona wokół nas. A skoro tak, to stosujmy ją świadomie, ku naszemu dobru.

Zapytuję Pawła Tomaszewskiego — orędownika idei rolnictwa biodynamicznego, w jaki to sposób F. Urbański chroni swe uprawy „zdrowe" przed wyziewami Łodzi, także przed tym, co nanoszą wiatry nad Modlicę z Europy? Jak chroni się przed ołowiem z rur samochodów — chyba przejeżdżających przez tę wieś? Powołanie się na ekspertyzę „CLJOBRPGiASwŁ" nie wystarczy. Trzeba najpierw wyjaśnić, dlaczego ekspertyzy niezależne są utajniane. — Skrzeczą?

Poza tym pytanie, ilu ludzi jest Franciszek Urbański w stanie nasycić swoją „zdrową żywnością" w ciągu roku? Jakie ma zbiory z hektara i jakie bierze ceny za kilogram „zdrowia"?

Skoro jest tak „zdrowo" — jak chce Paweł Tomaszewski, to dlaczego zdrowiej jest nie jeść w ogóle niż posilać się „zdrową żywnością" spod Łodzi, nawet tą biodynamiczną? A może od razu przejść na trójpolówkę polegającą na tym, że na polu w pierwszym roku sieje się jedno, w drugim roku sadzi się drugie, a w trzecim roku pole odpoczywa odłogiem? Kiedyś ta biodynamiczna technika była szczytem nowoczesności! Tyle że wówczas chłop był przypisany do ziemi, chodził w łapciach, żywił się lebiodą w kurnej chacie, a miasto rozumiane przez chmary ciurów widziało żarcie tylko od święta. Dziś chłopa aspiracje nie sięgają niżej „poloneza" i chaty wykładanej lusterkami; ciura miejski też nie jest chętny, by mu brzuch przysychał do grzbietu: jak za czasów biodynamiki, zdrowej. Niech będzie chemizowane, ale niech będzie powszechne i tanie, a przy tym normalnie zdrowe! Co właśnie zapewnia „chemia".

(1.11.1989)

J.S. KNYPL

ŻYCIE NA WYSIEDLENIU

Dokładnie w rocznicę wybuchu wojny, 1 września 1940 roku około godziny pierwszej w nocy rumotaniem w okna i waleniem kolbami karabinów w drzwi Niemcy wyrwali nas ze snu. Jak się później dowiedziałem wysiedleniem został objęty cały kwartał ulic na Karolewie, w sumie około 1.000 rodzin. Nas, mieszkańców ulicy Grodzieńskiej ustawili w kolumnę na Grodzieńskiej między Wileńską (obecnie M. Fornalskiej) a Kowieńską. Podjechały budy z plandekami, gdzie nas wepchnięto. Przed wepchnięciem do bud ktoś zaintonował „Góralu, czy ci nie żal". Brzmiało to wówczas przejmująco. Ludzie oglądali się za siebie, płakali.

Zawieziono nas do budynku pofabrycznego przy ul. M. Kopernika, gdzie obecnie mieści się Studium Wojskowe UŁ (o ironio, później w tym budynku znajomym mi z tak przykrych przeżyć kończyłem studia prawnicze). Z ul. M. Kopernika po dwóch — trzech dniach przepędzono nas na Łąkową (obecnie mieści się tam Zakład Doskonalenia Zawodowego), gdzie poddani zostaliśmy ścisłej rewizji. Matka zaszyła mi w kołnierzu palta złota bransoletkę i jakąś tam jeszcze biżuterię — namacali, matka dostała w twarz. Wzięli ją do jakiegoś pomieszczenia, gdzie poddana została osobistej rewizji. Pozostały tylko w moim woreczku z sucharami dwie złote obrączki i pierścionek.

Na Łąkowej w barłogu ze słomy mocno już przetartej znowu przebywaliśmy około trzech dni, potem przewieziono nas w nocy tramwajami do budynku pofabrycznego w Konstantynowie, gdzie byliśmy 5—6 dni. Z Konstantynowa w nocy przewieziono nas tramwajami na bocznicę towarową Łódź-Kaliska.

Pamiętam piękny wrześniowy wschód słońca, kiedy wpychano nas do bydlęcych wagonów towarowych — po około 40 osób na gołych deskach. Gdzieś w godzinach popołudniowych przejeżdżaliśmy przez Warszawę, jakiś mężczyzna podsadził mnie do zakratowanego okienka i tak po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Stolicę.

Za Warszawą, gdzieś w otwartym polu, wagony zostały otwarte i wypuszczono nas dla załatwienia swych potrzeb. Oczywiście obstawieni szczelnie Niemcami. Niektórzy fotografowali, kiedy kobiety i mężczyźni pospołu załatwiali swe naturalne potrzeby.

Pod wieczór dotarliśmy do Łukowa, gdzie doprowadzono nas na targowisko miejskie. Prawdopodobnie był to dzień targowy, bo stało na nim pełno furmanek. Żydzi podawali nam czarną kawę i kromki suchego chleba. Nas i rodzinę Czarneckich z Wileńskiej załadowano na dwie furmanki. Wysadzono nad ranem w Syrokomli. Zakwaterowani zostaliśmy w remizie strażackiej. Zajął się nami miejscowy ksiądz. Ktoś nam doradził, aby pójść na grzyby. Kobiety ugotowały jakiś barszcz na grzybach, którego smak do dzisiaj pamiętam.

Z Syrokomli zawieziono nas do remizy strażackiej w Krępie. Tam zaczęły się pertraktacje, gdzie nas ulokować. My trafiliśmy do państwa Olęckich, właścicieli pobliskiego majątku Kawęczyn. Czarneccy (o ile sobie przypominam) do zamożnego gospodarza w Krępie — Gomoły.

My w sześć osób, tzn. matka z nami, dziadkowie i ciotka, zamieszkaliśmy w izbie czworacznej o pow. 15 m kw. Izba nie miała podłogi a jedynie klepisko. Dziadek wraz z miejscowym stelmachem Bolkiem Dudzikiem naprędce zbili jakieś wyrka, które trudno nazwać łóżkami. Dostaliśmy parę snopków i tak zaczęło się dla nas życie na wysiedleniu w majątku Kawęczyn gm. Łysobyki (5 km) pow. Łuków (30 km).

ZDZISŁAW MIKOŁAJCZYK

ADWOKAT STANISŁAW MAURER WYJAŚNIA

W związku z publikacją skróconej wersji mego listu w „Gazecie Wyborczej" proszę o zamieszczenie go w całości.

Łódź, 19 listopada 1989 r.

„Gazeta Wyborcza" z 20—22.X.1989 r. zamieściła informację o wniesieniu przez ministra sprawiedliwości do Sądu Najwyższego rewizji nadzwyczajnej w sprawie skazanych w stanie wojennym na 6 lat pozbawienia wolności Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego, z wnioskiem o ich uniewinnienie z uwagi na usprawiedliwiony okolicznościami brak świadomości bezprawności czynu, którego nie mogli uniknąć.

Do informacji tej wkradł się błąd. Akcja protestacyjna, wzywająca do powoływania komitetów strajkowych i rozpoczęcia strajku powszechnego, za której przeprowadzenie Słowik i Kropiwnicki zostali skazani, nie odbyła się, jak to mylnie podaje „Gazeta Wyborcza", po 13 GRUDNIA lecz 13 GRUDNIA

Znaczenie tej daty polega na tym, iż przesądza ona o zgodności przeprowadzonej akcji z obowiązującym w dniu 13.XII 1981 r. prawem karnym, nie przewidującym karalności strajków i akcji protestacyjnych. Karalność takich zachowań wprowadził dopiero dekret o stanie wojennym, opublikowany w „Dzienniku Ustaw" z 14.XII.1981 r.

Skazanie Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego nastąpiło wbrew wyrażonej w art. 1 kodeksu karnego oraz art. 15 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich fundamentalnej zasadzie „prawo nie działa wstecz" (lex retro non agit). Dlatego też inspirujący rewizję nadzwyczajną ministra sprawiedliwości wniosek obrończy zarzucił w pierwszym rzędzie wyrokom skazującym Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego błędną wykładnię dekretu o stanie wojennym, przyjmującą moc wsteczną jego działania w stosunku do czynów popełnionych 13.XII. 1981 r., podnosząc, że wykładnia taka pozostaje w rażącej sprzeczności z podstawowymi zasadami polskiego prawa karnego oraz ze zobowiązaniami międzynarodowymi naszego państwa.

Aby uniewinnić Andrzeja Słowika i Jerzego Kropiwnickiego nie potrzeba uciekać się do konstrukcji przewidującej wyłączenie odpowiedzialności karnej ze względu na usprawiedliwioną nieświadomość bezprawności czynu, wystarczy uznać, że dekret o stanie wojennym nie działał wstecz. O taką interpretację dekretu będą zabiegać obrońcy oskarżonych w przyszłym procesie przed Sądem Najwyższym.

Z poważaniem

STANISŁAW MAURER
Obrońca Jerzego Kropiwnickiego
(adwokat)

UWAGA BYLI WIĘŹNIOWIE STALINIZMU!

Po przeczytaniu listu pana Stanisława Wiącka, zamieszczonego w „ODGŁOSACH", w nr 45, a dotyczącego wniosku o wszczęcie przez prokuraturę śledztwa przeciwko oficerom śledczym byłych urzędów bezpieczeństwa publicznego, podejrzanym o bestialskie znęcanie się nad ludźmi aresztowanymi i niewinnie oskarżanymi na podstawie wymuszanych zeznań, zawiadamiamy uprzejmie, że istnieje oddział łódzki **Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego,** mieszczący się przy ulicy **Mariana Buczka 18, pokój 318.**

Do Związku przyjmowane są wyłącznie osoby, które mogą przedstawić dokumenty świadczące o ich aresztowaniu i skazaniu na podstawie artykułów o charakterze politycznym kodeksów karnych. Liczba członków oddziału dochodzi do 100. W przypadku wszczęcia śledztw, posiadane akta i świadkowie mogą łatwiej naprowadzić postępowanie prokuratorskie na właściwy ślad.

Dyżury zarządu odbywają się we wtorki w godzinach: 16—18.

mgr TADEUSZ ORDYŃSKI

APEL DO WSZYSTKICH SYMPATYKÓW RTS „WIDZEW"

Nowy Zarząd RTS „Widzew" zwraca się do wszystkich sympatyków, kibiców i ludzi, którzy dobrze życzą klubowi o podjęcie wszelkich wysiłków mających za cel poprawienie sytuacji klubu. Uważamy, że potrzebna jest nie tylko pomoc finansowa, lecz również manifestacja poparcia poprzez szeroki udział w całej działalności klubu.

Wzywamy kibiców naszych drużyn o poparcie poprzez obecność na trybunach i kulturalny doping naszych zespołów, tak potrzebny sportowcom. Tylko wspólne działanie sympatyków, zawodników, szkoleniowców zarządu i pracowników może przynieść poprawę sytuacji klubu. Oczekujemy gorącego dopingu już na najbliższych zawodach.

ZARZĄD KLUBU

AGENCJI TURYSTYKI

Interster SA

ŁÓDŹ, ul. NARUTOWICZA 48,
tel. 32-39-38, 31-99-49

INFORMUJE:

Jeszcze w tym roku ponownie w sprzedaży:
- **REJSY PO MORZU CZARNYM** (Odessa, Jałta, Soczi, Batumi, Noworosyjsk, Odessa),

oraz ZAPRASZA na:

- **tygodniowe pobytowe imprezy w WILNIE,**
- **tygodniowe imprezy narciarskie w TATRZAŃSKIEJ ŁOMNICY,**
- **miesięczny REJS PO MORZACH DALEKIEGO WSCHODU (Władywostok, Szanghaj, Bangkok, Singapur, Dżakarta, Manilia, Nagasaki, Władywostok),**
- X Sylwester w Soczewce

3908/K

CHCESZ PRACOWAĆ I ZAROBIĆ JAK W KRAJACH ZACHODNICH ? PRACUJ RAZEM Z NAMI !

◄ Młodych ◄ zdolnych ◄ energicznych ◄ znających języki obce ◄ o wysokich kwalifikacjach pracowników —

Z A T R U D N I

SPÓŁKA AKCYJNA

Nasza specjalizacja to:
- **handel zagraniczny**
- **współpraca z kapitałem amerykańskim i zachodnioeuropejskim**
- **marketing**
- **obrót giełdowy**

Szczegółowe oferty z życiorysem i dowodami kwalifikacyjnymi składać należy **pisemnie w terminie 14 dni od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia** pod adresem: **Łódź 1, skr. poczt. 369.**

7458/K

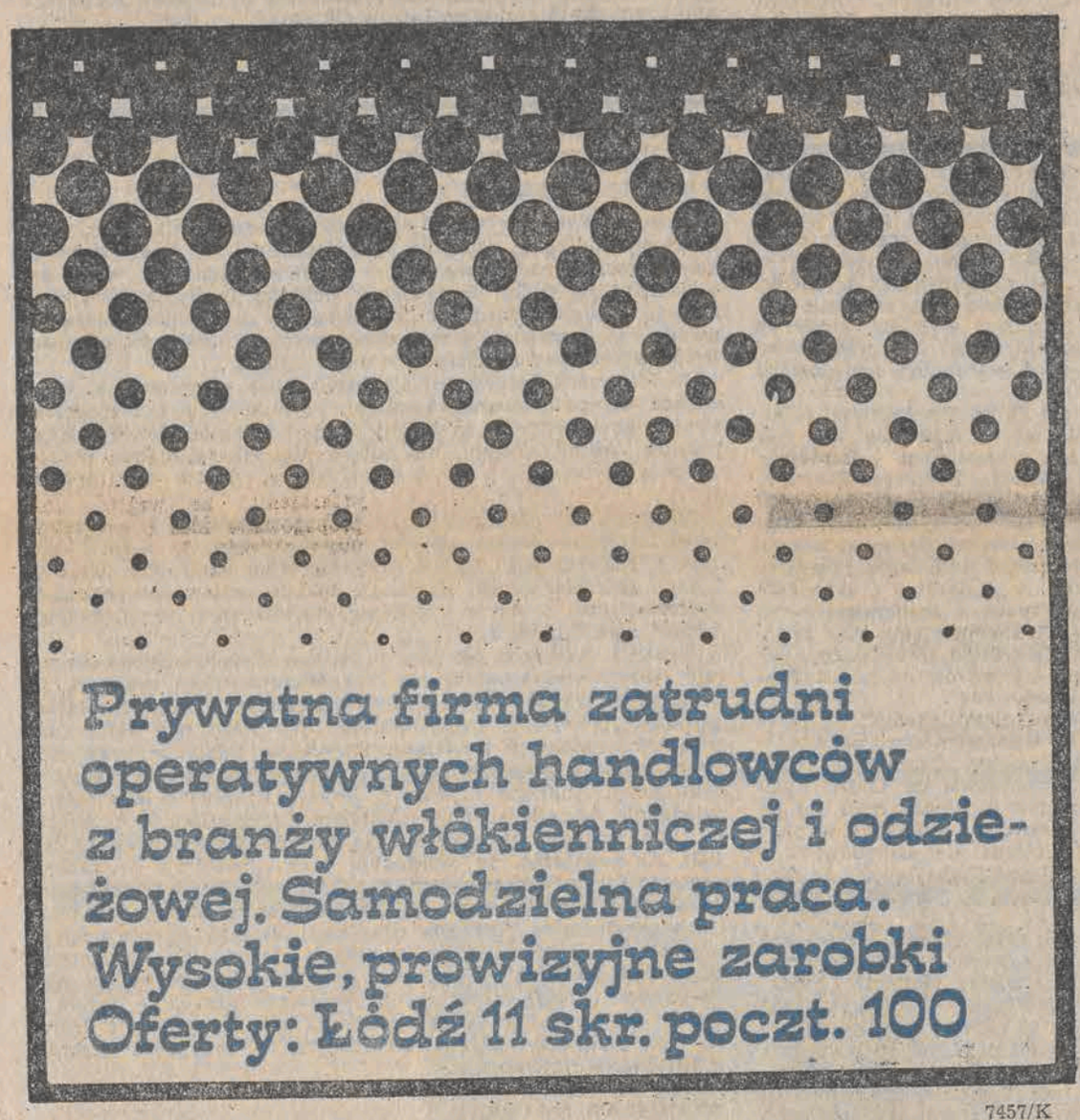

Prywatna firma zatrudni operatywnych handlowców z branży włókienniczej i odzieżowej. Samodzielna praca. Wysokie, prowizyjne zarobki Oferty: Łódź 11 skr. poczt. 100

7457/K

SPÓŁKA AKCYJNA

zatrudni w swoich zakładach na Widzewie i Bałutach

- **szwaczki**
- **krojczych**
- **mechaników maszyn szwalniczych**
- **projektantów odzieży**

ZGŁOSZENIA: Łódź ul. Kraszewskiego 22
tel. 43-39-94, 43-39-95

7456/K

OGŁOSZENIA DROBNE

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM działkę budowlaną. Wiadomość Łódź, Lipowa 58 m. 40.
58671-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

KAMIENIE żółciowe — kupię. Wysokie ceny. 15-34-33
58742-g

KUPIĘ prasę mimośrodową, maszynę szyjącą słup z aparatem 43-65-93 po 18.
58998-g

SPRZEDAM D3Va 18 3 1/2 i dwa sztrykopy. Sanie 32 k/Aleksandrowa.
58571-g

FUTRO norki — sprzedam 15-69-31
58253-g

EFEKTOWNE kurtki z lisów pustynnych sprzedam, 57-23-33.
57969-g

POJAZDY

FSO (1985) — sprzedam — zamienię. Zgierz, Murarska 4
58570-g

SPRZEDAM „Mercedesa" do remontu oraz „Ładę" combi (1986). Radomsko, tel. 37-30.
59092-g

NAUKA-PRACA

KOMPUTEROWY Bank wolnych miejsc pracy zaprasza pracowników i poszukujących pracy. Księgarnia „Eureka" przy Juventusie.
10605-g

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ, zakres szkoły podstawowej, średniej, przygotowania do egzaminów, języków obcych, wtorek, środa, czwartek 10.00—13.00, 32-59-65.
6659-k

ZATRUDNIĘ — wtryskarka, montaż wyrobów 52-12-85
10748-g

ZE SLAJDÓW — odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „STUDIUM", Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej).
55108-g

PRZYJMĘ zlecenia na wykonanie robót remontowo-budowlanych 57-21-24
58562-g

UKŁADANIE glazury. Ubysz 74-21-48 po 17.
58461-g

ŚCINANIE, karczowanie drzew, 74-23-38 Kołodziejczyk.
58357-g

RÓŻNE

AUTOPOŚREDNICTWO, pośrednictwo RTV 36-37-64 (12.00—17.00)
10605-g

HANNOVER — miejsca w samochodzie, 15-09-62.
59082-g

ZGUBY

JACEK Chachuła zgubił legit. studencką 5936 WAM.
58199-g

ZGUBIONO prawo wykonywania zawodu pielęgniarki rr. 2435, Niklewicz Ewa.
58771-g

ANDRZEJ Dolder zgubił leg. studencką 61395/El PŁ.
59161-g

Wifama

MEZcompu

PC/AT „AiC" (test „Komputer" 3/89)
- **16 MHz, 640 KB (1 MB RAM, płyta VLSI**
- **FDD 1.2 MB, FDD 360 KB (TEAC)**
- **kontr. HDD/FDD, multi I/O (AT)**
- **Hercules, monitor 14" (Intra)**
- **obud. „Regular AT", klawiatura „101"**
- **cena: 8.783.000/9.438.000 zł.**

PC/XT „AiC"
- **10 MHz, 640 KB RAM**
- **2 × FDD 360 KB (TEAC)**
- **multi I/O plus XT**
- **Hercules, monitor 14"**
- **obud. „XT", klawiatura „101"**
- **cena: 5.951.000 zł.**

Dysk stały Seagate ST-251 (42 MB)
cena: 2.612.000 zł.

Dysk stały Seagate ST-225 (21 MB)
cena: 1.662.000 zł.

ZADZWOŃ — DZISIAJ MOŻE JESZCZE TANIEJ!
Termin dostawy natychmiastowy. W cenie zawarta 12-miesięczna gwarancja. Warunki płatności do uzgodnienia, przy zakupach hurtowych rabat. Polecamy ponadto
drukarki „Star", dyskietki itp.

PRZEDSIĘBIORSTWO INNOWACYJNO-WDROŻENIOWE „WIFAMA-MEZcompu"
93-181 Łódź, skr. 234, ul. Praska 15/17,
tel. 84-61-32, tlx 886940

3807/K

Ludzie tego dnia byli jacyś przygnębieni, dął chłodny wiatr, pod butami skrzypiał zwykły o tej porze roku śnieg, chociaż policmajster wydał surowy nakaz uprzątnięcia placu Saskiego na tę niecodzienną uroczystość. Zebrała się generalicja w otoczeniu świty, w ordynku stanęły sotnie wojska, spode łba spoglądali szpicle tam, gdzie zgromadziła się reprezentacja społeczności polskiej: duchowieństwo, delegacje młodzieży szkolnej, patrycjat warszawski i okoliczna szlachta. Gdzieniegdzie zatrzymywali się przygodni świadkowie tego wydarzenia. Administrator archidiecezji warszawskiej biskup Tomasz Wieniawa Chmielewski odprawił nabożeństwo za dusze poległych oficerów, dziekan kapituły ks. Adam Kotowski wygłosił okolicznościowe kazanie, w którym rozwinął tezę, że świętą i chwalebną jest rzeczą modlitwa za umarłych. W obecności namiestnika carskiego w Królestwie hr. Paskiewicza odsłonięto monumentalny obelisk z lanego żelaza na ośmiokątnej podstawie z szarego świętokrzyskiego marmuru.

U podstawy pomnika spoczywało osiem spiżowych lwów, nad piedestałem wznosił się obelisk, podtrzymywany przez cztery dwugłowe orły rosyjskie z tarczami herbowymi Królestwa Polskiego na piersiach. Po bokach piedestału widniały napisy w języku polskim i rosyjskim. *„Polakom w dniu 17/29 listopada 1830 roku poległym za wierność swojemu MONARSZE"* oraz nazwiska siedmiu wyższych oficerów, którzy stracili życie podczas wybuchu powstania listopadowego. Żelazo użyte na budowę pomnika ważyło 3460 cetnarów, spiż około 45000 funtów. Twórcą pomnika był Antonio Corazzi, prace nad jego wzniesieniem trwały blisko cztery lata. Decyzję o wystawieniu pomnika na cześć zdrajców ojczyzny wydał car Mikołaj I w celu upokorzenia krnąbrnych Polaków, którzy ośmielili się zbuntować przeciw samodzierżawiu. Tymi wiernymi pretorianami cara byli generałowie brygady: Ignacy Blumer, Stanisław Trębicki, Tomasz Siemiątkowski i Józef Nowicki, gen art. Maurycy Hauke i gen piechoty Stanisław Potocki oraz najniższy stopniem w tym gronie zaprzańców płk art. Filip Meciszewski. Wszyscy zginęli z rąk wzburzonych powstańców, kiedy odmówili stanięcia na czele wojsk zbuntowanych przeciwko carowi. Podobno gen. Józefa Nowickiego zastrzelono przez pomyłkę, ponieważ wzięto go za gen. Lewickiego, znienawidzonego powszechnie rosyjskiego komendanta Warszawy.

Z różnych szuflad

Pomniki

Okazały pomnik, wbrew oczekiwaniom władz, stał się symbolem hańby narodowej i przedmiotem kpin. Krążyły niwybredne fraszki w rodzaju:

Czterech ptaków, osiem lwów
Pilnuje tu siedmiu kpów,

albo:

Zaświadczy pomnik światu, czego Polak życzył:
Car zliczył swoich wiernych — i siedmiu naliczył.

Pomnik przetrwał *do 1916 r., kiedy* władza rosyjska nad uciemiężonym *krajem* minęła bezpowrotnie. Został zburzony wraz z pomnikiem cara Aleksandra I w Cytadeli, wzniesionym w 1835 r.

Niby odpór moralny społeczeństwa czytano niebawem (1842) świeżo napisany wiersz „Pomnik" Teofila Lenartowicza:

Kto wszystko dobro swojego żywota
Na sercach ludzi wykuwał, wykreślił,
Ten sobie pomnik tak trwały obmyślił,
Jaki mieć może sama tylko cnota.

Poeta wrócił do tego tematu raz jeszcze po 16 latach, podając pomysły do pomników, które winny zostać wzniesione ku czci wielkich Polaków XIX w. Chciał widzieć uwiecznione w spiżu i marmurze postacie Kilińskiego, Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, Chopina. Poetycka wizja spełniła się w znacznej mierze po latach: pomnik Adama Mickiewicza stanął na Krakowskim Przedmieściu (1898), Fryderyka Chopina w Łazienkach (1926), Jana Kilińskiego ustawiono zrazu na pl. Krasińskich (1936), na Podwale przeniesiono go dopiero w 1959 r., jakby spełniając wolę poety: *„Niech stanie na Starym Mieście"*.

Pomniki zburzone z premedytacją przez hitlerowców pieczołowicie odbudowano po wojnie niby klamrę łączącą przeszłość z przyszłością. Pomnikiem może być też gmach użyteczności publicznej, jak choćby Pomnik Szpital Centrum Zdrowia Matki Polki. Takim pomnikiem dla uczczenia pierwszej w niepodległym państwie konstytucji, zwanej marcową (1921), miał być monumentalny gmach „Domu Ludowego dla ludu pracującego", w którym chciano stworzyć podwaliny Biblioteki Narodowej. W Łodzi takim pomnikiem miał być Dom Ludowy im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, obecnie Łódzki Dom Kultury. Również Park Ludowy na Zdrowiu miał w zamierzeniu jego twórców spełniać rolę takiego pomnika.

Bywają też sytuacje, gdy pomniki padają w proch, obalone z woli ludu. Stało się tak niedawno z pomnikiem Bolesława Bieruta, niegdysiejszego Ojca Narodu, Wielkiego Wykonawcy poleceń jeszcze większego satrapy. Nawet Włodzimierz Lenin, choć opornie, traci z każdym dniem coś niecoś blasku ze swej aureoli. Trwają nadal nienaruszeni na zajmowanych miejscach Feliks Dzierżyński i Julian Marchlewski, atakowani z pozycji „Tygodnika Powszechnego" (Grzegorz Przebinda) i bronieni zza barykad „Trybuny Ludu" (Anna Pawłowska). Był czas, gdy towarzysze Marchlewski, Dzierżyński, Kon, Unszlicht i inni przekroczyli granice swego ojczystego kraju, kryjąc się za plecami Armii Czerwonej, dowodzonej przez Michaiła Tuchaczewskiego. W Białymstoku i na plebanii w Wyszkowie Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski tworzył podstawy Polskiej Republiki Rad. Być może wieczorami wywoływali duchy swoich politycznych poprzedników — targowiczan, również posiadających jakąś tam wizję narodowego bytu pod opiekuńczymi skrzydłami orłów carskich. Gdyby zabłąkany na tyłach wrogiej armii ułański podjazd wziął do niewoli członków Komitetu zarówno szef Julian Marchlewski, jak i jego „ministrowie" poszliby pod sąd wojenny jako zdrajcy ojczyzny i stanęli przed frontem plutonu egzekucyjnego. Stało się inaczej i już wkrótce osławiony oberczekista Feliks Dzierżyński wrócił do kierowania GPU, obciążając swoje sumienie wieloma tysiącami istnień ludzkich i ferowaniem nie zawsze sprawiedliwych wyroków.

Podaję zatem w wątpliwość dalsze istnienie pomnika krwawego Feliksa na placu w centrum Warszawy, która była dlań przecież do końca życia stolicą wrogiego państwa. Z powodu opowiedzenia się Juliana Marchlewskiego po stronie krasnoarmistów przeciwko obrońcom zagrożonej ojczyzny jego pomniki w Warszawie, Łodzi i Włocławku stają się symbolami nie tyle wielkości narodu, ile jego poniżenia.

W Santiago stoi pomnik nagrobny Ignacego Domeyki, wystawiony przez rząd chilijski, w 1948 r. wzniesiono mu monument w La Serena, gdzie wykładał. Ten dawny filomata i insurgent listopadowy zasłużył sobie swym życiem i pracą dla dobra przybranej ojczyzny na jej wdzięczność i dobrą pamięć potomnych.

A przy okazji warto się zastanowić nad sensem rewindykacji praw do imion patronów. Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Waryńskiego, pod tymże patronatem trwająca od lat czterdziestu dobrze się zasłużyła społeczności miasta, regionu i kraju. Miało jej kiedyś patronować imię Józefa Piłsudskiego, który przecież korzeniami swej myśli politycznej sięgał i do posiewu rzuconego przez pierwszych polskich socjalistów.

ANDRZEJ KEMPA

PS. Szkic powstał tuż przed decyzją prezydenta m. st. Warszawy o usunięciu pomnika Feliksa Edmundowicza z Placu, który powraca do dawnej nazwy Plac Bankowy.

1

Mam poważne wątpliwości

Proszę sobie wyobrazić taką scenę: w jednym z instytutów naukowych zajmującym się także między innymi badaniem zjawisk radioaktywnych, kilka dni po wybuchu w Czernobylu, kiedy wiadomo już było, że skutki owej katastrofy dotarły nad Polskę, na biurku dzwoni telefon. Pracownik instytutu podnosi słuchawkę i słyszy następujące pytanie:

— *Czy to prawda, że nad naszym miastem wisi chmura strontu?*

Odkłada słuchawkę, podchodzi na chwilę do okna, patrzy w błękitne, bezchmurne niebo, wraca do biurka i odpowiada:

— *Nie, to niemożliwe, nic takiego nie widzę.*

Historia ta jest dość zabawna i wielce nieprawdopodobna. Można ją obecnie opowiadać na zasadzie dowcipnej anegdotki. Jaka jednak będzie nasza reakcja, jeśli powiem, że opowieść owa wydarzyła się naprawdę? No cóż, historyjka wyda nam się pewnie wtedy jeszcze bardziej zabawna. Fakt, że coś stało się rzeczywiście, każdemu opowiadaniu dodaje dozę tak potrzebnego kolorytu. W pewnym wieku bowiem z większym zainteresowaniem słuchamy lub czytamy prawdziwe relacje, na przykład z czyjegoś życia niż wymyślone bajki. Z tym, że w takiej sytuacji scena wyżej przeze mnie opowiedziana wchodzi w sferę tak zwanego czarnego humoru.

Przerażający jest fakt, że dopiero teraz, w kilka lat po nuklearnym wybuchu, do jakiego doszło w Czernobylu, dowiadujemy się o tym wydarzeniu prawdy. A to za sprawą obszernego tekstu, jaki ukazał się w radzieckim czasopiśmie „Nowyj Mir", napisanego przez Grigorija Miedwiediewa, który to tekst został następnie przedrukowany w dwóch kolejnych numerach (43, 44) „Przeglądu Tygodniowego". Obraz tam przedstawiony został jeszcze uzupełniony w następnym numerze w artykule pt. „Krajobraz po wybuchu" pióra Adama Wojciechowskiego. Autor pisze na przykład:

„Obecnie już nie ma wątpliwości, że wielkość skażeń promieniotwórczych jest znacznie większa od tej, jaką przedstawiono oficjalnie. Ukrycie prawdy jest w opinii „Moskowskich Nowosti" *jednym z największych przestępstw wobec mieszkańców wielu wsi i miast. Co dziwniejsze, informacje te utajniono w okresie jawności („głasnosti"), gdy powszechnie dostępne stały się zakazane prawdy z czasów stalinowskich, gdy zaczęto drukować książki Sołżenicyna".*

Z tego artykułu dowiadujemy się również, że w centrum Europy po wybuchu w Czernobylu powstała strefa wojny atomowej. A *„TASS niedawno ujawniła, że w ponad 100 wsiach w rejonie Mohylewa i Homla (niektóre z nich są oddalone od zamurowanego sarkofagu reaktora o 325 kilometrów) mimo prac dezaktywacyjnych nie udało się obniżyć wielkości promieniowania do bezpiecznego poziomu".* I że w tej chwili w Białoruskiej SSR trzeba ewakuować jeszcze około 106 tysięcy mieszkańców, a przesiedlenia owe będą się odbywały w ciągu najbliższych pięciu lat. Jednocześnie okazuje się, że plamy skażeń występują w okolicach takich między innymi miast, jak Orzeł, Tuła, Biała Cerkiew, Pińsk, Równe oraz na wybrzeżu Zalewu Fińskiego i Kaukazie. Chciałbym tylko powiedzieć, że odległość w prostej linii z Równego do granic Polski wynosi około 160 kilometrów. Ciekawe więc, czy dokładne badania radioaktywne były przeprowadzane na naszym terenie?

Obecnie specjaliści zastanawiają się nad ilością dodatkowych zgonów, które następują w Europie w wyniku czernobylskiej eksplozji. Te cyfry również są zatrważające, mówi się tu bowiem o możliwości 135 tysięcy zgonów. A wokół Czernobyla powstał dość duży obszar zamknięty, drugi już tego typu w Związku Radzieckim, okazuje się bowiem, że 30 lat temu mieliśmy do czynienia także z wybuchem jądrowym na Uralu, dokładnie w Kuchtymie.

U nas natomiast trwają zacięte dyskusje na temat budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu. Wiadomo, że owa elektrownia jest bardzo potrzebna dla poprawy naszego bilansu energetycznego. Poważne trudności mogą wystąpić już tegorocznej zimy. Jeśli miałbym więc pewność, że ta budowa przeprowadzana jest ściśle według norm światowych, że dokładnie zostały wykonane badania geologiczne, że reaktor nie będzie radziecki, tego samego typu jak w Czernobylu, że odpady radioaktywne będą składowane w miejscach odpowiednio zabezpieczonych, to powiem, a jest to pewnie bardzo niepopularne, że jestem za. Ale tej pewności niestety do końca mieć nie mogę, dlatego też mam poważne wątpliwości

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Lewym okiem

Konkwistadorzy

Z ust bardzo ważnej osobistości usłyszeliśmy niedawno parokrotnie przez radio i telewizję zdanie, że kraj nasz jest dżunglą, do której konkwistadorzy z cywilizowanego świata powinni przyjeżdżać i robić tutaj świetne interesy. Wypowiedzi tej, przygotowanej zresztą, do wygłoszenia za oceanem, wysłuchałem z niejakim pomieszaniem, bo nie czuję się człowiekiem z dżungli, nawet wobec wielkich gospodarczych rekinów ze świata zachodniego; nie stałbym z opuszczoną głową pogrążony w kompleksach dzikusa, bo jestem pewien, że w dżungli robi się interesy najbardziej prymitywne, że sprzedaje się tam paciorki za brylanty i parę metrów perkaliku za złote posążki, wykonane rękami miejscowych artystów.

Przy tym wszystkim wiem także, że przy naszym przechodzeniu na stronę gospodarki urynkowionej nie zdołamy ominąć strefy właśnie gospodarki konkwistadorskiej, wilczej, bezwzględnej i niezbyt społecznie pozytywnej. Jużeśmy w obręb tej strefy weszli. Już w naszej kochanej Łodzi a poza nią oczywiście we wszystkich dużych miastach, na setki liczy się zachłannych młodzieńców, sterczących przed kantorami wymiany, bankami i sklepami Pewexu. Waluciarze. Wypełniają w godzinach przedpołudniowych wszystkie kawiarnie w śródmieściu, nawołują się gromko, wymieniają cyfry najnowszych kursów — zdrowe, potężne chłopy nie imające się żadnej pracy, bo oni są przedsiębiorczy!

Wyrastające wokół nas małe i malutkie interesiki, przedsiębiorstewką, handelki nastawione są na żarłoczny, natychmiastowy zysk. Przeważnie nie są to zakłady produkcyjne tylko oparte na jakimś handlu usługą, doradztwem, pośrednictwem, Pan Bóg wie na czym jeszcze. Prasa podawała, że podobno bywały już do władz komunalnych wnioski o uruchomienie salonów masażu i całkiem nie zamaskowanych domów publicznych. To bardzo przedsiębiorczy ludzie, którzy rzucają się na tę branżę, bo żadna nie daje takich profitów jak właśnie ta.

Oczekujemy i, nie może inaczej być, pomocy wielkiego kapitału z zagranicy. Ale i ten kapitał i ta pomoc poprzedzona będzie awangardą „pionierów" węszących w dżungli polskiej ów sławetny, świetny interes. To będą kasyna gry, które — jak słyszę — zapowiadają się już w wielu dużych miastach kraju i przecież nie będą podnosić standardu życiowego tubylców, będą tylko ciągnąć z nich co się da. Oczywiście mówi się też o pięknych, wielkich inwestycjach, ale o tym będzie się mówić długo, a na efekty czekać jeszcze dłużej. W międzyczasie kasyna gry ruszą pełną parą, może zjawi się na naszym rynku koncern pani Beaty Uhse, która całe Zachodnie Niemcy pokryła siecią sklepów i kin porno, zapewne ukażą się na naszym rynku wydawniczym ilustrowane „świerszczyki", finansowane bądź przez przedsiębiorców rodzimych, bądź właśnie przez tak zwany kapitał zagraniczny.

To pewnie będzie trzeba przejść. Zanim się wszystko otrząśnie, zanim prawa konkurencji narzucą jako tako rozsądny układ produkcji, usług i konsumpcji będziemy musieli przejść przez grząskie i niemile pachnące bagienko. Oby tylko nie było ono zbyt szerokie i obyśmy zdołali je przebyć suchą nogą.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Pod prąd

Moda na czarownice

W ubiegłym tygodniu pisałem o analfabetyzmie — jednej z ciemniejszych stron obrazu współczesnego świata. Dziś chciałbym — o zjawisku podobnym i nie mniej zdumiewającym, a mianowicie o: czarach, wierze w moce nadprzyrodzone, kontaktach z „tamtym światem" tudzież innych tego rodzaju praktykach, które w dobie podboju kosmosu nie tylko że nie zaginęły, przechodząc w cywilizowanych społeczeństwach do historii, ale na odwrót — mają się dobrze i cieszą sporą popularnością.

Z pozoru wszystko zdaje się temu przeczyć — rozwój nauki i techniki, jaki nastąpił w ostatnich kilkudziesięciu latach, błyskawiczny i powszechny przepływ informacji w skali całego globu, widoczny wzrost poziomu życia... Oczywiście, nie wszędzie, są bowiem nadal kraje bardzo biedne i cywilizacyjnie zacofane, by odwołać się znów choćby do przykładu czarnej Afryki. Tam jednak — podobnie jak w odniesieniu do analfabetyzmu — czarna magia i związane z nią praktyki nie dziwią, tak jak nas nie dziwi widok samolotu, telewizora czy domowego komputera. Dlatego ten wątek można śmiało pominąć, koncentrując się niemal wyłącznie na krajach najbardziej rozwiniętych, bo też w nich właśnie wiara w czary i moce nadprzyrodzone szerzy się obecnie najbardziej! I dopiero to jest tak zdumiewające.

Oto na przykład w RFN około 30 proc. obywateli wierzy w istnienie czarownic, które za pomocą różnych sił „nieziemskich" sprowadzić mogą na człowieka nieszczęście. Podobnie — we Francji, gdzie niedawno doliczono się aż stu tysięcy praktykujących czarnoksiężników i jasnowidzów, mających kontakty z siłami „nie z tego świata".

W Winsloev (Szwecja) dwa lata temu odbył się zjazd czarownic. Czemu poświęcone były obrady, można się tylko domyślać, gdyż żadna oficjalna informacja na ten temat nie dotarła do dziennikarzy. Zauważyli oni jednak — co warto szczególnie podkreślić! — że owe panie nie przyleciały wcale na miotłach, lecz przyjechały luksusowymi samochodami. Nie są to zatem osoby biedne. Skąd czerpią swoje zyski? Rzecz jasna, z klientów, którzy za ich usługi muszą płacić od kilkudziesięciu do kilkuset dolarów. A więc i oni nie są raczej biedakami, ludźmi z marginesu, czy tzw. zapadłych dziur, którym przy odrobinie sprytu wmówić można prawie wszystko.

W 1986 roku agencje prasowe podały wiadomość, że w Kalifornii (USA) „grupa oszustów" założyła firmę, która zajmuje się przesyłaniem korespondencji na „tamten świat". Koszt przesyłki — od 40 do 125 dolarów, czyli wcale niemało. I znów można by to jedynie skwitować śmiechem, gdyż oszustów nigdzie nie brakuje, gdyby nie fakt, że firma prosperuje raczej dobrze, a jej szefowie myślą o rozszerzeniu gamy usług, na które — jak widać — jest społeczne zapotrzebowanie.

Po obu stronach Atlantyku (a pewnie i pozostałych oceanów) raz po raz powstają także różne nowe „religie", sekty i tajemnicze sprzysiężenia, z których wiele budzić może nie tylko ciekawość, jak każde kuriozum, ale i prawdziwe przerażenie ze względu na propagowane idee i praktykowane obrzędy. Są wśród nich naturalnie również wyznawcy kultu szatana, który choć nowością nie jest, gdyż znano go już w starożytności, to jednak cieszy się sporą popularnością i dotarł już nawet do Polski. A dotarł wcale nie z zacofanego Południa, lecz z cywilizowanego Zachodu, gdzie — zdawać by się mogło — nie powinien mieć przecież sprzyjających warunków do rozwoju. Tak jednak nie jest i na przykład w tradycyjnie katolickich Włoszech w samym tylko Turynie — mieście uchodzącym za postępowe — około 40 tysięcy osób — jak się oblicza — regularnie uczestniczy w tzw. czarnych mszach, szatanowi właśnie poświęconych.

Wszystko to są oczywiście tylko wybrane przykłady, wyłowione z doniesień agencji prasowych. O prawdziwej skali omawianych zjawisk niewiele wiadomo, gdyż na ogół brak wiarygodnych danych. I te jednak wystarczą, by stwierdzić, że nie są to jedynie odosobnione przypadki. Szczególnie, iż przeprowadzone w ostatnim czasie badania ankietowe m.in. w RFN dowodzą, że liczba ludzi skłonnych wierzyć w różne nadprzyrodzone moce jest dziś zdecydowanie większa niż kiedyś.

Już choćby z tego powodu nie sposób przejść obok obojętnie czy też udawać, że czegoś takiego w ogóle nie istnieje. Wbrew dosyć powszechnej postawie środowisk naukowych, lekceważenie tych zjawisk nie jest chyba najlepszą na nie reakcją. Przydałoby się raczej bliższe im przyjrzenie i próba znalezienia odpowiedzi na pytania: dlaczego tak się dzieje? gdzie tkwią ich źródła? Wreszcie — co się za nimi naprawdę kryje?

Ale o tym — już w następnym felietonie.

JÓZEF RETMAN

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (1)

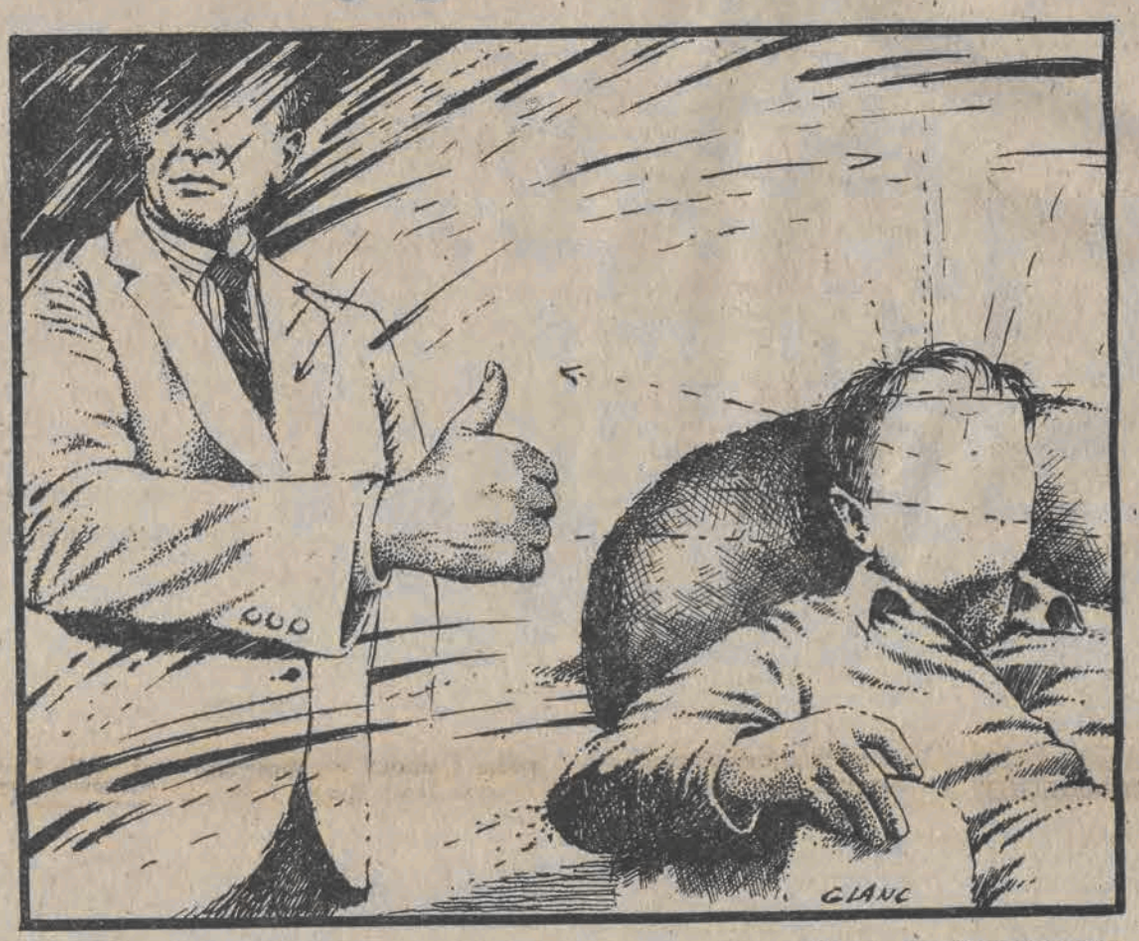

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pierwszy raz przytrafiło się to Remowi, kiedy był już po wojsku i zabiegał o Brygidę. Siedząc z ojcem Brygidy na ławce przed chatą i popijając Cherry Cordial, którą kupił specjalnie na tę okazję, Rem zobaczył nad kudłatą głową Cieślara mętnawy szarozielony pierścień. Świecił słabo, jakby przygasał.

— Jedziecie jutro na targ? — zapytał Rem Cieślara.

— Furką — odparł Cieślar. — Selery sprzedawać. Żeby wziąć dobrą cenę, trzeba być wcześnie rano na targu. Ruszę zaraz po północy.

— Odpuśćcie sobie — poprosił Rem, odpijając łyczek słodkiej wiśniówki — Nie jedźcie lepiej, bo źle to się skończy.

— Co ty pleciesz, Remie? — zdziwiła się Brygida, szerokobiodra panna trochę przed trzydziestką, której stromy biust i dzikie czarne ślepia chodziły za Remem jak zaraza.

— Zeszłej nocy spałaś z Majorem — stwierdził Rem ku własnemu zaskoczeniu i marząc, żeby Brygida zaprzeczyła. — W leśniczówce na strychu. Przyszłaś do niego, a on już czekał po cywilnemu. Paliła się lampa naftowa, bo wyłączyli prąd. Miałaś na sobie zieloną sukienkę z indyjskiej bawełny. Najpierw piliście wermut...

— Świnio! — krzyknęła Brygida. — Śledzisz mnie?!

— Czemu miałbym nie jechać na targ? — zapytał stary.

— Nikogo nie śledzę — powiedział Rem. — Sam tego nie rozumiem. Widzę was na furmance, jak sobie drzemiecie pośród selerów. Noc jest. Latarnia z tyłu wam zgasła, chyba się nafta skończyła, a może wiatr dmuchnął. Ciężarówka pędzi... Kierowca wesołek, maca taką tłustą dziewuchę w mini, ona mu nie pozwala kłaść tam ręki, rechoczą oboje... Trzask. Wyrzuca was w powietrze i głową o asfalt... Nie jedźcie!

— W głowie ci się pomieszało — powiedział Cieślar dopijając wiśniówkę. — Jeśli widzisz, co się stanie, to jak miałoby się nie stać? A jeśli nie pojadę na targ i nic się nie stanie, to mi selery zgniją.

Tłusta dziewucha, Adelajda Kornilczuk, zeznała później w sądzie, że wóz był nie oświetlony. Ekspertyza to potwierdziła: w momencie zderzenia latarnia nie paliła się, a fura jechała środkiem szosy, co wskazywało, że wozak spał. We krwi ofiary wykryto alkohol.

Drugi raz i następne nie szokowały już Rema. A to stodoła się spali Rudakom, a to Sitkowa powije dwojaczki, a to ulewa będzie jutro po południu, choć w telewizji zapowiadają słoneczność bez opadów. Z Brygidą wtedy zerwał. Wyszła za Majora. Sąsiadów niekiedy ostrzegał, ale zaczęto patrzeć na niego podejrzliwie, w końcu, po pożarze stodoły, wezwał go sam komendant posterunku i nawet nie pozwolił usiąść:

— Słuchajcie no, Rem, tylko bez numerów. Z kim podpaliliście stodołę Rudaków?

— Ja?...

— Wiemy. Kto był drugi?

— Kiedy wybuchł pożar, znajdowałem się w Bartach, dwanaście kilometrów od zabudowań Rudaka. W gospodzie. Jadłem kotlety ziemniaczane ze zsiadłym miekiem, ludzie mogą poświadczyć.

— Mogą albo nie mogą — skonstatował komendant. — O tym my zdecydujemy. Skąd w takim razie wiedzieliście, że będzie pożar?

— Nie wiem. Ale wiedziałem. Różne rzeczy przychodzą mi do głowy i potem się sprawdza.

— O mnie coś wam przychodzi?

— Niech pan komendant się nie zgadza.

— Na co?

— Ja nie wiem, ale pan komendant wie. Lepiej będzie odmówić.

Komendant zaniemówił. Sapnął parę razy, rozpiął mundur pod szyją i po długiej chwili milczenia ruchem głowy kazał Remowi odejść. Nazajutrz, kiedy spotkali się na poczcie, komendant zrobił oko do Rema:

— Oj, numer z was, numer...

— A bo co, panie komendancie?

— Dziękuję, Rem. Jestem waszym dłużnikiem. Możecie na mnie liczyć w razie czego.

Asfaltową szosą nie opodal poczty przemknęły dwa srebrzyste mercedesy o identycznych numerach, z przyciemnionymi szybami.

— Był w pierwszym — powiedział Rem. — Zazwyczaj jedzie drugim.

— Naczelny?

— Mhm.

— Co o nim wiecie? — zapytał komendant posterunku tonem żartobliwym, jakby gadał z dzieciakiem o głupstwach, ale oczy patrzyły czujnie.

Rem odczuł szczególny niepokój. Poprawił strzelbę na ramieniu i skórzaną torbę, z której wylewały się wiotkie szyje kaczek. Dziś ustrzelił trzy. Kucharz Ośrodka nie będzie zadowolony, bo spodziewa się pięciu. Co najmniej pięciu, powiedział, a byłoby lepiej, gdyby siedem, po jednej na każdy stół.

— To, co wszyscy — odparł Rem. — Charyzmatyczna osoba.

— Nie kręcicie... — usłyszał tuż przy uchu szept komendanta. — Coś próbujecie ukryć...

Leśniczy Rem zacisnął szczęki. Tego, co mu chodziło po głowie, postanowił nie przyjmować do wiadomości, a tym bardziej nie wymawiać głośno, a już zwłaszcza przy komendancie. Bzdury jakieś. Gwoli sprawiedliwości i na szczęście stwierdzić trzeba, że przywidzenia leśniczego czasami się nie potwierdzały. I tak być powinno. Ma człowiek jakiś margines na wybór, na przełamanie zaplanowanego, i wariant własny.

Oba srebrzyste mercedesy minęły tablicę zakazującą ruchu potem budkę z żołnierzem uzbrojonym w kaem i mikronadajnik. Nadał. Gdy mercedesy zbliżały się do szlabanu, ten szedł już w górę, wpuszczając auta na most, malowniczym łukiem spinający brzegi górskiego potoku.

Dalej była kosodrzewina, siwe świerki, krokusy. Na łączkach w dole pasły się owce, pobrzękując dzwoneczkami. Wieżę kontrolną z dwójką komandosów wyposażonych w noktowizory oplatały bluszcze aż po sam szczyt — wyglądało, jakby siedzieli na drzewie. Starszy stopniem komandos wcisnął zielony klawisz na pulpicie i za szybką rozbłysło w odpowiedzi błękitne światełko: „Odbieramy". Mercedesy zwolniły, wtaczając się w palmową aleję, poprzetykaną klombami nasturcji, berberysów, róż i frezji.

Aleja kończyła się przed pałacem w stylu neoklasycystycznym, odnowionym niedawno, niegdyś własnością książąt von Eisenach und Bohlau, spokrewnionych blisko z Habsburgami. Mercedesy stanęły przed wejściem. Do pierwszego zbliżył się energicznym krokiem smukły szpakowaty mężczyzna i otworzył drzwiczki. Naczelny, wysiadając, podał mu rękę.

— Czołem, Majorze — powiedział ze swoim słynnym promiennie ciepłym uśmiechem, zabarwionym z leciutka ironią. — Znowu się spotykamy na zasłużonych wakacjach. Żadnych telefonów ani depesz, przynajmniej przez trzy pierwsze dni.

— Tak jest, obywatelu Naczelny — wyrecytował Major, patrząc w zielonkawo uśmiechnięte oczy szefa. — Będzie spokój.

— Wszyscy już są?

— Z wyjątkiem Barda. Odwołał swój przyjazd.

— Spodziewałem się tego — powiedział Naczelny, wchodząc w asyście Majora do hallu wyłożonego hebanem z inkrustacjami. — Biedny Bard, on jeden nie potrafi odpoczywać. Co ja bym bez niego zrobił?

Nieomal równocześnie, a jednak w znaczących odstępach, notowanych fotograficznie w pamięci Majora, zaczęły się otwierać drzwi apartamentów na parterze. Pierwszy zdążył podejść Ikar: chmurna uroda cezarów, krótka biała grzywka przykrywająca czoło, mocny podbródek. Z poufałą serdecznością uścisnął dłoń Naczelnego.

— Jak udała się podróż? — zapytał.

Lucjan Marat zobaczywszy od progu Ikara przy Naczelnym, pozwolił wyprzedzić się także Rajskiemu i Gajdaczowi, którzy podeszli do Naczelnego jednocześnie; Rajski z plikiem papierów w złocistej folii, swym przemówieniem zapewne, do skonsultowania z szefem; lubił mawiać, że pierwszym jego czytelnikiem i krytykiem jest zawsze Naczelny, a potem dopiero żona. „Żona Naczelnego" — dodawał po znaczącej pauzie, z uśmieszkiem, w którym nie było ironii, a tylko życzliwy szefowej humorek.

Naczelny ściskał ręce, poklepywał po plecach.

— Będzie dziś brydż? — zapytał Rajskiego. — Jeszcze pamiętam szlema z tamtego roku. To było niewyobrażalne.

— Liczymy, że towarzysz... — zaczął Ikar.

— „Że ty" — upomniał Naczelny. — Jesteśmy na wakacjach.

— Liczymy, że znowu dasz popis swego przewrotnego kunsztu — powiedział Ikar. — Chciałbym kiedyś pojąć, jak to robisz. Zwyczajna karta i szlem.

— Zbieg przypadków — powiedział Naczelny z zadowoleniem. — Impasy mogły nie wyjść. Gajdacz gra?

— Nie, i nie zamierza — odparł Gajdacz. — Ma dosyć gier w robocie.

— Ostatnio zgrał się nam na licencjach — wyszczerzył zęby Ikar. — Co jedna, to lepsza, a produkcja stoi. Brzydko mówią o naszym Gajdaczu.

— Mówienie to nadbudowa — mruknął Gajdacz. — Klapanie dziobami, wasza specjalność.

— Nie obrażaj się — powiedział szef. — O mnie mówią, że się skończyłem.

— Kto? — wykrzyknął Rajski.

— Obaj dobrze wiemy, kto mówi i dlaczego. — Oczy szefa nagle zwęziły się, przebiły Rajskiego na wylot jaskrawym błyskiem i rozpogodziły się jakby nigdy nic. — O tobie mówią, że coraz gorzej słyszysz, a ja odpowiadam na to, że mój Rajski jest mistrzem selekcji. Brak nam selektywności w Egzekutywie...

Wszyscy zamarli. W nagłej ciszy Lucjan Marat wykonał kilka kroków i znalazł się naprzeciw Naczelnego. Naczelny zapomniał o pozostałych. Zrobił krok w stronę Marata i objął go za ramiona.

— Dziwiłem się, że mnie nie witasz — powiedział.

— Witam.

— Ale ostatni. Zawsze dajesz się wyprzedzić Ikarowi.

— Miałbym się ścigać z przyjaciółmi?

— Zastanawiasz mnie, Łucjan. Skromność czy przebiegłość, powolność czy nieśmiałość?

— Znam swoje miejsce — powiedział Marat.

— Mogę je odstępować przy takich okazjach.

— Czerpie się z tego różne przyjemności, co? — zażartował Rajski i natychmiast pożałował, że znów się ujawnia ze swoją inteligencją; lepiej nie mieć przeciwko sobie Marata.

Gorban, asystent i sekretarz osobisty Naczelnego, kiwnął młodzieńcom z różyczkami w klapach marynarek. Różyczki były tego dnia znakiem rozpoznawczym ochrony, wczoraj nosili w klapach białe gwiazdki z emalii. Dwaj młodzieńcy znikli za drzwiami do pomieszczeń służbowych i wrócili prawie natychmiast: powitalny koniak w ogromnych pękatych kieliszkach ze złoconym monogramem „ZS" był zawczasu przygotowany, dla szefa o nieco innym odcieniu miodu. Pijał tylko ormiański markowy „Eniseli", Młodzieniec z różyczką dyskretnym ruchem oczu wskazał Naczelnemu jego trunek. Potem reszta sięgnęła po kieliszki, trącano się, odpito po kropelce.

— Za spokojne wakacje — powiedział szef.

Jego pofaldowana szara twarz o nieco przydużym nosie i oczach zapadniętych głęboko, w czerwonych obwódkach — wołała o odpoczynek. Miał opinię niezniszczalnego, mówiono, że pracuje po szesnaście godzin na dobę. Gorban to potwierdzał. Ten subtelny poeta, autor Multiplikacji, które podbiły Europę po obu stronach Łaby, nie napisał już wiersza, odkąd zakochał się w Naczelnym. Wielbił go cicho i nieustannie, jak nastolatka gwiazdora estrady. Uznał, że z godnością sekretarza Naczelnego nie licuje poezja. Podobno marzył, że któregoś dnia Naczelny zleci mu napisanie dla siebie wystąpienia. Ale Naczelny swoje słynne mowy przygotowywał sam, a przynajmniej nie było wiadomo, kto mu w tym pomagał. Plotkowano, że żona.

— Będą spokojne — zapewnił Marat. — Umowa obowiązuje.

— Nie dam głowy — burknął Gajdacz, niecierpliwym łykiem kończąc koniak. — U mnie w każdej chwili może być gorąco.

— Ciekawe, za co ty bierzesz pieniądze — odezwał się Ikar.

— Nie za to, żeby wyręczać ciebie — Gajdacz wyciągnął rękę i natychmiast znalazł się nowy kieliszek z koniakiem. — Pogoda ducha i radosne jutro to wy.

— Więc byt nie określa już świadomości? — zapytał Ikar.

— W tym samym stopniu co odbyt podświadomość.

Naczelny skrzywił się, nie lubił wulgarności. Skarcił Gajdacza spojrzeniem.

— Umowa obowiązuje — przypomniał z naciskiem Marat. — Żadnych profesjonalizmów. Odpoczywamy.

Naczelny spojrzał na Gorbana. Ten pojął w mig. Roztrącił krąg otaczający szefa i płynnym ruchem ramienia zaprosił w kierunku schodów, marmurowych, wyłożonych kremowym puchaczem. Prowadziły na piętro, które Naczelny zajmował w całości. Niegdyś kazał był umieścić w swojej pałacowej sypialni surowe żołnierskie łóżko, a w gabinecie biurko z żelaza, gołą żarówkę nad nim i w rogu szafę pancerną. Tylko szafa pancerna została, obudowana rokokową serwantką. Resztę zwieziono z kilku nadwiślańskich pałacyków, pod okiem Gorbana i pewnego historyka sztuki, aby wnętrzom nadać charakter jednolity, intymny i zgodny z epoką. Nawet obrazy — para rembrandtów, jeden goya, trzy oryginalne velazquezy — harmonizowały ze sobą w tonacji i temacie: szef lubił kobiece ciała. Młodziutkie, dojrzałe, w pozach zachęcających wyobraźnię. Pełne piersi. Łona wygolone. Buzie dziecięce.

W obszernym łożu pod baldachimem z brokatu spał dwukrotnie car Aleksander i kilka razy marszałek Piłsudski. Sekretarzyk należał do Franciszka Józefa, na białym klawesynie koncertował Chopin. Naczelny też grał. Słuch miał wspaniały. Potrafił ze słuchu zagrać Taniec z szablami, Jermaka, a nawet początek sonaty Patetycznej. Gorban słuchał go wtedy w zachwyceniu, co rozbawiło Gajdacza: „Podlizuj się subtelniej, Emil. On nie uwierzy, że wolisz jego granie od gry Rubinsteina, he, he". Gorban zesztywniał, jego ascetyczna twarz skurczyła się w paroksyzmie gniewu: „Ty skurwysynu cyniczny, pilnuj swego szamba, żeby cię w nim nie utopiono za sabotaż, a ja podziwiam nie granie, tylko głębię duszy tego nadzwyczajnego człowieka".

Naczelny wszedł do swego gabinetu, ochronę zostawiwszy na półpiętrze. Tylko Gorbanowi pozwalał oglądać, jak zrzuca marynarkę, ściąga krawat, uwalnia stopy ze sznurowanych pantofli i ze skarpet. Stopy miał białe, pulchne, parujące, z fioletowymi węzłami żył. Rozparł się w fotelu o złoconych poręczach, uniósł nogi nieco w górę i zaczął poruszać palcami.

— Co za ulga, Emil — powiedział ciepło do Gorbana. — Nareszcie mogę pozwolić sobie na zmęczenie i odpoczynek. A odpoczynek, Emilu, zaczyna się od palców; od palców, od pięt, od podbicia... Żołnierska prawda.

— Tak jest, obywa...

— Wakacje — przypomniał Naczelny.

— Będzie kąpiel, szefie?

— Puść wodę do wanny.

— Łazienkę przeniesiono z pałacyku w Taborowie, więc również z bidetem, którego miała używać księżna Irina Conti, poślubiona węgierskiemu magnatowi Tabor-Esterhazy. Poprzedni Naczelny lubił takie rzeczy, przepadał za kafelkami erotycznymi i armaturą o wyuzdanych kształtach. Szef Gorbana bidet i kafelki pozostawił, armaturę kazał zmienić, a w miejsce emaliowanego cacka, w którym swobodnie mieścił się jego filigranowy poprzednik, polecił zainstalować mały basen z biczami podwodnymi i strażackim prysznicem.

Gorban puścił wodę sześcioma kranami, ustawiając termostat na dwadzieścia dwa stopnie i wrzuciwszy do basenu sole o aromacie igliwia. Szef lubił zapachy lasu. Przypominały mu partyzancką ziemiankę, legowisko z gałęzi, bitwy i biwaki: młodość.

— Nie robię się młodszy — usłyszał Gorban. — Łydki znów mi schudły. Przekaż masażystce.

— Tak jest, oby... szefie.

Naczelny wszedł do basenu. Był opalony na brąz, tylko pośladki miał białe, pokryte gęsią skórką. Nawet wchodząc do wody, trzymał się prosto. Podejrzewano, że ma coś z kręgosłupem i nosi gorset, ale była to postawa. Kto się garbi, temu wyrasta garb.

— Emil.

— Tak, szefie?

— Zazdrościsz. Chciałbyś być mną.

— Nie.

— Śmiało. Nie będę miał ci za złe. Za złe miewam nieszczerość.

— Mówię prawdę — powiedział Gorban. — Nie umiałbym być wami. Kogo bym wtedy kochał?

— Siebie, Gorbanku, siebie! — Z łazienki biegł śmiech, bulgotanie, plusk wody. — Siebie kochać, prawdziwa katorga, miłość własna jest sędzią najsurowszym...

„Siebie kochać: prawdziwa katorga. Miłość własna jest sędzią najsurowszym" — zapisał szybko Gorban w czarnym skórzanym notesie.

— Już podawać sok? — zapytał.

— Przygotuj, ale nie podawaj. — Syk wody pod ciśnieniem, kłęby pary z uchylonych łazienkowych drzwi. — Kto najwierniejszy, jak myślisz? Siebie wyłącz. Kto?

— Chyba Remigiusz Bard — odpowiedział Gorban po pauzie.

— Nie Ikar? Nie Lucek Narat? Nie Gajdacz?

— Gajdacz pójdzie służyć diabłu za dobry komputer.

— A gospodarka leży.

— On myśli kursami walutowymi, w mózgu ma wskaźniki.

— No i co? Nie umie mi zrobić boomu gospodarczego.

— Księgowy nie wywoła boomu.

— A kto? — dobiegło z łazienki.

— Marzyciel, szefie — odpowiedział po pauzie Gorban. — Fantasta z wizją albo wizjoner fantastyczny, cudak, szarlatan. Cudu potrzebujemy.

— Więc cudotwórca?

— Tak.

— Nie mam w ekipie zaklinaczy.

— Przeciwnie, szefie — powiedział Gorban, cały czas robiąc zapiski w notesie. — Wyłącznie zaklinaczy i ani jednego szaleńca.

— Mój sok.

Gorban podniósł się szybko z fotelika, chwycił wysoką kryształową szklanicę z sokiem ogórkowym i zaniósł szefowi. Naczelny pił niespiesznie, malutkimi łyczkami. Potem coś z nim się stało. Obciągnął duszkiem.

— Myślisz, że władza to władza? — zapytał.

— Różnie bywa — odpowiedział dyplomatycznie asystent. — W naszym przypadku...

— Co w naszym przypadku? — ponaglił szef.

— Różnie.

— Władza to rozkaz, wykonanie, meldunek — powiedział Naczelny. — Za niewykonanie rozkazu sąd polowy. Dlatego wojsko to wojsko.

— Nic prostszego...

— Niż co? — ponaglił Naczelny.

Emil Gorban znał najtajniejszy sekret swojego szefa. W latach młodzieńczych szef chciał zostać zawodowym żołnierzem, ale przepadł na komisji lekarskiej. Są dwie wersje: niezrównoważenie psychiczne i wada wzroku, być może obie prawdziwe albo tylko jedna. W partyzantce był niezrównany. Potem, kiedy mógł już wybierać i bez względu na stan zostać bardzo wysokim oficerem, dał się uwieść polityce. W ogóle lubił być uwodzony. Ulegał rzadko: intuicyjna właściwość ludzi sukcesu. Pozostała w nim jednak z czasów młodzieńczych fascynacja mundurem, urzeczenie organizacją, tęsknota za surową prostotą i maciupeńki kolec niespełnienia. Kolczyk właściwie.

C.D.N.